

Nieudany pucz Hitlera
Co by było, gdyby naziści przejęli
władzę w 1923 r.?

Błazny w komedii Stalina
Jak zachodni intelektualiści
lizali buty czerwonego tyrana

Młody Dzierżyński
Szlacheckie pochodzenie
polskiego szefa CzeKa

NR 2(96)/2021 LUTY 2021

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY

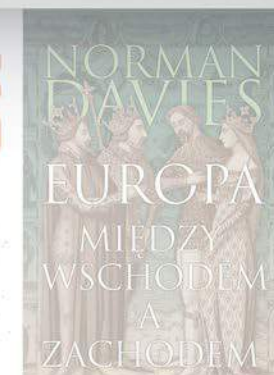
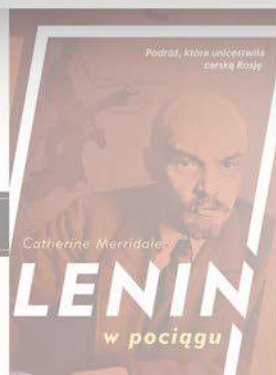
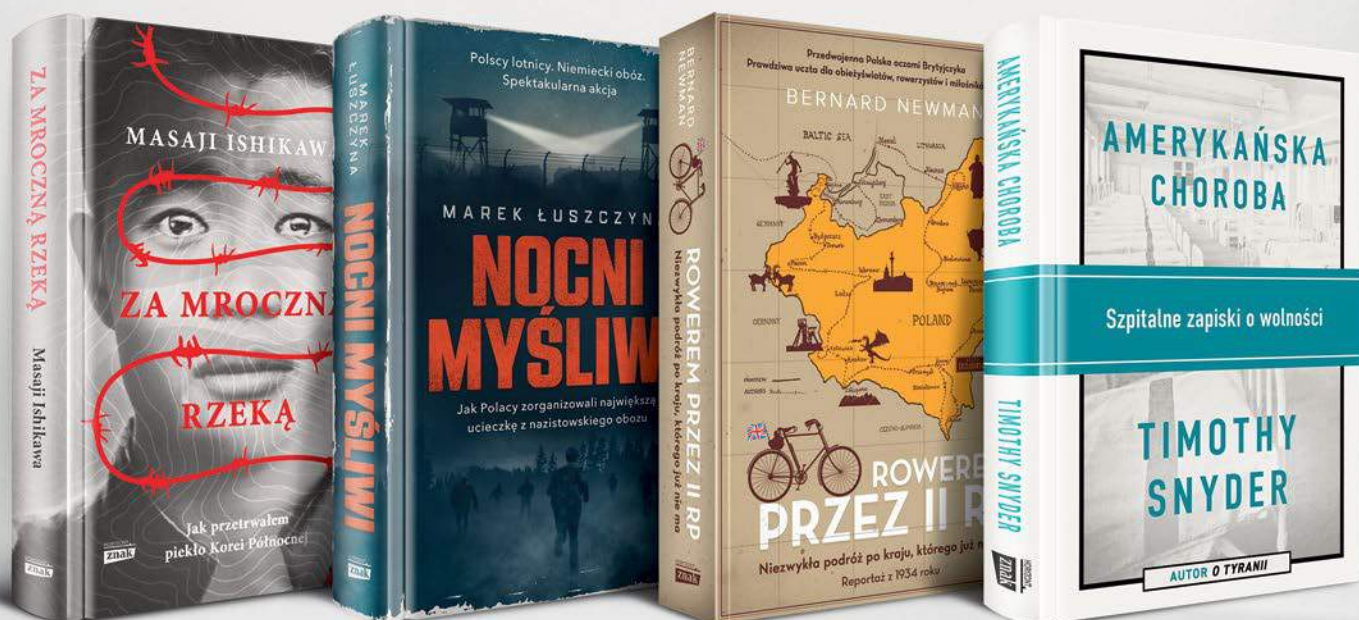
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO



„MEIN KAMPF”
KSIĄŻKA, KTÓRA
PODPALIŁA ŚWIAT

Historia

w naszym wydaniu –
**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: PIOTR WŁOČYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express”), **Paweł Zdziarski**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kloc

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Monika Doros, tel. kontaktowy: 508 040 664
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
tel. kontaktowy: 539 953 631
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Katowice, czerwiec 1935 r.

Dzieci Polaków ze Śląska Opolskiego w drodze na wakacje w Polsce



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Co było w mózgu Hitlera?

Wiek XX nie udał się ludzkości. Była to epoka, w której stary konserwatywny ład został zmieciony z powierzchni ziemi przez wielką rewolucję. Rozpoczęły się czasy wojen totalnych. Aktów ludobójstwa, masowych deportacji, obozów koncentracyjnych, komór gazowych, policji politycznej i krzykliwej, kłamliwej propagandy.

Tę mroczną epokę – która pochłonęła dziesiątki milionów istnień – symbolizują dwa czerwone bliźniaki. Narodowosocjalistyczna III Rzesza i komunistyczny Związek Sowiecki. W Rosji burzycielem starego porządku był Lenin. W Niemczech – Hitler. Niepozorny, pełen kompleksów niedośły malarz, który stał się rewolucjonistą. A po przejęciu władzy – bezwzględny dyktator.

Stworzona przez Hitlera III Rzesza okupowała niemal całą Europę. Dopuściła się wręcz niewyobrażalnych zbrodni, realizując utopijne, ideologiczne projekty „walki ras” i Lebensraumu. Gdy 30 kwietnia 1945 r. Adolf Hitler strzelił sobie w głowę, Europa pokryta była milionami grobów i dymiącym morzem ruin.

Jak to możliwe, że ten niepozorny człowieczek mógł spowodować tak straszliwe spustoszenie? Odpowiedź znajduje się w jego książce „Mein Kampf”. To w niej

Hitler opisał historię swego życia, to w niej przedstawił swój rasistowski światopogląd i zarysował szalone plany. Bez znajomości „Mein Kampf” nie sposób zrozumieć fenomenu Führera i narodowego socjalizmu. Nie sposób zrozumieć tragedii Europy.

Za sprawą znakomitego historyka Eugeniusza C. Króla książka Hitlera – opatrzona odpowiednim krytycznym komentarzem – wreszcie trafiła w pełnej wersji do rąk polskich czytelników. Dlaczego tak późno? Od napisania „Mein Kampf” minęło przecież 95 lat.

Stało się to na skutek zabiegów władz Bawarii, które po wojnie przejęły prawa autorskie do „Mein Kampf”. Przez 70 lat starały się blokować nowe wydania książki. Dlaczego? Ze strachu przed... wzrostem nastrojów neonazistowskich, które miała rzekomo wywołać lektura książki.

Jest to oczywiście absurd. Walka z wyimaginowanym zagrożeniem. Wynurzenia Hitlera w 2021 r. nie są w stanie nikogo porwać ani przekonać. Jest dokładnie odwrotnie – mogą tylko zniechęcić do narodowego socjalizmu i jego twórcy. Cenzurowanie tego kluczowego źródła historycznego było kuriozum.

Na szczęście mamy to już za sobą. Każdy z nas może teraz przeczytać „Mein Kampf” i tym samym zajrzeć do mózgu Hitlera... ©

/ TEMAT NUMERU

.06 PROF. EUGENIUSZ CEZARY KRÓL

Świat według Hitlera

.10 FRAGMENTY KSIĄŻKI

Co jest w „Mein Kampf”?

.14 JAKUB OSTROMĘCKI

Pucz monachijski

.18 ANNA HERBICH

Zagadka śmierci Geli Raubal

.20 TOMASZ STAŃCZYK

Mity i pseudonauka nazistów

.23 PIOTR WŁOCZYK

„Biblie” dyktatorów

/ CZASY I LUDZIE

.26 PIOTR WŁOCZYK

Tajemnica pustych grobów generałów

.30 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Kłeska Francuzów w Wietnamie

.34 MIKOŁAJ IWANOW

Żelazny Feliks. Początek

.38 MAREK GAŁĘZOWSKI

„AS” z Armii Krajowej

.42 SŁAWOMIR KOPER

Tragedia Halszki z Ostroga

.45 PIOTR SEMKA

Goryl Honeckera

.48 PROF. DARIUSZ TOŁCZYK

Błazny w komedii Stalina

.54 MACIEJ ROSALAK

Co piąty ksiądz zginął

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI

Antykonceptcja

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Redliński: Od Rabarbaru do Nowego Jorku

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK

Sojusze nie są wieczne

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Praca zbiorowa

.69 PIOTR SEMKA

Revolucja w pamięci

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Giertych o Studnickim

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK

Niepospolici bracia z Litwy

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK

Trzecia wojna światowa o Polskę

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI**Polski Leon Zawodowiec**

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
MONIKA ODROBIŃSKA

„DZIECI WYGNANE. TUŁACZE LOSY MAŁYCH POLAKÓW
W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ”

DZIECI INACZEJ PAMIĘTAJĄ WOJNĘ...

Dziewięcioletni Mirek, trzyletnia Ola, pięcioletni Romek, ośmioletnia Marysia, czyli Dzieci wygnane. Dzieci rodzące się w bydlęcych wagonach w drodze na Syberię. Dzieci umierające z zimna, pragnienia, wycieńczenia, wyrzucane z transportu na kolejowy nasyp. Dzieci pracujące w tajdze przy wyrębie lasu, walczące o chleb. Dzieci osierocone, którym przyszło odgrywać rolę matek i ojców dla swych młodszych sióstr i braci. Dzieci odważne i niezłomne, które ocalały siebie i bliskich z sowieckiego piekła. Przeszły z armią Andersa jej żołnierską odyseję, trafiły do Iranu, Afryki, Indii i Nowej Zelandii.

Nie uciekaliśmy z kraju, ale do niego przez cały świat wracaliśmy. O polską niepodległość nasi żołnierze walczyli na wszystkich frontach. To byli więźniowie sowieckich łagrów i посиolków – wynędzniali, ale każdą drogą do Polski szli. Walczyli w nadziei, że wrócą do domu, na Kresy. Ich i nasza droga do domu usiana jest krzyżami – wśród nich nie ma krzyża mojego ojca. Ilu takich krzyży brakuje?

**Polskie dzieci, którym wydarto dzieciństwo, pamiętają wojnę inaczej niż dorośli.
Lektura ich wspomnień porusza, budzi sprzeciw wobec sowieckiego
zbydlęczenia i podziw dla heroizmu małych Polaków.**

98 zł

oszczędność 54 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

UWAGA NOWY NR.

33 1600 1462 1816 5874 1000 0006

ORLE PIÓRO sp. z o.o.,

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.



Rozmowa /



rozmawia Piotr Zychowicz

Z prof. Eugeniuszem Cezarym Królem,
autorem krytycznej edycji „Mein Kampf”

Świat według Hitlera

Adolf Hitler. Zdjęcie wykonane przez jego osobistego fotografa Heinricha Hoffmanna, kolorowane. FOT. BUNDESARCHIV BILD

/ W III Rzeszy sprzedało się 12,5 mln egzemplarzy „Mein Kampf”. Hitler zarobił na tej książce fortunę

PIOTR ZYCHOWICZ: Czy „Mein Kampf” to ciekawa książka?

PROF. EUGENIUSZ CEZARY KRÓL: Ciekawa była praca nad tą książką. Przygotowanie jej edycji krytycznej. Książka Adolfa Hitlera w sensie stylistycznym i konstrukcyjnym jest nieudana. Przyszły Führer nie używał niemieczyny wysokiej klasy. Nie był mistrzem pióra. To, co czyni „Mein Kampf” interesującym źródłem, to oczywiście fakt, że napisał ją Hitler. I że obok wątku autobiograficznego, notabene mocno sfalsyfikowanego, zawarł w niej główne założenia swojego światopoglądu.

Nawet Goebbels w „Dziennikach” przyznawał, że „Mein Kampf” jest napisana tak fatalnie, iż nie jest w stanie jej czytać.

Tylko raz mu się to wymknęło. Pozostałe wzmianki na temat „Mein Kampf” to już w wykonaniu Goebbelsa hołdy graniczące z nieomal religijnym oddaniem.

Czyli Goebbels miał chwilę szczerości.

Tak. Książka Hitlera była poprawiana w kolejnych wydaniach. Od 1925 r. do końca lat 30. trwała ciągła, mozolna i beznadziejna praca, aby polepszyć jakość stylistyczną „Mein Kampf”. Poprawek wprowadzono co najmniej 200. A mimo to w egzemplarzu z 1942 r. znalazłem jeszcze literówki i błędy w nazwiskach.

Ile egzemplarzy „Mein Kampf” ukazało się w Niemczech?

Dwanaście i pół miliona. Ostatnie egzemplarze opuściły drukarnie u schyłku 1944 r.

Ta liczba robi wrażenie. Co ciekawe, książka została wydana nawet alfabetem Braille’a.

Jedno wydanie rzeczywiście przygotowano dla niewidomych czytelników. Niestety nie wiadomo, jaki był jego nakład. W trakcie wojny wyszło również „wydanie polowe”, przeznaczone dla żołnierzy siedzących w okopach. Było też wydanie luksusowe oprawione w skórę. A także wydania bardzo tanie, na lichym papierze. Chodziło o to, aby każdy Niemiec – bez względu na swój status majątkowy – miał szansę zapoznać się z myślami wodza.

W jakich okolicznościach Hitler napisał swoją książkę?

W listopadzie 1923 r. narodowi socjaliści dokonali nieudanego puczu w Monachium. Hitler został postawiony przed sądem. Skład sędziowski wyraźnie sympatyzował z zamachowcami, stąd wyroki były niewielkie, a w dodatku zostały jeszcze później zredukowane.

Ile Hitler odsiedział?

W twierdzy Landsberg nad rzeką Lech spędził raptem dziewięć miesięcy. A skazano go na pięć lat. Warunki odbywania kary były luksusowe. Był to właściwie rodzaj sanatorium. Więźniowie mogli się swobodnie porozumiewać, chodzić po terenie więzienia. Dostawali paczki i przyjmowali wizyty gości z zewnątrz. Mimo to zwolennicy uważali Hitlera za „męczennika sprawy”. Uwieszenie stało się milowym krokiem w jego karierze.

Do napisania książki skłonili go współwięźniowie?

Tak, ale również odwiedzający go goście. Hitler miał w więzieniu mnóstwo wolnego czasu. Koledzy namawiali go: „Adolfie, opisz to, co przeżyłeś w listopa-

dzie 1923 r.". Adolf się zgodził i postanowił napisać artykuł. Kiedy jednak usiadł do pracy, tak się zapalił, że przygotował tekst liczący kilkadziesiąt stron. Wydał go w 1925 r., już po wyjściu z więzienia. A rok później ukazał się drugi tom. Od 1930 r. obie książki wydawano w jednym woluminie.

Hitler własnoręcznie pisał książkę?

Nie, dyktował ją osobie, która pisała na maszynie.

W więziennej celi?

Tak. Maszynę dostarczyła Hitlerowi fanatyczna zwolenniczka NSDAP, reprezentantka słynnego rodu producentów fortepianów Helene Bechstein. Hitler większość tekstu podyktował swojemu sekretarzowi Rudolfowi Hessowi, który razem z nim siedział w więzieniu. Podobno niewielką część napisał sam. Niestety maszynopis „Mein Kampf” się nie zachował. Adiutant Hitlera w 1945 r. otrzymał bowiem rozkaz zniszczenia wszystkiego, co stanowiło majątek ruchomy Führera. I tak uczynił.

Książka początkowo sprzedawała się średnio. W 1925 r. rozeszły się 23 tys. egzemplarzy pierwszej części, w 1926 r. – 13 tys. drugiej części. To chyba poniżej oczekiwań Hitlera?

Książka zaczęła się sprzedawać lepiej dopiero po 1930 r., gdy NSDAP stało się drugą partią w parlamencie. Wielu ludzi chciało się dowiedzieć, kim jest przywódca ugrupowania, które może dojść do władzy. Po 1933 r. „Mein Kampf” stała się zaś drukiem nieomal urzędowym. Od 1936 r. wręczano książkę wszystkim nowożeńcom.

Domyślam się, że im bardziej wzrastał nakład „Mein Kampf”, tym mniej tę książkę czytano.

Niezupełnie. Ocenia się, że mniej więcej jedna piąta niemieckiego społeczeństwa czytała „Mein Kampf” w całości lub w dużych fragmentach. To nie było więc tak, że ludzie ze wstrętem odkładali tę książkę lub stawiali bez zaglądania do niej na regale. Czytanie „Mein Kampf” było opłacalne. Ktoś, kto potrafił powołać się na myśli wodza, mógł liczyć na szybszą karierę.

Czy „Mein Kampf” była tłumaczona na inne języki?

Tak. W sumie przetłumaczono ją na ok. 40 języków. Rozpoczęło się to już w okresie międzywojennym. Wydawnic-

two NSDAP, które wypuściło książkę na rynek – Franz Eher Verlag – oferowało zagranicy licencję, ale zastrzegało sobie ingerencję w druk. Narodowi socjaliści szybko bowiem doszli do wniosku, że pewne części „Mein Kampf” są niewygodne. Zwłaszcza po 1933 r., po przejściu władzy. Na przykład silna antyfrancuska wymowa książki mogła komplikować relacje z zachodnim sąsiadem. Sam Hitler zresztą dawał do zrozumienia, że gdyby jeszcze raz miał napisać „Mein Kampf”, to pewne rzeczy by stonował.

Czy próbowano wydawać „Mein Kampf” bez zgody Hitlera?

Tak, oczywiście wydania pirackie się pojawiały. Na przykład jedno z nich wyszło we Francji i w efekcie wydawca trafił przed sąd. Przed wojną książka wyszła we Francji, w Wielkiej Brytanii i we wszystkich poważniejszych krajach Zachodu. Na ogół w wersji ocenzurowanej.

A w Polsce?

W Polsce – nie. Chociaż pewna redaktorka podjęła taką próbę. Wskazała nawet wydawnictwo, które gotowe było podjąć się tego przedsięwzięcia. Słynne Gebethner i Wolff. A więc dom wydawniczy założony przez Polaków niemieckiego pochodzenia. Ostatecznie nic z tego nie wyszło. Niemcy odmówili licencji. W efekcie „Mein Kampf” przed wojną w Polsce się nie ukazała. Chociaż można znaleźć opinie, że wydrukowano ją jako druk wewnętrzny, do użytku dla polityków i – szczególnie – oficerów Wojska Polskiego. Podjąłem próbę odnalezienia tego druku, ale nie ma po nim śladu.

Co z honorariami autorskimi? Hitler, sprzedawszy tyle książek, powinien być milionerem.



Tak prawdopodobnie było. Hitler dostawał tantiemy od każdego sprzedanego egzemplarza „Mein Kampf” i dochody te były ulokowane w jednym z banków szwajcarskich. Po wojnie alianci przejęli te pieniądze i przekazali na pomoc ofiarom wojny. Hitler pozwolił sobie na gest propagandowy: zrezygnował z pensji kanclerza Rzeszy. Łatwo mu to przyszło, bo miał inne źródło dochodu – „Mein Kampf”. Książka przynosiła krociowe zyski.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza to wspomnienia Hitlera. Opisał w niej swoje dzieciństwo, dom rodzinny, to, jak omal nie został malarzem. A także służbę wojskową. Czy był szczery?

Nie, nie był szczery. Zwłaszcza w sprawach rodzinnych. Z jego wynurzeń wynikało, że jego rodzina była przykładna, idylliczna. A on sam był człowiekiem, który dzięki swojej sile woli i żelaznej energii pokonywał kolejne, piętrzące się życiowe trudności. Wiele rzeczy zostało podkoloryzowanych czy wręcz zakłamanych.

Rzeczywiście, stosunki panujące w rodzinie państwa Hitlerów były dalekie od idylli.

Rodzina Hitlerów była typowo autorytarnie zarządzaną grupą społeczną. Ojciec, Alois, miał zawsze pierwsze i ostatnie słowo. A matka, Klara, była cicha, potulna, bardzo kochała syna. Hitler również żywił wobec niej bardzo mocne uczucia, a ojcu próbował się przeciwstawiać. Alois bił go często i Hitler w końcu tak zaciął się w sobie, że nawet przy najcięższych razach nie reagował. Ojciec przestraszył się, że wpłynie to na psychikę chłopca, i przestał go bić. Na jakiś czas. Alois Hitler był ograniczonym człowiekiem. Miał nadzieję, że syn zostanie urzędnikiem...

I w końcu został!

Tak, ale później, i to urzędnikiem szczegół-

**ADOLF HITLER
(OPRAC. EUGENIUSZ C. KRÓŁ)
„MEIN KAMPF”.
EDYCJA KRYTYCZNA”
BELLONA**

Dnego autoramentu. Po śmierci ojca. Za jego życia Hitler chciał zostać malarzem i postanowił studiować w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu. Wywołało to gniew i opór ojca. Hitler go przełamał i przystąpił do egzaminów.

Niech szlag trafi tych profesorów, którzy go oblali! Gdyby został malarzem, zaoszczędziłoby to ludzkości wielu cierpień.

Czasami się przebąkuje, że to, co Hitler malował – wbrew utartej opinii – nie było wcale takie złe. Profesorowie z Wiednia, którzy oceniali jego prace, stwierdzili, że widać w nim pewne zdol-

gustach. Wróćmy jednak do „Mein Kampf”. Z książki wynika, że już w 1925 r. największą obsesją Hitlera byli Żydzi. Skąd się wziął jego antysemityzm?

Silnie oddziaływało środowisko, w którym wyrastał politycznie. Byli to reprezentanci ruchów pangermańskiego i volkistowskiego, popularnych w Austrii i Niemczech w latach 20. XX w. Nasycony skrajnym nacjonalizmem, pałali nienawiścią do Żydów. Drugim źródłem antysemityzmu Hitlera były jego osobiste przeżycia w Wiedniu. Dla Hitlera okres wiedeński to pasmo udręk. Szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego mu się

matką. Odwdziczył się po latach, gdy zapewnił Blochowi nietykalność podczas antysemickich szykan i represji.

Kolejne zagadnienie: Lebensraum. Czy w „Mein Kampf” Hitler zarysował program ekspansji terytorialnej, który próbował realizować, gdy został kanclerzem?

Tak, ale nie był w tym oryginalny. Lebensraum to hasło, które przejął od niemieckich geopolityków (Friedrich Ratzel, Karl Haushofer). Cały jego światopogląd był eklektycznym zbiorem cudzych haseł, któremu potem nadano rangę ideologii. Rzeczywiście jednak Lebensraum, o którym Hitler pisał i mówił w latach 20. XX w., stał się strasliwą rzeczywistością w latach 1939 i 1941.

Co Hitler konkretnie pisał na ten temat?

To, że Lebensraum dla narodu niemieckiego nie znajduje się na zachodzie czy południu Europy. Nie znajduje się także w koloniach. Trzeba iść na wschód! Obszarem, na którym należy zdobyć przestrzeń życiową, jest „Rosja i podporządkowane jej państwa ościenne”. A więc Ukraina, Białoruś...

A Polska? Przecież w 1925 r. nasz kraj nie był podporządkowany Moskwie.

Na to pytanie można odpowiedzieć tylko znakiem zapytania. Nie ma wyraźnej odpowiedzi, czy Hitler już w wówczas uważał, że ziemie polskie również należy podbić. Jak wiadomo, w 1934 r. III Rzesza wyraziła chęć dogadania się z Rzeczpospolitą. Hitler podjął wysiłki, m.in. za pośrednictwem Hermanna Göringa, który w tym celu przyjeżdżał do Polski na polowania, aby namówić Polaków do wspólnego marszu na wschód. Przecież były tylko dwie możliwości. Niemcy mogli na Rosję iść przez Polskę albo z Polską. W 1925 r. Hitler jeszcze nie rozstrzygnął, którą z opcji wybrać.

Kolejną obsesją Hitlera była rasa. Domyślam się, że to też nie było oryginalne?

Słusznie. To również był czołowy wątek doktryn pangermańskich i volkistowskich. Marzeniem Hitlera było stworzenie „wspólnoty narodowej” w ramach „państwa volkistowskiego”, w której nie ma miejsca na ludzi „niepełnowartościowych rasowo”. W czystej „wspólnotie narodowej” nie było również miejsca dla przeciwników politycznych. Konserwatyistów, Partii Centrum, socjaldemokra-



Podczas ceremonii ślubnej nowożeńcy otrzymywali egzemplarz „Mein Kampf”

FOT. BIBLIOTHÈQUE NATIONALE DE FRANCE/WIKIPEDIA

ności zmierzające w kierunku rysunku architektonicznego. Gdyby skierował się w tę stronę, poszłoby mu lepiej. Problem w tym, że aby iść na architekturę, trzeba mieć maturę. A Hitler matury nie miał.

Parę lat temu na aukcji w jednej z galerii sztuki sprzedawano akwarelę Hitlera. Na odwrocie ręką przyszłego Führera narysowana była Myszka Miki.

On z wielką przyjemnością oglądał tego typu filmy. Zarówno Hitler, jak i Goebbels najbardziej lubili właśnie filmy Walta Disneya.

Z kolei ulubionym pisarzem Hitlera był m.in. Karol May, co chyba dużo mówi o Führerze i jego

tak źle wiedzie, dochodził do wniosku, że przyczyną jest to, iż miasto to buzujący tygiel narodowościowy, w którym najbardziej niecną działalność prowadzą Żydzi.

W Ameryce powstało wiele książek, których autorzy poddali Hitlera psychoanalizie. Osią tego zabiegu były oczywiście jego stosunki z matką. Według tych autorów antysemityzm Hitlera był pokłosiem tego, że lekarzem jego mamy był Żyd – Eduard Bloch. Klara Hitler zmarła na raka i zrozpaczony syn obwiniał o jej śmierć lekarza. Co pan sądzi o podobnych teoriach?

Wbrew tym teoriom dr Bloch był oceniany przez Hitlera bardzo pozytywnie. Szanował go za troskliwą opiekę nad

tów czy komunistów. Hitler po latach realizował tę ideę z morderczą konsekwencją.

To prawda. Próbując zmaterializować swoją szaloną utopię, mordował niepełnosprawnych w ramach operacji „T-4”. Żydów w ramach Holokaustu. Słowian w ramach licznych zbrodni na Wschodzie. A przeciwników politycznych wpakował do Dachau.

Albo zmusił ich do emigracji lub do wycofania się z życia publicznego. Tak było z konserwatystami, którym wydawało się, że będą w stanie kontrolować Hitlera.

Nowoczesność Hitlera, jego XX-wieczność, polegała na tym, że odrzucił tradycyjną doktrynę imperialną Cesarstwa Niemieckiego i wprowadził zamiast niej doktrynę rasową. Niemcy nie mieli już podbijać i germanizować obcych państw. Mieli germanizować ziemię, ale nie ludzi.

Pytanie tylko, co się miało stać z ludźmi? Oczywiście mieli zostać „usunięci”. To jest rzeczywiście zasadnicza różnica wobec programu Ottona von Bismarcka. Hitler szanował żelaznego kanclerza, ale odrzucał jego koncepcję germanizacji obcoplemieńców. Według Hitlera działanie takie prowadziło do „psucia rasy”. Narodowosocjalistyczna germanizacja miała polegać na odbieraniu obcoplemieńcom ich ziemi i osadzaniu na ich miejsce niemieckichbauerów.

Czy Hitler był wierzący?

Zerwał z katolicyzmem, w którym stał wychowany, ale wierzył w istnienie jakiejś Istoty Najwyższej. Uważał, że to ona zesłała go na ziemię, aby realizował jej wolę. W tym fantastycznym przekonaniu utwierdzało go to, że wyszedł obronną ręką z tyłu prób zamachu. Było ich chyba ze 40.

Co się stało z prawami autorskimi „Mein Kampf” po śmierci autora?

Prawa przejęli Amerykanie, którzy przekazali je rządowi Bawarii. Zgodnie z przepisami miał on zarządzać nimi przez 70 lat. Tak też się stało. Przez cały ten czas polityka władz bawarskich polegała na tym, żeby blokować nowe wydania „Mein Kampf”. Jeżeli takie wydania gdzieś na świecie się pojawiały, wówczas władze Bawarii starały się temu przeciwdziałać.

Dlaczego?



Okladka albumu przedstawiającego rozwój III Rzeszy w latach 1933–1940 FOT. ARCHIVE.ORG

Ponieważ uznawały, że jest to krzewienie zbrodniczej ideologii. Rzeczywiście w Niemczech żadne nowe wydanie przez 70 lat się nie ukazało, ale za granicą bywało różnie. Na przykład Sąd Najwyższy Szwecji uznał, że władze niemieckie nie mają nic do tego. Natomiast w Polsce władze zastosowały się do życzenia Bawarczyków. Wydały decyzję o skonfiskowaniu pirackiego wydania „Mein Kampf”, policja odwiedzała księgarnie i rekwirowała egzemplarze. A wydawca został skazany na grzywnę i wyrok więzienia w zawieszeniu.

Przykro się tego słucha. Cenzura w XXI w.

Wszystko zmieniło się w 2015 r. Wówczas wygasła 70-letnia blokada wydawnicza. Władze bawarskie postanowiły się do tego przygotować i szykowały edycję krytyczną „Mein Kampf”. Na zlecenie rządu Bawarii Instytut Historii Najnowszej w Monachium rozpoczął taki projekt. Brało w nim udział 150 naukowców. Władze przeznaczyły na ten cel pół miliona euro. Premier rządu bawarskiego Horst Seehofer pojechał jednak z oficjalną wizytą do Izraela, gdzie gospodarze dali mu do zrozumienia, że nie życzą sobie, żeby książka Hitlera ukazała się w Niemczech. Premier podzielił opinię Izraelczyków.

Spróbowałyby nie podzielić!

W efekcie kancelaria rządu bawarskiego poinformowała instytut, że wy-

cofuje się z projektu. Nie damy pieniędzy, a jak mimo to wydacie „Mein Kampf”, pociągniemy was do odpowiedzialności karnej. Instytut nie ugiął się i w 2016 r. wydał edycję krytyczną książki Hitlera. W dwóch ogromnych tomach, z gigantyczną liczbą przypisów i uwag na marginesach. Mimo olbrzymiego rozmiaru w Niemczech sprzedawało się już ponad 100 tys. egzemplarzy książki. Żadnego wzrostu nastrojów neonazistowskich to jednak oczywiście nie przyniosło.

Myszę, że te obawy były całkowicie absurdalne. „Mein Kampf” nie jest w stanie nikogo zachęcić do narodowego socjalizmu. Wprost przeciwnie – może tylko zniechęcić.

Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić, żeby ta książka mogła przysporzyć Hitlerowi nowych zwolenników. Instytut miał więc rację, że wydał „Mein Kampf”. A rząd Bawarii zrozumiał chyba swój błąd, bo już nie grozi procesem.

A pan nie boi się oskarżenia o „promocję hitlerizmu”?

Ja mam nadzieję na poważną dyskusję. Między tymi, którzy uważają, że wydanie jest krokiem słusznym, a tymi, którzy sądzą, że to zły pomysł. Zrobiłem to, co historycy powinni zrobić już dawno. Oddałem do rąk czytelnika jedno z najważniejszych źródeł historycznych dotyczących epoki narodowego socjalizmu. W krytycznym ujęciu, z ukazaniem kontekstu. Ta książka ma skłaniać do refleksji. Ukazuje bowiem, jak łatwo i szybko można zdemontować system demokratyczny. Klucze do tego demontażu tkwią właśnie w „Mein Kampf”. Książka Hitlera to ostrzeżenie dla współczesnych i kolejnych pokoleń.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Eugeniusz Cezary Król

jest historykiem i politologiem, autorem wielu książek, m.in. „Polska i Polacy w propagandzie narodowego socjalizmu w Niemczech 1919–1945”

oraz trzutomowej edycji tłumaczenia dzienników Goebbelsa. Opracowane przez niego krytyczne wydanie „Mein Kampf” jest trzecim takim wydawnictwem na świecie – po niemieckim (2016) i włoskim (2017).



Cytaty / Fragmenty książki Adolfa Hitlera

Owacje dla Adolfa Hitlera po ogłoszeniu przez niego przyłączenia Austrii do III Rzeszy FOT. ARCHIVES.GOV

Mroczne stronice „Mein Kampf”

/ Szczęśliwe dzieciństwo, wiedeńska nędza, służba w wojsku podczas pierwszej wojny światowej. A także chore wynurzenia o Żydach i rasie. Publikujemy fragmenty książki Hitlera

Jako szczęśliwe zrządzenie losu jawi mi się dzisiaj fakt, że urodziłem się akurat w Braunau nad Innem. To miasteczko leży przecież na granicy dwóch państw niemieckich, których ponowne zjednoczenie przynajmniej nam, ludziom młodszym, wydaje się życiowym zadaniem. Trzeba je zrealizować przy użyciu wszelkich środków! Niemiecka Austria musi powrócić do

wielkiej niemieckiej macierzy. Ta sama krew należy do wspólnej Rzeszy”.

„Śmiesznie łatwa nauka w szkole dawała mi tyle wolnego czasu, że więcej oglądało mnie słońce aniżeli cztery ściany mojego pokoju. Gdy dziś moi polityczni przeciwnicy z życzliwą uwagą analizują moje życie aż po czasy mojej ówczesnej młodości, aby w końcu stwierdzić z ulgą,

jakie to nieznośne figle płałał ten »Hitler« już za młodu”.

„To, że już wtedy nie należałem do próżniaków, rozumie się samo przez się. Szybko stałem się fanatycznym »niemieckim nacjonalistą«, przy czym nie jest to tożsame z dzisiejszym rozumieniem partii o tej nazwie. Czyniłem bardzo szybkie postępy w tym względzie, tak iż, mając już piętnaście lat, doszedłem do rozumienia różnicy pomiędzy dynastycznym »patriotyzmem« a volkistowskim »nacjonalizmem«; od tego czasu znałem już tylko ten drugi”.

„Zostałem młodym rewolucjonistą”.

„Już w mojej najwcześniejszej młodości doszedłem do pewnego przekonania, które później już mnie nigdy nie opuściło, a tylko jeszcze się pogłębiło: a mianowicie, że zabezpieczenie niemieckości zakłada zniszczenie Austrii oraz że poczucie przynależności narodowej nie jest identyczne z dynastycznym patriotyzmem, że to przede wszystkim habsburski dom panujący przyczynił się do nieszczęścia narodu niemieckiego. Już wtedy wyciągnąłem konsekwencje z tego przekonania. Gorąco pokochałem moją niemiecko-austriacką ojczyznę, głęboko znienawidziłem austriackie państwo”.

„Odkąd również w szkole realnej dostrzeżono mój talent do rysunku, tym mocniej obstawałem przy swojej decyzji. Ani prośby, ani groźby nie były już w stanie niczego tu zmienić. Chciałem zostać malarzem, a urzędnikiem zaś za żadne skarby świata. Ciekawe, że z biegiem lat ujawniało się [u mnie] coraz bardziej zainteresowanie dla architektury”.

„W wieku trzynastu lat straciłem nagle ojca. Udar dotknął tego samego w sobie krzepkiego mężczyznę, kończąc w najbardziej bezbolesny sposób jego ziemską wędrówkę, a nas wszystkich pogrążając w najgłębszym cierpieniu. Mogłoby się wydawać, że nie udało mi się osiągnąć tego, co sobie najbardziej wymarzył, a mianowicie zapewnienia synowi lepszej egzystencji i ustrzeżenia go przed swoim ciężkim losem”.

„Matka zmarła po długiej i pełnej cierpienia chorobie, która od samego początku nie dawała wielu szans na wyzdrowienie. Jednakże ten cios dotknął mnie szczególnie okrutnie. Ojca szanowałem, matkę natomiast kochałem. Bieda i surowa rzeczywistość zmusiły mnie do szybkiej decyzji. Skromne oszczędności ojca szybko stopniały podczas ciężkiej choroby matki, natomiast przysługująca mi zapomoga dla sierot nie wystarczała na życie. Byłem więc zmuszony sam jakoś zarabiać na chleb. Z walizką w rękę, zawierającą ubrania i bieliznę, z niezachwianą wolą w sercu, wyruszyłem do Wiednia. Miałem nadzieję, że także ja wywojuję od losu to, co przed pięćdziesięciu laty udało się mojemu ojcu. Ja także chciałem być »kimś«”.

„W ostatnich miesiącach jej choroby pojechałem do Wiednia, aby przystąpić do egzaminów wstępnych na Akademię [Sztuk Pięknych]. Uzbrowiony w grubą teczkę rysunków jechałem z przekonaniem, że będę mógł zaliczyć egzamin śpiewając. Już w szkole realnej byłem zdecydowanie najlepszym rysownikiem w klasie; od tamtego czasu moje uzdolnienia jeszcze się nadzwyczajnie rozwinęły, tak iż zadowolenie z siebie pozwalało mi z dumą i poczuciem szczęścia spodziewać się najlepszego”.

„Byłem tak pewien sukcesu, że zakomunikowane mi odrzucenie spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. I tak to w istocie było. Kiedy poprosiłem o audiencję u rektora, aby mi wyjaśnił przyczyny nieprzyjęcia mnie do podstawowej szkoły malarskiej Akademii [Sztuk Pięknych], ten pan zapewnił mnie, że z dostarczonych przeze mnie rysunków wynika w sposób jednoznaczny, iż nie mam uzdolnień jako malarz, natomiast moje uzdolnienia dotyczą najwyraźniej obszaru architektury”.

„Przybity, opuszczałem wspaniałą hansenowską budowlę przy placu Schillera, po raz pierwszy w moim młodym życiu niepokodzony z sobą samym. To, co spadło na mnie jak grom z jasnego nieba, kwestionując moje uzdolnienia, wydało mi się odkryciem rozdarcia, na które cierpiałem już od dawna, nie mogąc dotąd w pełni zdać sobie sprawy z jego przyczyn”.

„Wiedeń, miasto będące dla wielu symbolem niefrasobliwej radości, od-

świętny obszar zadowolonych ludzi, dla mnie jest niestety jedynie żywym wspomnieniem najtrudniejszego okresu mojego życia. Także jeszcze dzisiaj to miasto może budzić we mnie tylko ponure myśli. Nazwa tego miasta Feaków kojarzy mi się z pięcioma latami nędzy i narzekań. Przez pięć lat, najpierw jako pomocnik [na budowie], później jako skromny malarz musiałem zarabiać na chleb, na naprawdę nędzny chleb, który nigdy nie wystarczał na zaspokojenie codziennego głodu. A głód był wówczas moim najwstrętniejszym kompanem, który jako jedyny prawie nigdy mnie nie opuszczał i z którym rzetelnie dzieliłem się wszystkim”.

„W końcu września 1916 roku moja dywizja znalazła się w rejonie bitwy nad Sommą. Była to dla nas pierwsza z mających nastąpić później potwornych bitew materiałowych. Wrażenie trudne do opisania – bardziej piekło niż wojna. Pod trwającym całe tygodnie huraganowym ogniem niemiecki front utrzymał pozycję, czasem trochę ustępując, potem znowu posuwając się do przodu, nigdy jednak nie cofając się. 7 października 1916 roku zostałem ranny”.

„Kancelarie były obsadzone przez Żydów. Prawie każdy pisarz [kancelaryjny] był Żydem, a każdy Żyd pisarzem. Zdumiewałem się mnogością bojowników wybranego narodu i nie mogłem [zrobić] nic innego, jak tylko porównywać ich z nielicznymi przedstawicielami [tego narodu] na froncie. Jeszcze gorzej miały się sprawy z gospodarką. Tu naród żydowski stał się faktycznie »niezbędny«. Pająk zaczął powoli wysysać krew z żył narodu. Okrężną drogą przez towarzystwa wojenne znalaziono instrument, za pomocą którego stopniowo



Okładka i strona tytułowa „Mein Kampf” FOT. ARCHIWUM

■ wyniszczano narodową, wolną gospodarkę. Podkreślano konieczność pozbawionej ograniczeń centralizacji. W ten sposób już na przełomie 1916 i 1917 roku w zasadzie cała gospodarka niemiecka faktycznie znajdowała się pod kontrolą żydowskiej finansjery”.

„Z pułku zostało kilka kompanii. Żołnierze wycofywali się oblepieni błotem, bardziej podobni do upiórów niż do ludzi. Jednakże poza kilkoma setkami metrów dziur po granatach Anglik sprowadził na siebie jedynie śmierć”.

„W nocy z 13 na 14 października [1918 roku] Anglicy przypuścili atak gazowy na froncie południowym przed leper. Użyto do tego żółtego kryzja, którego działania jeszcze nie znaliśmy, o ile chodziło o wypróbowanie na własnym ciele. Sam miałem go poznać jeszcze tej nocy. Jeszcze wieczorem października [1918 roku], na wzgórzu położonym na południe od Wervik, dostaliśmy się pod wielogodzinny, huraganowy ogień granatów gazowych, który następnie trwał z większym lub mniejszym natężeniem przez całą noc. Już około północy część z nas została wyeliminowana z walki, niektórzy na zawsze. O poranku również mnie dopadł ból. Z kwadransa na kwadrans był on coraz silniejszy i około siódmej rano wycofałem się, potykając i chwiejąc, z piekącymi oczami, zabierając ze sobą mój ostatni meldunek wojenny. Już kilka godzin później moje oczy zmieniły się w rozżarzone węgle. Wokół mnie zapanowała ciemność. Tak trafiłem do lazaretu Pasewalk na Pomorzu”.

„10 listopada [1918 roku] przyszedł do lazaretu z krótką przemową pastor; teraz dowiedzieliśmy się wszystkiego. Kiedy jednak stary pan próbował opowiadać dalej i zaczął mówić, że musimy zakończyć tę długą wojnę, a nawet, że nasza ojczyzna w przyszłości, jako że wojna jest przegrana i znajdujemy się na łasce zwycięzców, zostałyby wystawione na wielkie uciemiężenie i że zawieszanie broni powinno zostać przyjęte z ufnością we wspaniałomyślność naszych dotychczasowych wrogów – tu już nie wytrzymałem. Nie było możliwe, abym



Witryna niemieckiej księgarni z portretem Hitlera i literaturą nazistowską. Kraków, lata okupacji FOT. NAC

został jeszcze dłużej. Znowu zrobiło mi się ciemno przed oczami i po omacku, zataczając się, wróciłem do sali sypialnej. Rzuciłem się na moje pościele i zakopałem płonąca głowę pod koc i poduszkę. Od dnia, w którym stałem nad grobem mojej matki, nigdy już nie płakałem”.

„Nie ma żadnego paktowania z Żydami. Jest tylko twarde albo – albo. Ja jednak postanowiłem zostać politykiem”.

„Dla mnie jednak i dla wszystkich prawdziwych narodowych socjalistów istnieje tylko jedna doktryna: naród i ojczyzna. To, o co musimy walczyć, to zabezpieczenie istnienia i pomnażania naszej rasy i naszego narodu, wyżywienie jego dzieci i utrzymanie czystości krwi, wolności i niezależności ojczyzny, do czego zdoła dojrzeć nasz naród, wypełniając także misję wyznaczoną mu przez Stwórcę Wszechświata. Każda myśl i każda idea, każda nauka i wszelka wiedza mają służyć temu celowi. Wszystko także należy rozpatrywać z tych punktów widzenia i według celowości stosować albo odrzucać”.

„Zdecydowałem, że pójde na zebranie tej partii [Niemieckiej Partii Robotników], dotąd jeszcze równie całkiem mi nieznaney. Gdy wieczorem przyszedłem do »przyboecnego pokoju«, który potem stał się dla nas historycznym, w byłej piwiarni Sterneckerbräu w Monachium, spotkałem tam około 20 do 25 obecnych, pochodzących głównie z niższych warstw ludności”.

„Im dłużej próbowałem się zastanawiać, tym bardziej rosło we mnie przekonanie, że akurat z takiego małego ruchu można było z czasem przygotować odrodzenie narodu – nigdy więcej jednak z udziałem politycznych partii parlamentarnych, które o wiele za bardzo były związane ze starymi wyobrażeniami albo wręcz brały udział w działaniach

użytecznych dla nowego rządu. To, co tu musiało zostać zapowiedziane, to był nowy światopogląd, a nie nowe hasło wyborcze. Jednakże była to nieskończona trudna decyzja, aby zdołać obrócić ten zamiar w rzeczywistość”.

„Po dwudniowych pełnych męki medytacjach i rozmyślaniach doszedłem w końcu do przekonania, że trzeba wykonać ten krok. Była to najważniejsza decyzja mojego życia. Nie można i nie wolno już było się cofnąć. Tak oto zameldowałem się jako członek „Niemieckiej Partii Robotników” i otrzymałem prowizoryczne poświadczenie członkostwa z numerem: siedem”.

„Grzech przeciwko krwi i rasie to grzech pierwotny tego świata i koniec ulegającej mu ludzkości”.

„Każda krzyżówka dwóch nierównych sobie istot wydaje produkt będący czymś pośrednim między poziomami obojga rodziców. Oznacza to więc, że potomek znajdzie się zapewne na wyższym poziomie niż rasowo niższa połowa rodzicielskiej pary, ale jednak nie na tak wysokim jak połowa wyższa. W konsekwencji taki [potomek] przegra walkę o przetrwanie z potomstwem osobników wyższych rasowo. Dlatego takie dobieranie się w pary jest w ogóle niezgodne z wolą natury, dążącej do wyhodowania coraz wyższych form życia.

Effekt każdego skrzyżowania ras, mówiąc całkiem krótko, jest więc zawsze następujący:

a) obniżenie poziomu rasy wyższej;
b) regres cielesny i duchowy, a tym samym początek, jeśli nawet powolnego, to przecież postępującego nieuchronnie charłactwa”.

„Co na tym świecie nie jest dobrą rasą, jest plewą. Wszystko, co dzieje się w historii świata, jest jedynie uzewnętrznieniem instynktu samozachowawczego ras w dobrym lub złym sensie”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wszystkie cytaty pochodzą z edycji krytycznej „Mein Kampf” przygotowanej przez prof. Eugeniusza C. Króla (wyd. Bellona).

Już 15 lutego w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



**MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI**
www.ms.gov.pl



**FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI**



Jakub Ostromecki

W 1923 r. Hitler i jego kamraci próbowali siłą przejąć władzę. Zamach stanu został stłumiony

W październiku 1918 r. do lazaretu w meklem-burskim Pasewalku trafił żołnierz o mizernym wyglądzie i dość groteskowej fizys.

Kilka tygodni wcześniej we Flandrii trujący gaz podrażnił mu oczy tak, że przez długi czas niemal nie widział. 10 listopada do szpitalnej sali przyszedł pastor i grobowym głosem rzekł: „Przegraliśmy. Jesteśmy na łasce Ententy. Niemcy nie są już cesarstwem, ale republiką”. Mina starszego szeregowego Adolfa Hitlera stała się jeszcze bardziej żałosna.

Tego samego dnia Hermann Göring rozkazał swoim pilotom, aby rozbili maszyny, by nie wpadły w ręce wroga tudzież zrewolucjonizowanego tłumu. On, as powietrzny mający na koncie wiele zestrzelonych samolotów wroga, był wściekły z powodu upokarzającego rozejmu.

Na jesieni 1918 r. młody kadet Heinrich Himmler spotkał się w Pasawie z powracającym z frontu starszym bratem. Jak pisała Katrin Himmler, Heinrich patrzył na Gebhardta z mieszaniną „podziwu i zazdrości”. Wojaczki bowiem nie doczekał, choć bardzo jej pragnął.

Hitler, Göring, Himmler, a także Frank, Hess i Röhm. Wszyscy oni w listopadzie 1918 r. podzielali te same uczucia: klęskę spowodowały nie zasoby Ententy, ale zadekowany za linią frontu Żyd-marksista! Wymienieni mężczyźni pięć lat później spotykają się na ulicach Monachium podczas słynnego puczu.

Portret puczysty

Skradne ruchy polityczne potrzebują społecznej frustracji i strachu tak samo jak bakterie próchnicze cukru. Tych odczuć było w Niemczech w 1918 r. aż nadto. Dla olbrzymich rzesz Niemców monarchia



Czołowi puczyści podczas procesu FOT. BUNDESARCHIV BILD

Pucz monachijski

i armia były ostoją społecznego ładu. Ich utratę w 1918 r. można porównać do sytuacji, w której Polacy lub Włosi obudzili by się w państwie bez Kościoła, Żydzi bez rabinów i świętych ksiąg, a Amerykanie bez konstytucji i wielu gwarantowanych przez nią swobód.

Szok po abdykacji cesarza zmienił się wkrótce w prozaiczny strach o byt. Niemcy pogrążyły się w hiperinflacji. Płace w wielu sektorach nie były przez kilka miesięcy waloryzowane, toteż ci, którzy dostawali pensję raz w miesiącu, momentalnie stawali się nędzarzami. Weteran Herbert Richter cytowany w biografii Hitlera autorstwa Laurence Rees wspominał: „Moi rodzice mieli tylko kapitał. Nie mieli żadnego kawałka ziemi. Nie mieli domu na własność. I ich majątek stopniał jak śnieg

na słońcu [...] Przedtem byliśmy całkiem zamożni. I nagle [...] staliśmy się biedakami”. Czarę goryczy przepełnił rok 1923. Ponieważ Republika Weimarska ociągała się ze spłatami reparacji wojennych, Francja zajęła zbrojnie Zagłębie Ruhry.

W szeregach monachijskich puczystów maszerował więc weteran wielkiej wojny, choć pamiętajmy, że 70 proc. jego frontowych kolegów z Monachium wciąż głosowało na socjaldemokrację. Byli też nauczyciel i student zafascynowani zrekonstruowaną przez nazistów germańską duchowością. Przeważali jednak drobno-mieszczanie. Była to grupa najmocniej dotknięta przez powojenny kryzys, stojąca teraz na krawędzi proletariatu. Niemiecki drobny ciułacz czuł się bezsilny i samotny. Aż do momentu, gdy przybył na wiec



można było zarobić również w piwiarni – te monachijskie mogły pomieścić po kilka tysięcy miłośników złocistego trunku.

Na przełomie czerwca i lipca 1921 r. Hitler odsiadywał krótki wyrok za inspirowanie pobicia, o dziwo – nie komunisty, ale bawarskiego separatysty. 4 listopada 1921 r. w czasie przemówienia Hitlera w jednej z piwiarni doszło do awantury na kufle między zwaśnionymi bojówkarzami – podniecony tym przyszedł Führer przemawiał jednak dalej. Władze bawarskie wprowadzały okresowo stan wyjątkowy i zakazywały nazistowskich lub komunistycznych publikacji, jednak czerwonych traktowały surowiej. Narodowi socjaliści wydawali się skutecznym, aczkolwiek dość ohydny antidotum na rewolucję w stylu sowieckim.

Monachijska szachownica

„Precz z listopadowymi zbrodnia-
rkami!” – wrzeszczał Hitler na wiecach. Nie miał jednak ma myśli w pierwszej kolejności Francuzów, nawet wtedy, gdy okupowali Zagłębie Ruhry, ale republikański rząd w Berlinie „chcący oddać Niemcy w ręce Żydów i bolszewików”. Konsekwentnie przekonywał, że musi on zostać obalony, a jego miejsce ma zająć wódz. Powtarzał jednak, że nie ma sensu organizować żadnego puczu, jeśli nie wesprze go wojsko. O tym, że w Monachium może dojść do zbrojnego przewrotu, wiedziano już od drugiej połowy 1922 r. „Nie jest wykluczone, że spróbują niedługo puczu, wykorzystując rosnącą inflację jako usprawiedliwienie” – pisał o działaniach nazistów ambasador Wirtembergii.

NSDAP nie było jednak jedyną antykomunistyczną, antyrządową i antyparlamentarną siłą w Bawarii. Od 26 września 1923 r. władza należała tu do Gustava von Kahra, komisarza krajowego mianowanego przez bawarski rząd o nie-

mal dyktatorskiej władzy, który z kolei szefował nieformalnemu triumwiratowi, w którym zasiadali też komendant Reichswehry Otto von Lossow oraz szef policji Hans von Seisser. Ludziom tym również marzył się ustrój autorytarny. Różnili się od nazistów w dwóch kwestiach. Po pierwsze, dopuszczali oderwanie Bawarii od Niemiec tudzież zwiększenie jej autonomii. Po drugie, uważali, że to Reichswehra powinna obalić rząd. Bojówkarze mają co najwyżej ją wspierać.

Hitler twierdził oczywiście, że to SA i organizacje z nią stowarzyszone wzorem włoskiego marszu na Rzym (czy jego zmitologizowanej wersji) obalą zgniłą demokrację, a Reichswehra będzie pilnować, aby nikt im nie przeszkadzał. Kwestie te obie strony wyjaśniały sobie przez cały rok 1923, ale ani Hitler nie przekonał von Kahra, ani von Kahr Hitlera. Tymczasem 3 listopada 1923 r. von Seisser pojechał do Berlina rozeznaczyć się, co na temat ewentualnego puczu sądzi sam szef sztabu generalnego Hans von Seeckt. Głównodowodzący nie zamierzał obalać rządu. Był to bardzo ważny komunikat – bawarski triumwirat nie zamierzał od tego momentu kiwnąć palcem w celu pomocy Hitlerowi, jeśli ten zechciałby działać sam. Dano mu to zresztą kilka razy delikatnie do zrozumienia. Von Lossow kazał mu czekać jeszcze dwa tygodnie. Może gdyby do puczu udało się przekonać kilku innych wyższych dowódców, to można byłoby spróbować buntu.

Hitler nie zamierzał jednak zwlekać. Wspominał: „Ludzie z Kampfbundu [koalicji paramilitarnych ugrupowań skrajnej prawicy – przyp. J.O.] naciskali. Nie można ich było dłużej powstrzymać. Od tak dawna obiecywano

im, że przystąpią do akcji, i przez tak długi czas poddawani byli ćwiczeniom, że w końcu chcieli zobaczyć coś na prawdę rzeczywistego. [...] Zaczęło brakować pieniędzy. Niezadowolenie rosło. Pojawiło się niebezpieczeństwo rozpadu Kampfbundu”.

Na 8 listopada zaplanowano wystąpienie von Kahra w piwiarni Bürgerbräukeller znajdującej się na wschód od centrum, za Izarą.



Fotografie zabitych uczestników puczu. FOT. WIKIPEDIA

NSDAP i usłyszał przemowę człowieka, który dla małego audytorium był jedynie egocentrycznym nudziarzem o śmierzdzącym oddechu, w obecności setek widzów stawał się zaś prawdziwym wizjonerem. Kapitan Karl Mayr, jeden z przełożonych Hitlera z czasów służby w Reichswehrze, stwierdził o swoim podkomendnym: „Gdy po raz pierwszy go spotkałem, był jak stary zbłąkany pies szukający pana”. To określenie pasuje do większości uczestników listopadowego puczu.

Do hitlerowskich bojówek zgłaszali się zatem właściciel kamienicy na przedmieściach obawiający się, że odbiorą mu ją komuniści, drobny wytwórca konserw, którego biznes został pożarty przez wielką fabrykę, czy urzędnik miejski, któremu nie dawała spokoju wizja Żyda pociągającego za sznurki w administracji i gospodarce. Antysemityzm był wśród tych ludzi powszechny. Ian Kershaw, biograf Hitlera, pisze: „Pewien zięjący nienawiścią komentarz: »Wszyscy (Żydzi) zasługują na powieszenie. Są winni wojny« – rzucony w monachijskim tramwaju – spotkał się z aprobatą wszystkich pasażerów”.

Przemoc w polityce w Monachium była na początku lat 20. endemiczna. Na ulicach szalały bojówki nacjonalistyczne i komunistyczne. Pałką lub kastetem



Bojówkarze SA z ujętym socjalistycznym radnym FOT. BUNDESARCHIV BILD

■ Hitler obawiał się, że komisarz knuje własny plan przewrotu, i chciał go ubiec. 7 listopada naszkicował naprędce plan puczu: zajęcie centrów łączności, koszar i komisariatów policji, aresztowanie działaczy lewicowych i zmuszenie w ten sposób wojska do przyłączenia się do puczu.

Piwny przewrót

8 listopada o godz. 20.30 podczas przemówienia von Kahra do sali wielkiej piwiarni wdarli się nazistowscy bojówkarze w hełmach. Kilku z nich dźwigało karabin maszynowy. Rozległy się krzyki i złorzeczenia. Zaraz jednak ktoś wypalił w sufit z pistoletu. Był to Hitler, który w towarzystwie dwóch ochroniarzy ruszył z marsową miną ku mównicy. Blefował od początku. Ogłosił początek rewolucji narodowej i powstanie nowego niemieckiego rządu. Von Kahr, von Lossow i von Seisser zdębieli. Hitler wskazał im wtedy uprzejmie drzwi do sali obok. Tutaj starał się ich przekonać do przyłączenia się do puczu. Zaproponował im stanowiska w tworzonemu przez siebie rządzie.

W czasie, gdy trwały te dramatyczne negocjacje, Göring uciszał rozgniewany tłum, na przemian prosząc i grożąc. Wkrótce przybył też Erich Ludendorff, współautor zwycięstwa pod Tannenbergiem ubrany w galowy mundur. Gdy oświadczył, że przyłącza się do buntu, triumwirat zgodził się, choć bez entuzjazmu, na „propozycję” Hitlera. Ów odegrał wtedy scenkę jak z kiczowatego przedstawienia, znów wymachując pistoletem: „Albo niemiecka rewolucja zacznie się dzisiaj wieczorem, albo do świtu wszyscy będziemy martwi!”.

W tym samym czasie druga grupa puczystów, w której znajdował się Himmler, zaatakowała rejonowe dowództwo armii. Był to tylko częściowy sukces – puczystom nie udało się zająć centrali telefonicznej. Nie zdobyli też koszar saperów. Dochodziła północ, gdy Hitler dowiedział się przez gońców o sytuacji w mieście.

Zostawił więc członków triumwiratu pod opieką Ludendorffa, a sam ruszył na drugi koniec miasta. To był błąd. Ten sam Ludendorff, który zastawił na Mazurach śmiertelną pułapkę na Rosjan, teraz okazał się naiwniakiem – wypuścił von Kahra, von Lossowa i von Seissera na słowo honoru. Ci oczywiście nie zamierzali dotrzymać zobowiązań złożonych w piwiarni i natychmiast wezwali pomoc z bawarskich garnizonów. O godz. 3 wszystkie rozgłośnie radiowe wiedziały już o puczu i stanowisku bawarskiego rządu.

Na ulicach

Nie wiedząc o tym, bojówkarze kręcili się po mieście, krzycząc i rozklejając afisze przedstawiające Hitlera jako nowego kanclerza. O godz. 5 niedosły wódz wiedział już jednak, że przegrywa. Zaczął zachowywać się jak tonący brzytwy się chwytający. Stwierdził, że pojedzie na prowincję szukać pomocy u zdezonizowanych Wittelsbachów. Pomysł ten wybił mu z głowy Ludendorff, mówiąc, że „nie pozwoli, aby sprawa utknęła w błocie jakiejś wiejskiej drogi”. Tymczasem morale wśród bojówkarzy zaczęło podupadać. Kershaw opisał atmosferę panującą wówczas w „przejętym” Bürgerbräukeller: „Jedni pokładali się na stołach. Inni leżeli na zestawionych razem krzesłach. Góry bułek i galony piwa [...] w większości zostały już skonsumowane”.

W końcu nad ranem Ludendorff i Hitler wpadli na desperacki pomysł – ruszą pochodem przez miasto. Stwierdzili, że ta spontaniczna akcja na pewno przeciągnie wojsko i policję na ich stronę. Trzeba było jednak jakoś poderwać śpiących, zziębniętych i lekko zamroczonych piwem bojówkarzy. Hitler kazał więc ukrąść z zajętej mennicy pliki świeżych banknotów i wypłacić je SA-manom.

Pochód liczący 2 tys. ludzi ruszył 9 listopada około południa. Wszedł na most Ludwika i skierował się ku centrum na północny zachód. Zaraz za mostem

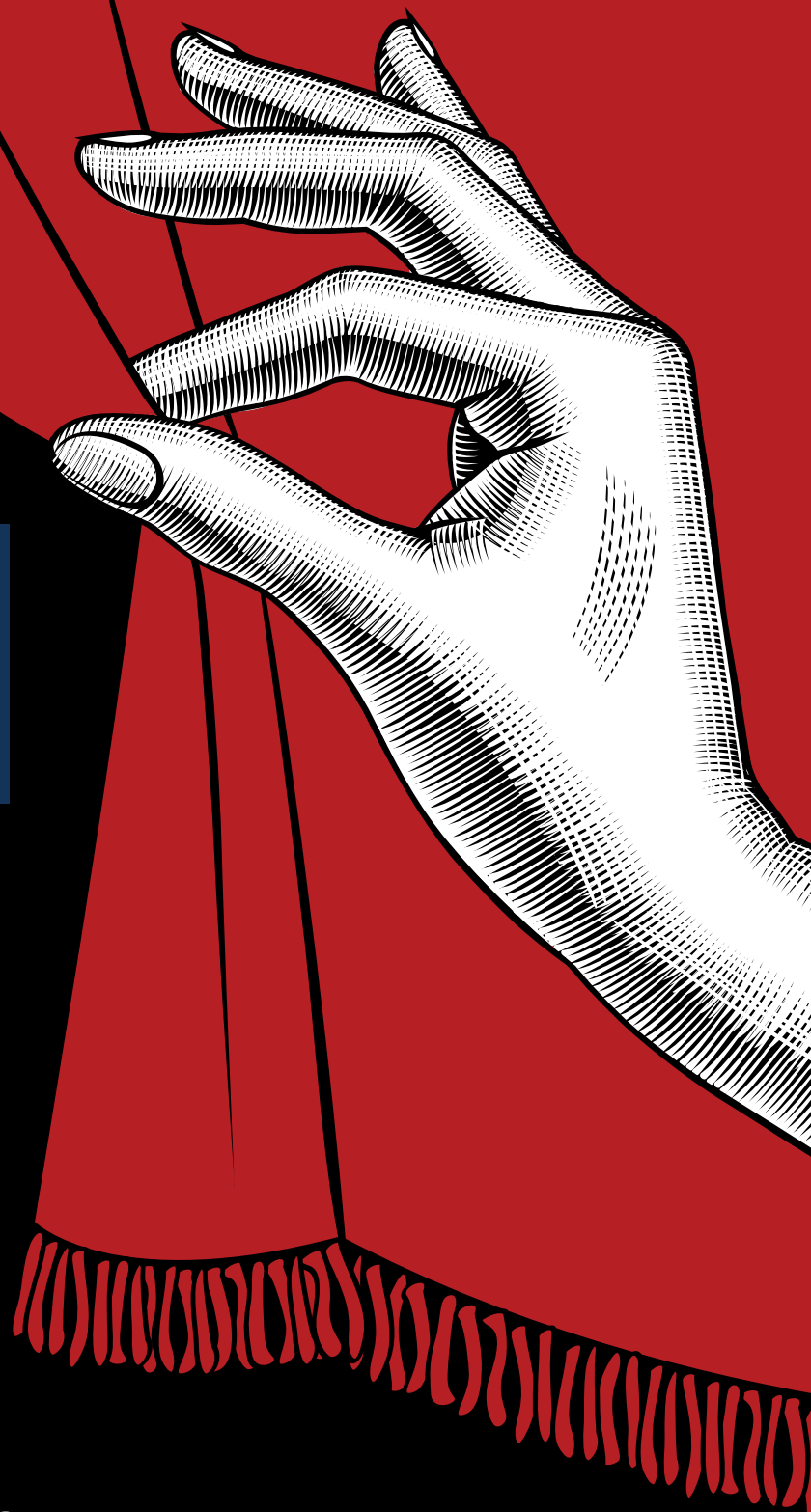
puczyści, grożąc bronią, sforsowali pierwszą policyjną blokadę. Nastroje gapiów były zróżnicowane – jedni wiwatowali na cześć nazistów, krzycząc: „Heil, Hitler!”, inni z nich szydzili. Ci szli zaś dalej ulicami Zweibrücken oraz Tal i dotarli do samego centrum na Marienplatz. Tutaj skręciła na północ w kierunku dowództwa Reichswehry. Dodawali sobie animuszu, śpiewając „Pieśń szturmową” – poprzedniczkę słynnej „Pieśni Horsta Wessela”.

W miejscu, gdzie wąska Residenzstrasse przechodzi w Odeonplatz, ustawił się drugi kordon policji. Pochód zatrzymał się. Ludendorff ruszył przed siebie i po prostu samopas przedarł się przez szeregi osłupiałych policjantów, ale zaraz potem padł strzał – najprawdopodobniej ze strony bojówkarzy. Doszło do chaotycznej strzelaniny, w wyniku której zginęło czterech policjantów i 14 członków pochodu. To był koniec buntu. Scheubner-Richter, towarzysz partyjny Hitlera, padając martwy na ziemię, pociągnął go tak niešťeśliwie, że ten zwicznął bark. Hitler, widząc przegraną, czmychnął z kłębowiska ciał. Uratował go lekarz partii Walter Schultze, który zaparkowanym niedaleko samochodem wywiózł go na wieś, do Uffing. Tam po dwóch dniach odnalazła go policja. Zbieg nie stawiał oporu.

Göring dostał strzał w pachwinę. Po wielu perypetiach zdołał uciec do Austrii, gdzie rozpoczął długie i bolesne leczenie. Od tego momentu zaczął faszerować się morfiną i tak z germańskiego herosa zrobił się galaretowaty stwór, jak mówili jemu współcześni, „o ciele starej baby”. Himmler zatrzymany na krótko przez policję wyszedł z puczu bez szwanku, ale za to z podleczołnymi nieco kompleksami. Mógł wmawiać teraz wszystkim, że przeszedł chrzest bojowy i jeszcze do tego był represjonowany.

„W tym 1923 roku swastyki i oddziały szturmowe zniknęły, a nazwisko Adolfa Hitlera popadło niemal w zapomnienie. Nikt nie myślał już o nim w kategoriach władzy” – pisał cytowany przez Kershaw Stefana Zweiga. Po raptem 10 latach słowa te wywoływały sardoniczny śmiech. Hitler, znakomity aktor, potrafił wykorzystać proces do promocji własnych przekonań. Nigdy nie przebaczał też tym, którzy odrzucali jego awanse. W 1934 r. von Kahr podczas nocy długich noży został wyciągnięty ze swojego mieszkania i zamordowany w Dachau „za zdradę”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



#włączprawdę

www.tvrepublika.pl



1931 r. / Tajemnica przywódcy NSDAP

Śmierć w domu Hitlera



Anna Herbich

/ Siostrzenica Hitlera została znaleziona martwa w jego mieszkaniu. Szokujące kulisy śmierci Geli Raubal

18 września 1931 r., w eleganckim apartamencie przy Prinzregentenplatz 16 w Monachium, znaleziono ciało. Należało do młodej kobiety. W jej płucach znajdowała się rana postrzału. Obok zwłok leżał pistolet Walther kal. 6,35 mm. Drzwi do pokoju były zamknięte na klucz.

Policja uznała, że przyczyną zgonu było samobójstwo, i szybko zakończyła śledztwo. Sprawa zapewne trafiłaby do przepastnego archiwum monachijskiej policji i uległa zapomnieniu, tak jak tysiące innych podobnych tragedii. Stało

się jednak inaczej. Śmierć na Prinzregentenplatz 16 stała się kanwą niezliczonych plotek, teorii spiskowych. Po latach na jej temat powstało wiele artykułów, książek i filmów.

Ofiara – 23-letnia Geli Raubal – była bowiem siostrzenicą Adolfa Hitlera. Jakby tego było mało, mieszkanie, w którym znaleziono ciało, należało do przywódcy NSDAP. Jego własnością był również pistolet Walther.

Faworytka wujka Adiego

Adolfa Hitlera z Geli Raubal łączyła bardzo silna emocjonalna więź, dość nietypowa w przypadku relacji wujek-siostrzenica. Przyszły Führer darzył córkę swojej przyrodniej siostry Angeli głębokim uczuciem. Zaczęło się to w roku 1925, gdy miała zaledwie 17 lat. Dwa lata później Geli wprowadziła się do Hitlera.

Osołomiona uwagą, jaką poświęca jej słynny „wujek Adi”, Geli szybko się od niego emocjonalnie uzależniła. Budziło to oczywiście plotki, że Hitlera z dziewczyną łączy coś więcej – ognisty, niezdrowy romans.

Osoby z najbliższego kręgu Hitlera wyrażały się jednak o Geli bardzo pochlebnie. Ładna, rezolutna, pogodna. Miała mieć pozytywny wpływ na Hitlera, który wysoko cenił u kobiet te cechy. Osobisty lekarz szefa NSDAP, Karl Brandt, w swoich pamiętnikach wspominał o wielkim wsparciu, jakiego Geli udzielała Hitlerowi w trakcie burzliwych lat pięcia się ku władzy. Według Brandta Hitler czcił Geli tak jak „wierni czczą Madonnę”.

Hitler był od niej starszy o 19 lat. Kiedy z nią przebywał, czuł się jednak znacznie młodszy. Dodawała mu wigoru. W jego stosunku do niej mieszała się ojcowska opiekuńczość z młodzieńczym zakochaniem.

Wkrótce jednak związek ten zamienił się w udrękę. Hitler autorytarnie kierował życiem Geli. Wypełnił jej dni różnymi zajęciami, zabierał ją do opery i restauracji, nie zostawiając czasu wolnego. Rozkład dnia miała zaplanowany niemal co do godziny.

Hitler piorunował wzrokiem każdego mężczyznę, który chciał się zbliżyć do Geli na dystans bliższy, niż dopuszczała etykieta. Blokował jej spotkania z rówieśnikami płci męskiej. Swojego szofera Emila Maurice doprowadził niemalże do palpacji serca, gdy wpadł w dziki szał na widok pocałunku, jaki biedak złożył na policzku Geli. Szofer został wyłany z pracy.

Z czasem miało to coraz bardziej destrukcyjny wpływ na psychikę dziewczyny. Czuła się osaczona i ubezwłasnowolniona przez zaborczego wujka, monachijskie mieszkanie stało się dla niej złotą klatką. Geli była coraz starsza i coraz silniej się buntowała. Rzuciła studia medyczne w Monachium. Planowała ucieczkę do Wiednia, gdzie chciała kontynuować lekcje śpiewu.

Miedzy nią a Hitlerem dochodziło do burzliwych kłótni i obopólnych scen chorobliwej zazdrości. Geli również bowiem była zazdrosna o „wujka Adiego”. Podczas obchodów święta Oktoberfest w Monachium w 1930 r. Geli i Hitler jedli pieczone kurczęta, zapijając je piwem. W pewnym momencie podszedł do nich Heinrich Hoffmann, osobisty fotograf przywódcy narodowych socjalistów. Towarzyszyła mu piękna, jasnowłosa asystentka, którą fotograf przedstawił jako „swoją siostrzenicę”.

Geli obraziła się śmiertelnie. Odebrała to bowiem jako skandaliczną drwinę z jej związku z wujem Hitlerem. Poza tym Geli zobaczyła, jak Hitler patrzył na

Lokalne gazety informowały, że Geli miała złamany nos. Została bowiem przed śmiercią pobita przez Hitlera podczas awantury. Inna teoria mówiła, że zabił ją z premedytacją,

bo dziewczyna zaszła z nim w ciążę. Jeszcze inna, że była jego seksualną niewolnicą, na której praktykował zboczzone, sadomasochistyczne praktyki. Nie mogąc tego dłużej znieść, dziewczyna się zabiła.

Plotki przybrały na sile po tym, gdy Hitler – pogrążony w rozpacz – odmówił wzięcia udziału w pogrzebie. Grób Geli odwiedził dopiero dwa dni później, w samotności.

Teorii na temat śmierci Geli i jej związku z Hitlerem jest bardzo wiele. Część historyków zgadza się z opiniami przyjaciółek dziewczyny, które wykluczają, że ich relacje mogły mieć aspekt cielesny. Według nich była to miłość obsesyjna, ale platoniczna. Są jednak również zwolennicy tezy, że Hitler uczynił z Geli swoją kochankę. W Polsce ukazała się właśnie głośna powieść Fabiano Massimiego opisująca meandry śledztwa prowadzonego przez monachijską policję po śmierci dziewczyny – „Anioł z Monachium”.

Hitler rozkazał na zawsze zamknąć pokój Geli, który zajmowała w jego apartamencie, i pod żadnym pozorem go nie otwierać. Jak pisał jeden z historyków, pogrębał w nim swoje związane z nią wspomnienia, a wraz z nimi jej balowe suknie, książki, nuty, spinki do włosów i inne osobiste przedmioty.

W testamencie zawartość pokoju zapisał jej matce, a swojej przyrodniej siostrze. Do jego śmierci osobiste rzeczy Geli miały jednak pozostać nietknięte i zamknięte na klucz. Portret siostrzenicy powiesił w swoim gabinecie w Kancelarii Rzeszy, często powtarzał, że była jedyną kobietą, która naprawdę kochała.

Śmierć Geli wywarła ogromny wpływ również na upodobania kulinarne przyszłego dyktatora. Do końca

życia nie tknął już mięsa. To właśnie po jej samobójstwie przeszedł na wegetarianizm. A także stał się abstynentem. Hitler powtarzał, że gdy widział mięso, czuł nieprzyjemny odór martwego ciała...

Do śmierci na każde wspomnienie o Geli Adolf Hitler ronił łzy. Mimo że w relacjach damsko-męskich był na ogół dość wyrachowany. Pewnego dnia, jedząc kolację w towarzystwie Alberta Speera, powiedział, że „bardzo inteligentni mężczyźni powinni brać sobie za żonę prymitywną i głupią kobietę”.

Swój pogląd tłumaczył tym, że mężczyzna w wolnym czasie musi mieć dużo spokoju i relaksu, a o ten najłatwiej w towarzystwie niespecjalnie bystrej partnerki. Nie przeszkadzało mu to, że rozmowie ze Speerem przysłuchiwała się Eva Braun. W swoich pamiętnikach Eva pisała z goryczą o tym, w jak szorstki sposób traktował ją Hitler. Często porzucał ją na wiele miesięcy i w ogóle się z nią nie kontaktował.

Eva dwukrotnie próbowała odebrać sobie życie. Po drugiej próbie Hitler uznał, że musi bardziej o nią zadbać. Bał się skandalu, jaki mógłby wybuchnąć, gdyby kolejny jego związek z kobietą zakończył się samobójczą śmiercią partnerki.

Hitler wielokrotnie powtarzał, że zasłużył Niemcy i tylko ojczyźnie pozostać wierny do końca. Bał się, że zawierając związek małżeński, nie będzie mógł poświęcić się w 100 proc. „pracy dla ojczyzny”. A poza tym nie będzie już tak uwielbiany przez Niemców, a konkretnie – przez Niemki.

Jak wiadomo, w końcu zmienił zdanie i poślubił Evę. Małżeństwo rzeczywiście nie przyniosło mu jednak niczego dobrego. Dzień po ślubie – 30 kwietnia 1945 r. – strzelił sobie w głowę w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy w Berlinie. Stolica i całe Niemcy obracały się w gruz. Razem z Hitlerem samobójstwo popełniła Eva Braun.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dziewczynę. Jej obawy były uzasadnione, bo uroczą towarzyszką Hoffmanna była... Eva Braun. Asystentka fotografa od tamtej pory rozpoczęła mozolną pracę nad zdobyciem Hitlera. Niepostrzeżenie wsuwała mu do kieszeni marynarki miłosne liściki. Jeden z nich przez przypadek znalazła Geli, co wywołało gorszącą scenę. Hitler zdawał się jednak nie widzieć niczego złego w zalotach Evy, co oczywiście doprowadzało Geli do jeszcze większego szału.

Lata 30. okazały się dla Hitlera kluczowe w jego politycznej karierze. NSDAP z marginalnej, ekstremistycznej partyjki wyrastało na czołowe ugrupowanie Niemiec. Brunatne koszule konsekwentnie maszerowały po władzę, w kolejnych wyborach osiągały coraz lepsze wyniki. Nic więc dziwnego, że potwornie zajęty Hitler poświęcał coraz mniej czasu młodej siostrzenicy.

Pojawiał się w swoim monachijskim mieszkaniu coraz rzadziej. Oprócz nadmiaru obowiązków wpływ miały na to konflikty i ustawiczne kłótnie, do których dochodziło między nim a Geli. Prawdopodobnie to właśnie po jednej z takich awantur oszalała z rozpacz Geli targnęła się na swoje życie.

Mięso i alkohol

Śmierć Geli Raubal głęboko wstrząsnęła Hitlerem. Była dla niego szokiem, nie mógł pogodzić się z odejściem siostrzenicy. Szalał z rozpacz, podobno nawet groził samobójstwem. W Monachium krążyły zaś uporczywe plotki – popularne do dziś – że to on zamordował siostrzenicę. A wcześniej przez lata stosował wobec niej fizyczną i psychiczną przemoc.



MASSIMI FABIANO
„ANIOŁ Z MONACHIUM”
ZNAK LITERANOVA

Główne zdjęcie: klasztor w Montserrat związany z legendą o Graalu

FOT. WIKIPEDIA



Mity i pseudonauka nazistów



Tomasz Stańczyk

/ Szalone teorie rasowe, okultyzm, neopoganizm i wilkołaki. Oto dziwaczny światopogląd narodowych socjalistów

To nie Adolf Hitler ani jego partyjni towarzysze, ani też nazistowscy pseudonaukowcy wymyślili tezę o wyższej i lepszej niż inne przywódczej rasie aryjskiej, o rasie panów i podludziach, do których zaliczano Słowian i Żydów. Idee takie pojawiły się już w XIX w. Jak zauważała Rosa Sala Rose, autorka „Krytycznego słownika mitów i symboli nazizmu”, niemiecki romantyk

Friedrich Schlegel, poeta i filozof, pisał o doskonałej rasie indoeuropejskiej, która migrowała do Europy. Choć kolebkę aryjską lokowano też na północy Europy i stamtąd mieli migrować do Azji. U źródeł ideologii narodowosocjalistycznej był też rasizm głoszony bynajmniej nie tylko przez Niemców, lecz spopularyzowany niezwykle przez Anglika Houstona Stewarta Chamberlaina oraz Francuza Arthura de Gobineau.

Aryjczycy spadli na Ziemię

Skąd się wzięła rasa panów? Najbardziej kuriozalne wytłumaczenie: z... kosmosu. Niemieccy nazistowscy przywódcy oficjalnie popierali tzw. światową teorię lodową inż. Hannsa Hörbingera (książka „Kosmologia glacialna” z 1912 r.). W Ziemię miała uderzyć bryła kosmicznego lodu. Eric Kurlander, autor „Ezoterycznych

źródeł faszyzmu”, cytuje w swojej książce słowa Heinricha Himmlera: „Aryjczycy nie rozwinęli się z małp, jak reszta ludzkości, lecz są bogami, którzy bezpośrednio zstąpili z Niebios na Ziemię, którzy »rozwinęli się z żywych istot« zakonserwowanych w »wiecznym lodzie kosmosu«”.

Poza tym to rzekome kosmiczne pochodzenie Aryjczyków, a więc i Niemców, kwestionowało biblijny przekaz o pochodzeniu wszystkich ludzi od Noego, „a zatem ich rodowód jest żydowski” – zauważała Rosa Sala Rose.

Powołany do życia przez Himmlera i włączony potem w struktury SS instytut Ahnenerbe, czyli Dziedzictwo Przodków, zajmował się z dużym zaangażowaniem badaniem legendy o Atlantydzie i wyspie Thule (były często utożsamiane ze sobą), położonej gdzieś na północy globu. Atlantydę i Thule mieli bowiem rzekomo zamieszkiwać przodkowie Aryjczyków, a więc Niemców.

W tym miejscu warto zauważyć, że w Niemczech powstało w 1918 r. Towar-



rzystwo Thule. Kurlander pisał: „Jego członkowie chcieli Wielkich Niemiec oczyszczonych z Żydów, masonów i komunistów”. Niczym niewiele później narodowi socjaliści.

W wyniku monstrualnej naturalnej katastrofy Atlantyda czy Thule przestały istnieć, jednak część zamieszkującego ją ludu ocalała i znalazła schronienie w Tybecie. Himmler wysłał więc tam interdyscyplinarną ekspedycję, która prowadziła badania historyczne, etnograficzne i antropologiczne. Szef Ahnenerbe, Walther Wüst, uznawał Niemców za potomków ocalałego ludu Atlantydy, którzy schronili się w Tybecie, a później wywędrowali do Europy.

Teoria kosmicznego i atlantydzkiego pochodzenia wielkiej cywilizacji Aryjczyków była niezwykle istotna. Aryjczycy-Germanie nie mogli przecież pochwalić się tak wybitnie rozwiniętą cywilizacją jak Grecy i Rzymianie. Były też jednak próby udowodnienia związków Greków, oczywiście Aryjczyków (!) z Germanami... Sam Hitler wierzył w takie pokrewieństwo i otaczał sztukę grecką estymą, a architektura i rzeźba III Rzeszy nawiązywała w pewien sposób właśnie do niej. Naziści fascynowali się, oczywiście, nie demokratycznymi Atenami, lecz zmilitaryzowanym, surowym ustrojem Sparty.

Germańska przeszłość

Hitler był zauroczony i zafascynowany mitycznymi bohaterami germańskimi, takimi jak Zygfryd i Wotan, przedstawianymi w operach Wagnera. Jednak w przeciwieństwie do Himmlera miał trzeźwy pogląd na badania nad prehistorią Germanów. Uważał, że nie ma po co ich rozwijać, skoro w czasach, gdy Grecy i Rzymianie wznosili imponujące budowle, tworzyli akwedukty i termy, rozwijali filozofię i prawo, „my biliśmy się na kamienie i kucaliśmy przy ognisku pod gołym niebem”.

Himmler odwoływał się także do średniowiecznej historii Niemiec. Uważał się za wcielenie Henryka Ptasznika, jak chcą jedni historycy, bądź za niego

uważał Hitlera, jak uważają drudzy. Dlatego nakazał odnalezienie grobu tego księcia, a potem króla Niemiec w X w., pogromcę Słowian połabskich, i oczywiście rezultat musiał być zgodny z jego marzeniami, choć nie ma żadnej pewności, że odkopane szczątki należały do Ptasznika. Himmler odwiedzał domniemany grób Henryka Ptasznika w katedrze w Quedlinburgu.

Sam Hitler – choć wątpliwe, że wierzył w reinkarnację – był zafascynowany postacią rzymskiego trybuna ludu Coli di Rienzi z XIV w., bohatera opery Wagnera. A także postacią Fryderyka Wielkiego. Do ostatniej chwili, gdy w 1945 r. III Rzesza waliła się nieodwołalnie w gruzy, Hitler wierzył, że powtórzy się „cud domu brandenburskiego”. W 1762 r. podczas wojny siedmioletniej zmarła caryca Elżbieta

Romanowa, a jej następca Piotr III nie kontynuował wojny i do klęski Prus oraz zajęcia Berlina nie doszło.

Narodowy socjalizm zrywał z tradycją chrześcijańskiej Europy. Uznano, że chrześcijaństwo to religia zwracająca uwagę na ludzi słabych, na równość wszystkich ludzi wobec Boga, co nie było do pogodzenia z rasą panów. Gorącym zwolennikiem czerpania pełnymi garściami z germańskiego poganstwa był ariozof Guido von List (zm. 1919 r.), jako kontrpropozycji wobec chrześcijaństwa.

Hitler i Himmler obiecywali sobie definitywne zniszczenie chrześcijaństwa w Niemczech po zwycięskiej, oczywiście, wojnie światowej, wypłenicie go z niemieckiej świadomości. Himmler – jak stwierdzał jego biograf Peter Longerich – chciał czerpać



Bruno Beger z Ahnenerbe podczas badań w Tybecie

FOT. BUNDESARCHIV BILD

■ inspiracje i wzory ze świata dawnych Teutonów, Germanów, będąc przekonany, że ich chrystianizacja była „fatalnym błędem, w istocie zbrodnią”.

Niemniej jednak Hitler miał twierdzić – zresztą za niemieckimi XIX-wiecznymi prekursorami tego poglądu – że Jezus Chrystus był niebieskookim blondynem, który prawdopodobnie wywodził się z zaginionego plemienia aryjskiego. Była w tym jakaś nielogiczność: Skoro Jezus był Aryjczykiem, to dlaczego jego nauczanie dające podstawę chrześcijaństwu było złe? Koncepcja Jezusa-Aryjczyka miała jednak wielu przeciwników, zarówno w czasach nazistowskich, jak i przed nimi.

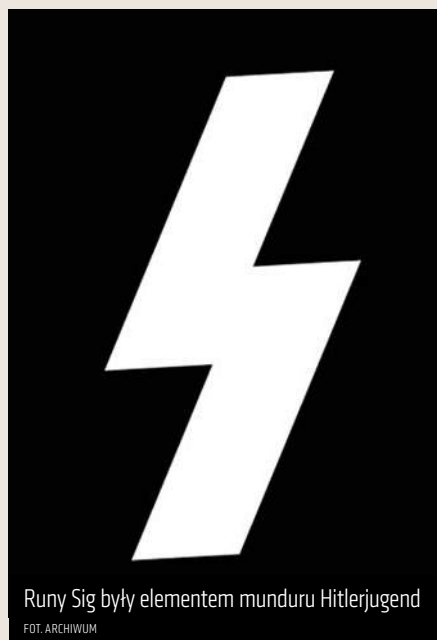
Czarownice i wilkołaki

W III Rzeszy oskarżano chrześcijaństwo o palenie czarownic na stosach nie dlatego, że było to niehumanitarne. Himmler uważał, że były to brutalne represje wobec kobiet, które kultywowały idee i światopogląd germański. „Tak zwane czarownice – utrzymywał Himmler – to relikty przedchrześcijańskiej, celtycko-germańskiej społeczności, wobec której Kościół katolicki zastosował ludobójstwo”. Dlatego dla zbadania sprawy powołał Jednostkę Specjalną do spraw Czarownic (!), mającą prowadzić badania historyczne, gromadzić dokumenty i źródła.

Oprócz czarownic Himmlera fascynowały także wilkołaki, które w mitologii germańskiej odgrywały – jak podawał Kurlander, analizujący niemieckie piśmiennictwo – pozytywną rolę jako „bojownicy ruchu partyzanckiego, którzy pragnęli bronić niemieckiej ziemi przed obcymi intruzami”. Niejaki Fritz Klopp założył organizację Werwolf (Wilkołak), w czasie gdy Francuzi w latach 20. minionego wieku okupowali Zagłębie Ruhry. Inne wcielenie zyskał Werwolf u schyłku III Rzeszy, jako organizacja partyzancko-dywersyjna.

Ludzie Himmlera byli zaangażowani także w badanie historii mitycznego Świętego Graala, spopularyzowanego zresztą przez opery Wagnera. Kurlander pisał, że Karl Maria Wiligut, jeden ze

współpracowników Reichsführera SS, zaaranżował w zamku Wewelsburg „salon Graala” jako miejsce szczególnych ceremonii dla elitarnego kręgu SS. Oczywiście, narodowym socjalistom było bliżej do idei Graala jako naczynia związanego z wagnerowskim Parsifalem, a nie z kielichem używanym przez Chrystusa. Niemniej jednak Himmler zwiedził kataloński klasztor Montserrat związany z legendą o Graalu. Pseudonaukowcy III Rzeszy wzięli Graala



z katarami, uważanymi przez nich nie za heretyków chrześcijańskich, lecz wyznawców lucyferianizmu. A w III Rzeszy bestsellerem była książka Ottona Rahna „Dwór Lucyfera” (1937 r.), której bibliofilski specjalny egzemplarz Himmler wręczył Hitlerowi.

Hitler był zafascynowany japońską religią sinto, z jej kultem bohaterów. „Religia Japończyków – powiedział – jest przede wszystkim kultem heroizmu, a jej bohaterowie to ci, którzy bez wahania są w stanie poświęcić życie dla chwały i bezpieczeństwa własnego kraju. Himmler zaś – jak pisał o nim Kurlander – nie rozstawał się z »Bhagawadgitą«, jedną ze świętych ksiąg hinduizmu, do tego wskazując na podobieństwa Hitlera z Kryszną”.

Miał też wiele uznania dla islamu, czytał Koran, uważał, że religia muzułmańska jest praktyczna dla żołnierzy, ponieważ uczy, że kto zginie

w boju, ten trafi do nieba. „My Niemcy i wy – muzułmanie podzielamy uczucie wdzięczności wobec przeznaczenia, że miłosierny Bóg – wy mówicie Allah, lecz jest to rzecz jasna ta sama postać – wysłał Führera do torturowanych i cierpiących narodów Europy”.

Neopoganizm

Rzecz jasna naziści woleli wrócić do pogańskich kultów, które zastąpiłyby chrześcijańskie. Czerpali inspirację od Guido von Lista, który propagował święta przesilenia zimowego i letniego. Rosa Sala Rose pisała, że „w dniu przesilenia w Rzeszy na ogromnych stadionach zgromadziło się ponad sto tysięcy osób. Z tej okazji wokół Zatoki Lubeckiej zapalono osiemset ognisk, co w ciemnościach pozwalało podziwiać z daleka jej kształt”. Letnie przesilenie było oznaką triumfu Słońca, „którego symbolem jest starożytny aryjski krzyż zbawienia: swastyka” – przypominał Kurlander.

Biograf Himmlera Peter Longerich w książce „Buchalter śmierci” pisał, że Reichsführer SS pragnął zastąpić Boże Narodzenie świętem przesilenia zimowego (święto Jul). Wręczał esesmanom świeczniki na dwie świece i wyjaśniał: „Mały płomień na podstawie świecznika ma płonąć jako symbol ostatniej godziny roku, który dobiega końca: duży płomień ma rozbłysnąć w pierwszej chwili po rozpoczęciu nowego roku”.

Himmler wierzył w magiczną moc nordycko-germańskich run. Najbardziej znane są te w postaci jakby podwójnych błyskawic, przyjęte przez SS (runy Sig, zwracano uwagę na podobieństwa nazwy do niemieckiego Sieg, czyli zwycięstwo).

Nie chodziło jednak o samą magię znaków, lecz o teorię, według której runy były starsze niż jakiegokolwiek alfabet. Pogląd taki sformułowany jeszcze w XVIII w. został ożywiony i spopularyzowany przez Guido von Lista, autora „Tajemnicy run” (1907 r.). Karl Maria Wiligut zwany Rasputinem Himmlera uważał, że w runach zaszyfrowana jest historia niebiańskiej rasy z Północy, która uległa jednak degeneracji z powodu mieszania się krwi z krwią ras Południa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Śladem Hitlera /

Dzieła Stalina,
Mao, Kaddafiego
i Nyýazowa

Józef Stalin firmował swoim nazwiskiem „Historię WKP(b)”
FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Biblie” dyktatorów



Piotr Włoczyk

Piramidalne bzdury, kłamstwa, których musiały się uczyć na pamięć całe narody. Te książki zamieniły życie milionów ludzi w koszmar

To była prawdziwa „biblia stalinizmu”. O tym, jaką rangą cieszyła się ta książka w Związku Sowieckim, wiele mówi historia, którą opowiedział mi znany rzeźbiarz prof. Stanisław Kulon (rocznik 1930). W lutym 1940 r. Sowietzi wywieźli rodzinę państwa Kulonów do łagru na Uralu. Profesor Kulon poznał tam pewnego studenta historii z Leningradu, z którym szybko się zaprzyjaźnił. Za jaką zbrodnię młody historyk trafił do łagru?

Kurs Stalina



„Powiedział mi, że zakwestionowałam, iż to Stalin napisał »Krótki kurs«. Został za to skazany z art. 58, czyli za działalność kontrrewolucyjną. Dostał 10 lat zsyłki. Wyglądał strasznie: obdarty, chory, miał jakieś wypryski na wyłysiałej głowie. Komandir zakazał nam kontaktu



„Czerwona książeczka” Mao została wydana w co najmniej miliardowym nakładzie. FOT. DOMENA PUBLICZNA

让哲学变为群众手里的尖锐武器

Nowe władze przygotowały nową wersję historii partii. Zdestalinizowana opowieść o dziejach bolszewików powstała pod redakcją Borisa Ponomariowa, wybitnego specjalisty do spraw propagandy, który w czasach stalinowskich kierował agencją prasową Sowinformbiuro.

Mao do czytania



Poza Biblią żadna inna książka nie została wydrukowana w tylu egzemplarzach. Najbardziej konserwatywne szacunki mówią o co najmniej 1 mld egzemplarzy. Niewykluczone jednak, że „Czerwona książeczka”

(właściwy tytuł: „Cytaty z dzieł Przewodniczącego Mao”) wydrukowana została nawet w dwumiliardowym nakładzie. W tamtym okresie wszystkie inne chińskie publikacje musiały ustąpić miejsca dziełu Mao. Jeżeli brakowało papieru i farb drukarskich, by sprostać żądaniom Pekinu, wówczas drastycznie ograniczano nawet druk podręczników szkolnych.

„Czerwona książeczka”, wydana w 1965 r., szybko stała się nośnikiem nienawiści, która rozlała się po całych Chinach w okresie rewolucji kulturalnej. Miliony hunwejbínów każdego dnia poświęcały długie godziny na studiowanie jej treści i wkuwanie kolejnych genialnych myśli przewodniczącego Mao. „Czerwona książeczka” szybko stała się jednym z najważniejszych symboli propagandowych czasów rewolucji kulturalnej.

427 cytatów z przemówień i artykułów Mao zostało uporządkowanych w 33 rozdziały: od spraw wojskowych („Każdy komunista powinien przyswoić sobie tę prawdę, że »władza wyrasta z lufy karabinu«”) przez wychowywanie młodzieży („Młodzież stanowi najbardziej aktywną i najbardziej żywotną siłę społeczeństwa. Ma ona największą chęć uczenia się i w myśleniu jest najmniej konserwatywna, szczególnie w epoce socjalizmu”) do komunistycznego „wyzwolenia” kobiet („Wraz z obaleniem władzy politycznej obszarników słabnie

■ z nim. Traktowany był jak trędowaty” – wspominał prof. Kulon.

Tak surowa kara nie powinna nikogo dziwić. Jakikolwiek krytyczny komentarz na temat książki „Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Krótki kurs” traktowany był jak atak na samego Stalina. Najważniejsze fragmenty tej książki musiał znać na pamięć każdy szanujący się sowiecki komunista. Partia zadbała o to, by stać na nią było nawet najbiedniejszych obywateli. „Krótki kurs” kosztował zaledwie trzy ruble, co stanowiło odpowiednik bochenka chleba.

Do połowy lat 50. ta „biblia stalinizmu” została wydana w ZSRS w 43 mln egzemplarzy. Po wojnie książka masowo drukowana była również w całym bloku wschodnim. Tylko w Polsce rzucono jej na rynek grubo ponad 1 mln sztuk. Dopiero Mao Zedong pobił ten rekord obozu komunistycznego, wydając swoją „Czerwoną książeczkę”.

„Krótki kurs” był pracą zbiorową napisaną pod redakcją specjalnej komisji Komitetu Centralnego WKP(b) i samego Józefa Stalina. Przywódca ZSRS podobnie sam napisał rozdział o materializmie dialektycznym. Książka wydana została w październiku 1938 r. w szczycie wielkiego terroru. Nawet jak na warunki

komunistycznej propagandy „Krótki kurs” był wyjątkowo zakłamaną pozycją. Stalin przepisał na nowo swój udział w rewolucji październikowej, czyniąc z siebie pierwszoplanowego bohatera pierwszych lat bolszewickiego reżimu. Właściwie jego rola była równa roli Lenina. Z kolei czołowi bolszewicy, których Stalin uznał za swoich wrogów, zostali na kartach „Krótkiego kursu” kompletnie zmarginalizowani.

Książka była uaktualniana, by odpowiadała aktualnej wykładni historii partii. W momencie publikacji „biblii stalinizmu” szefem NKWD był Nikołaj Jeżow (pozostał na tym stanowisku jeszcze nieco ponad miesiąc). W pierwszym wydaniu „Krótkiego kursu” został on przedstawiony czytelnikom jako „doświadczony lider, w zaangażowany sposób niosący kaganek oświaty”. Po aresztowaniu i rozstrzelaniu Jeżow zniknął z kolejnych wydań książki.

Symboliczny jest w tym kontekście los Wilhelma Knorinsza, jednego z redaktorów „Krótkiego kursu”. Ten łotewski komunista, redaktor „Prawdy”, w czasie prac nad najważniejszym tekstem w ZSRS został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa i rozstrzelany.

Po objęciu władzy przez Chruszczowa „Krótki kurs” został potępiony.

i władza rodu, i władza religii, i władza męża...”).

Mao nie ograniczał się jednak tylko do teorii na temat stosunków społecznych. W swojej książeczce dawał rady choćby na temat tego, jak powinno wyglądać prawidłowe zarządzanie pracą: „Nie należy czekać z rozwiązaniem problemów do czasu, kiedy się one już spiętrzą, kiedy powstanie wiele nieporządków. Kierownicy muszą iść na czele ruchu, a nie pozostawać w tyle”.

Przypomnijmy tylko, że „Cytaty z dzieł Przewodniczącego Mao” zostały wydane już po spektakularnej klęsce nadzorowanego przez Mao „Wielkiego skoku”. W wyniku spowodowanej nim klęski głodu zginęło kilkadziesiąt milionów Chińczyków.

„Green book” Kaddafiego



Wielkiego sukcesu wydawniczego „Czerwonej książeczki” pozazdrościł Muammar Kaddafi, który w 1975 r. wydał swoją „Zieloną książkę”. O ile Mao czekał 15 lat, by

zgrupować w jednej publikacji swoje najważniejsze idee, o tyle Kaddafi swoje wytyczne dla narodu wydał już sześć lat po objęciu władzy w Libii. Znalazły się w niej zaiste intrygujące myśli, np. „Według ginekologów kobieta ma miesięczkę co miesiąc, natomiast mężczyzna, będąc samcem, nie miesiączkuje i nie ma okresu, który oznacza krwawienie”.

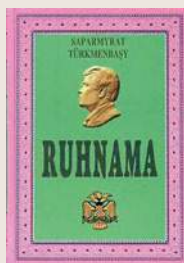
W „Zielonej książce” libijski dyktator promował jednak przede wszystkim swoją wizję „trzeciej drogi” pomiędzy kapitalizmem a komunizmem. Tłumaczył w niej ideologię Dżamahirijja (Państwo Ludu), którą próbował wprowadzić w Libii. „Trzecia droga” Kaddafiego łączyła demokrację bezpośrednią (był on przeciwnikiem istnienia partii politycznych), socjalizm i islam. Wszystko to podlane było sosem beduińskiej wyższości. Kaddafi przekonywał w „Zielonej książce”, że osiadły tryb życia rozleniwia ludzi, zabijając w nich waleczność. Właśnie dlatego libijski dyktator z ta-

kim upodobaniem mieszkał w luksusowych namiotach. Tłumacząc w swojej książce przewagę koczowniczego trybu życia, Kaddafi zapędzał się w zaskakujące rejony, krytykując w tym kontekście... przemysłową hodowlę kur.

Kaddafi był przeciwnikiem systemu demokratycznego w wydaniu zachodnim. Jego zdaniem ten typ rządów nieuchronnie prowadzi do tyranii, przed czym Kaddafi bardzo przestrzegał. „Najbardziej despotyczne dyktatury na świecie istniały w cieniu parlamentów” – alarmował w swojej książce. Żeby odróżnić się od „zepsutych” demokracji zachodnich, stworzył wielki Powszechny Kongres Ludowy. Liczył on 2,7 tys. członków mających jak najszerzej reprezentować społeczeństwo. Oczywiście była to fasadowa instytucja, realizująca posłusznie wolę dyktatora.

W latach 1975–2011 codziennie odczytywano fragmenty „Zielonej książki” w libijskich mediach, a młodzież szkolna musiała recytować jej treść z pamięci. Aby wypromować swoją filozofię polityczną, Kaddafi założył Światowe Centrum Studiów i Badań nad Zieloną Książką w Trypolisie, w którym pracowało ponad 100 osób. Zniszczone w 2011 r. przez naloty NATO, jest obecnie „odbudowywane” w Internecie przez niedobitki fanów dyktatora.

Kosmiczna lektura



„Ruhnama” („Książka duszy”) to dzieło życia „dożywotniego prezydenta” Turkmenistanu Saparmyrata Nyýazowa. Ten sowiecki aparatczyk zbudował w latach 1990–2006 kult jednostki, który powszechnie porównywany był do kultu w Korei Północnej. Poza „dożywotnim prezydentem” Nyýazow obwołał się też Turkmenbaszą, czyli „ojcem wszystkich Turkmenów”.

Jednym z największych absurdów, z jakich zasłynął Nyýazow, było wystawienie sobie w stolicy pożądanego posągu, który cały dzień obracał się, by twarz Turkmenbaszy zawsze była opromieniona przez słońce. Niedaleko posągu dyktator kazał wznieść chyba

jeszcze dziwniejszy monument. Stojąca na podwyższeniu, otoczona fontannami gigantyczna książka otwiera się co wieczór, by przypomnieć mieszkańcom Aszchabadu o nieskończonej mądrości mającej płynąć z lektury „Ruhnamy”.

W tym kontekście porównania do Korei Północnej wydają się czymś zupełnie naturalnym. Nyýazow zalecał bowiem młodzieży czytanie książki trzy razy dziennie. „Osoba, która czyta »Ruhnamę«, staje się mądra, a następnie idzie prosto do nieba” – stwierdził dyktator Turkmenistanu w 2006 r., kilka miesięcy przed swoją śmiercią.

Turkmenbasza chciał mieć pewność, że jego dzieło będzie czuwać nad całą ludzkością, więc na jego życzenie „Ruhnama” została wystrzelona w kosmos. Jedną z najciekawszych perełek z dzieła Nyýazowa jest twierdzenie, że to w Turkmenistanie – a nie w Mezopotamii, jak powszechnie wiadomo – wynaleziono koło.

W czasach dyktatury Turkmenbaszy znajomość „Ruhnamy” była sprawdzana nie tylko wśród chętnych do pracy w administracji państwowej, lecz także podczas egzaminów na... prawo jazdy. Nauka „Ruhnamy” z pewnością nie była łatwą sztuką, zważywszy na to, że większość książki to same ogólniki w stylu: „Naród to grupy społeczne przekształcone w kontekście pewnych duchowych podwalin. Naród jest kształcony materialnie według tych duchowych podwalin”.

Dyktator nie zapominał jednak zwracać się co jakiś czas bezpośrednio do swoich czytelników: „Pokażcie mi uśmiechami, jak wiele dla was zrobiłem!” – wołał do Turkmenów Nyýazow z kart swojej książki.

Turkmenbasza żądał, by „Ruhnamę” odczytywano w meczetach. Wszystkich opornych karał w bezwzględny sposób. Główny mufti Turkmenistanu, Nasrullah ibn Ibadullah, został skazany w 2004 r. na 22 lata więzienia za sprzeciwianie się woli Nyýazowa. W 2007 r. wypuścił go następca Turkmenbaszy – Gurbanguly Berdimuhamedow. Nowy dyktator wycofał „Ruhnamę” ze szkół, a jej znajomość nie jest już wymagana, by uzyskać prawo jazdy. Berdimuhamedow buduje jednak własny kult jednostki, pisze kolejne książki, więc niewykluczone, że niedługo stwierdzi, iż chciałby mieć własną „Ruhnamę”...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1970-2021 / Zagadki cmentarzy Orląt i Łyczakowskiego



Tajemnica pustych grobów generałów



Piotr Włoczyk

Dwie polskie reporterki ustaliły miejsce spoczynku gen. Wacława Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego, słynnego obrońcy Lwowa, którego trumnę przeniesiono potajemnie w trakcie dewastacji cmentarza Orląt Lwowskich. W niezwyklej historii ratowania szczątków polskich bohaterów pozostaje jednak mnóstwo znaków zapytania

Cmentarz Obrońców Lwowa przedstawia obraz zniszczenia i zaniedbania. Kaplica niszczy, pomniki, w tym również pomnik lotników amerykańskich, zniszczono. Napisy na sarkofagach i na filarach łuku wyrąbano. Schody prowadzące do kaplicy zniszczone. Ocalały tylko cztery pomniki. W tym pomnik gen. Iwaszkiewicza – wspominał swoją podróż do Lwowa Stanisław Koziół, legionista pochodzący z tego miasta, który po drugiej wojnie światowej osiadł w Lon-

Cmentarz Obrońców Lwowa
i gen. Wacław Iwaszkiewicz-
Rudoszański FOT. GRYFFINDOR/WIKIPEDIA



mało mają nadziei na zmianę sytuacji za ich życia” – pisał Stanisław Koziół.

Czołgami po grobach

Garstka Polaków ze Lwowa (szacuje się, że ok. 12 tys. Polaków zdecydowało się pozostać po wojnie w swoim mieście) nie miała żadnych powodów, by patrzeć w przyszłość z optymizmem. Piętnaście lat brutalnej sowietyzacji i rugowania polskości zrobiło swoje. Polacy mogli korzystać tylko z trzech świątyń katolickich, na które nałożono horrendalnie wysokie podatki. Reszta „polskich” kościołów przerobiona była m.in. na magazyny i sklepy. Tragicznie prezentował się też jeden z najważniejszych symboli polskości na Kresach – cmentarz Obrońców Lwowa.

Ta święta dla Polaków nekropolia wyszła z wojny niemal nienaruszona, ale wystarczyło kilkanaście lat sowieckiej władzy, by cmentarz został zamieniony w ruinę, o której wspominał w swojej relacji Stanisław Koziół. Część grobów zdewastowano, by następnie ze zrabowanych materiałów zrobić na sąsiednim Łyczakowie miejsca pochówku dla sowieckich żołnierzy. Polacy mieli zakaz wstępu na teren nekropolii, ale i tak co roku na

początku listopada pojawiały się tam znicze i kwiaty.

W 1968 r. dwóch przedwojennych generałów związanych ze Lwowem, gen. Roman Abraham i gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, postanowiło ratować cmentarz. Generałowie napisali w tej sprawie list do władz PRL. W niedługim czasie do gen. Abrahama odezwał się konsulat sowiecki: „Jak już Wam donosiliśmy, egzekutywa lwowskiego Miejskiego Komitetu Delegatów Mas Pracujących poleciła przeprowadzić szereg prac w celu uporządkowania terenu cmentarza”.

Jak wyglądała akcja „uporządkowania” miejsca spoczynku polskich bohaterów? Takiego barbarzyństwa chyba nikt się nie spodziewał. W 1971 r. na terenie nekropolii pojawiają się robotnicy wraz ze spychaczami i z koparkami.

Generał Abraham alarmował Polonię z USA: „Czołgi i buldożery zburzyły na cmentarzu lwowskich »Orląt« pomnik Chwały, który otaczał miejsce grobu Nieznanego Żołnierza, skąd ekshumowaliśmy Jego Zwłoki i przewieźli do Panteonu Chwały w Warszawie. Czołgi przejechały też przez płytę tego miejsca, niszcząc ją zupełnie, potem tratowały wraz z buldożerami resztę pozostałych grobów żołnierskich, zmiatały kości poległych i to wszystko przy akompaniamencie rozwydrzonej i wiwatującej gawiedzi”.

Wydawało się, że to już koniec tej wyjątkowej nekropolii. Lwowscy Polacy z niedowierzaniem przyglądają się, jak mogiły bohaterów walczących o wolność ich miasta jedna po drugiej obracane są w gruzowisko. A przecież wśród pochowanych tam są ci najwięksi, m.in. abp Józef Teodorowicz (zm. 1938 r.), legendarny metropolita lwowski obrządku ormiańskiego, gen. Tadeusz Jordan-Rozwadowski (zm. 1928 r.), obrońca Lwowa podczas wojny polsko-ukraińskiej i szef sztabu generalnego w trakcie Bitwy Warszawskiej, a także gen. Wacław Iwaszkiewicz-Rudoszański (zm. 1922 r.), który w marcu 1919 r. ruszył na odsiecz Lwowowi i zastąpił gen. Jordan-Rozwadowskiego na stanowisku dowódcy polskiej armii w Małopolsce Wschodniej.

„Od tego czasu cmentarz Orląt, a raczej to, co z niego zostało, jest tylko polem zarośniętym chwastami z pomnikiem Chwały sterczącym wśród zgłiszcz jak przęsło mostu – czytamy w książce Anny Smółki i Agnieszki Rybak »Kresy. Ars moriendi«. – Napis na nim sztydzi:

dynie. Artykuł na ten temat („Lwów w roku 1960”) ukazał się w 1961 r. w polskiej prasie w Londynie. Nic dziwnego, że poświęcono na niego dużo miejsca – społeczność lwowian żyjących na emigracji była złaćniona wszelkich informacji o ukochanym mieście.

„Poza kościołem i szkołą nie ma żadnego zorganizowanego życia polskiego we Lwowie. Tylko jeszcze przyjazd polskiego teatru staje się okazją zgromadzenia się większej liczby Polaków w jednym miejscu. Istnieje wyczuwalna obawa przed nawrotem terroru. Ludzie

■ Mortui sunt ut liberi vivamus (Umarli, byśmy mogli żyć jako wolni ludzie). Nic tu nie ma się ku życiu. W połowie lat siedemdziesiątych z katakumb zostają wymiecione szczątki siedemdziesięciu dwóch obrońców. Na resztkach budowli stają baraki. Teraz będzie tu komunalny zakład produkcji pomników nagrobnych. Zza płotu słychać jazgot szlifierni płyt z lastryko. Samochody ciężarowe i trak-tory garażują na miejscu po pomniku lotników amerykańskich. Stoją też na grobach generałów. Zdezelowany sprzęt płami teren ropą i olejami. Kaplica Orląt świetnie się sprawdza jako skład złomu”.

Znikające szczątki

Polacy odwiedzający dziś pięknie odnowiony cmentarz Obrońców Lwo-wa obowiązkowo zatrzymują się przed grobem gen. Tadeusza Jordan-Rozwa-

poszukiwała w prasie miejsca spoczynku gen. Tadeusza Jordan-Rozwadowskiego.

Tajemnicą poliszynela było w „pol-skim” Lwowie to, że tuż przed dewastacją nekropolii przez sprzęt ciężki grupa Po-laków dokonała potajemnej ekshumacji najważniejszych lwowian. Autorki książ-ki postanowiły rozwikłać tę zagadkową historię. Anna Smółka i Agnieszka Rybak krążyły po całym Lwowie, docierając do ostatnich żyjących świadków, którzy mogliby wyjaśnić, kto stał za akcją przenoszenia zwłok na sąsiedni cmen-tarz Łyczakowski i w jakich konkretnie grobach dokonano dochówków.

Wiadomo, że oprócz wspomnianych już abp. Teodorowicza i gen. Jordan-Roz-wadowskiego oraz gen. Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego przeniesiono też szcząt-ki brygadiera Czesława Mączyńskiego, ks. Gerarda Szmyda oraz lotników: Stefana Bastyrę, Stefana Steca i Włady-sława Torunia.

i kości naszych poległych żołnierzy. Pra-wie wszystkie groby zrównano z ziemią, [po] jakichkolwiek płytach lub napisach nawet znaku nie pozostało. Zbliżamy się do nieuchronnej i zupełnej ruiny naszego cmentarza. Obecnie własnymi rękami, łopatkami wybieramy ze znanych nam gro-bów, które zapadają się i niszczeją, kości kapitana pilota Stefana Bastyrę, por. pil. Stefana Steca i por. pil. Władysława Toru-nia, pierwszych organizatorów i twórców polskiego lotnictwa w listopadzie 1918 r. podczas obrony miasta. Szczątki ich skła-damy do oddzielnych małych trumienek, przenosimy i chowamy w niezaoranej części cmentarza. Chcemy [je] przecho-wać przynajmniej do czasu, kiedy można będzie wymurować im wspólny grób. Chcemy też umieścić tablicę z ich nazwi-skami i datą śmierci, by w ten sposób za-bezpieczyć od zapomnienia i zniszczenia. Mało nas już we Lwowie pozostało i nie mamy za co stawiać im i zabezpieczać miejsca wiecznego spoczynku”.

W chwili, gdy Maria Tereszczakówna pisała te słowa, miała już 91 lat i była bardzo schorowana. To każe postawić pytanie, na ile faktycznie mogła być za-angazowana w tę akcję. Autorki książki zastanawiają się też, czy staruszka nie chciała w ten sposób wziąć na siebie na wszelki wypadek całej „winy” za akcję przenoszenia trumien. Wiadomo bowiem, że sowiecka bezpieka inwigilo-wała korespondencję czołowych polskich działaczy ze Lwowa.

W opowieściach o ludziach ratujących szczątki zasłużonych lwowian najczęściej przewijają się właśnie kobiety – Polki, które pozostały po wojnie we Lwowie, bo nie wyobrażały sobie życia gdzie indziej, bo tu był ich dom, bo chciały ratować okruciny polskości.

Jedną z nich, Janina Zamojska (1922–2015), okazała się kluczową posta-cią podczas poszukiwań ciała abp. Teodo-rowicza i ks. Szmyda. Od 1991 r. zajmował się tym Maciej Bohosiewicz, prezes Fundacji Ormiańskiej. Wszystko szło jak po grudzie, gdy niespodziewanie Janina Zamojska oznajmiła, że metropolita leży na cmentarzu Łyczakowskim w jednym grobie z ks. Szmydem! Specjalistyczne badania potwierdziły, że faktycznie w grobie rodziny Kłosowskich leżą obaj kapłani. Arcybiskup Teodorowicz został ponownie pochowany z należnymi hono-rami w 2011 r. Jego ciało wróciło w ten sposób na cmentarz Obrońców Lwowa.



Grobowiec na cmentarzu Łyczakowskim, do którego przeniesiono trumnę ks. Gerarda Szmyda FOT. STANISŁAW KOSIEDOWSKI/WIKIPEDIA/CC-BY-SA-3.0.

dowskiego. Tuż obok znajduje się mogiła gen. Wacława Iwaszkiewicza-Rudoszań-skiego. Nie wszyscy jednak wiedzą, że oba te groby są puste. Autorki książki same przyznają, że również dla nich informacja ta była wielkim zaskoczeniem. Anna Smółka i Agnieszka Rybak po raz pierw-szy zainteresowały się tym tematem, gdy przeczytały ogłoszenie, które ukazało się w kwietniu 2013 r. w „Kurierze Galicyjskim”. Rodzina Rozwadowskich

Za kierowniczkę tej grupy patriotów najczęściej uważa się Marię Tereszczakó-wną, zmarłą w 1977 r. polską działaczkę społeczną ze Lwowa. W 1972 r. napisała ona list do gen. Abrahama:

„Drogi nasz Panie Generale! Tragiczne chwile przeżywaliśmy w końcowych dniach sierpnia ubiegłego roku, czołgi zburzyły pomnik Chwały na cmentarzu Orląt i stratowały resztę grobów. Ratuje-my od zagłady pozostałe jeszcze szczątki



Panorama Lwowa FOT. WIKIWAND

Jak zaznaczają autorki książki, w opowieściach o Polakach ratujących szczątki wybitnych osób pochowanych na tej nekropolii punktem wspólnym są katedra lwowska i o. Rafał Kiernicki. Ten legendarny kapłan w czasie wojny był kapłanem AK, a po „wyzwoleniu” trafił do sowieckiego łagru. Od 1948 r. do końca życia (1995 r.) związany był z katedrą lwowską. Bardzo możliwe, że to właśnie o. Kiernicki organizował fundusze potrzebne do przenoszenia szczątków bohaterów (konieczne było płacenie administracji cmentarnej wysokich łapówek). Obecnie toczy się proces beatyfikacyjny o. Kiernickiego (w 1991 r., cztery lata przed śmiercią, Jan Paweł II uczynił go biskupem pomocniczym archidiecezji lwowskiej).

Zgoda na ekshumację

Gdy już wydawało się, że umarło zbyt wielu kluczowych świadków, by udało się rozwikłać tę tajemniczą historię, przełom nastąpił podczas lektury... przewodnika po cmentarzu Orląt Lwowskich z 1990 r. autorstwa Stanisława Niciej, znanego badacza historii polskich Kresów. Nazwisku gen. Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego towarzyszyła jednozdaniowa notka: „Po sprofanowaniu cmentarza w 1972 roku prochy generała przeniosły panie Otko i Domaszewska (brak imion) do grobowca prof. Leona Syroczyńskiego (Domaszewska była wnuczką Syroczyńskiego)”. Z przypisu wynika, że informacja ta pochodzi z listu potomka

gen. Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego do autora przewodnika.

Nazwisko Otko jest we Lwowie dobrze znane – Natalia Otko to poetka tworząca w języku polskim. Autorki książki skontaktowały się z Natalią Otko i usłyszały od niej, że jej babcia – Zofia Otko – była najpewniej zaangażowana w tajną akcję przenoszenia ciał. Najważniejsze, że poetka pomogła reporterkom dotrzeć do mieszkającej w Polsce Ewy Gliwickiej, z domu Domaszewskiej. Obie rodziny były przed wojną zaprzyjaźnione ze sobą. Rodzina Domaszewskich wyjechała po 1945 r. ze Lwowa do Warszawy. Ewa Gliwicka skontaktowała autorki ze swoją ciotką Teresą Domaszewską, mającą wówczas (2016 r.) 96 lat. Pani Domaszewska mieszkała w Domu Pomocy w Kutnie. Spotkanie z nią okazało się niezwykle owocne. Seniorka potwierdziła, że jej rodzina była zaangażowana w całą operację. „[...] Tam stoją koło siebie dwa identyczne groby: czarne obeliski. I ja nigdy nie wiem, czy jego ekshumowali do Garczyńskich czy do Syroczyńskich” – usłyszały reporterki od pani Domaszewskiej. Na koniec spotkania udało im się uzyskać pisemną zgodę na otwarcie grobu Syroczyńskich i ekshumację szczątków gen. Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego. Wszystko wskazuje więc na to, że wiemy, gdzie przeniesiony został generał. Jak wyglądają szanse

na przeprowadzenie badań i – w przypadku potwierdzenia ustaleń auterek książki – przeniesienie gen. Iwaszkiewicza-Rudoszańskiego do jego własnego grobu na cmentarzu Obrońców Lwowa?

„Niestety obecna specyficzna sytuacja polityczna uniemożliwia Instytutowi Pamięci Narodowej prowadzenie wszelkich prac na terenie Ukrainy, w tym poszukiwawczych i ekshumacyjnych. [...] wskazane byłoby odnalezienie szczątków generała i ich pochowanie w przynależnej mu mogile na »świętym« dla Polaków cmentarzu” – czytamy w piśmie, które autorki książki dostały z Instytutu Pamięci Narodowej.

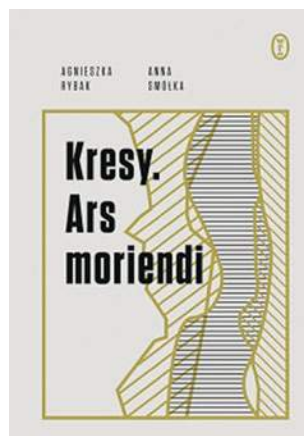
Nie ma wątpliwości, że to nie jest najlepszy czas w relacjach polsko-ukraińskich. Świadczą o tym najlepiej lwy na cmentarzu Obrońców Lwowa, które od kilku lat zakryte są drewnianymi płytami. Pozostaje jednak mieć nadzieję, że „zwykła” ekshumacja i przeniesienie szczątków człowieka do przeznaczonego dla niego grobu nie będą rozpatrywane w kontekście politycznym.

– Zależy nam na tym, by generał spoczął w grobie, który na cmentarzu Orląt już ma. Nie wiążemy tego z zasłoniętymi lwami. Mamy nadzieję, że gen. Wacław Iwaszkiewicz-Rudoszański trafi na swoje miejsce, tak jak trafili abp Józef Teodorowicz, ks. Gerard Szymd i nic się z tego powodu nie stało. Nic poza przeświadczeniem żywych, że misja została spełniona, bo zmarli wrócili na swoje miejsce – mówi Agnieszka Rybak, współautorka książki.

A jak wygląda historia przeniesienia trumny ze szczątkami gen. Tadeusza Jordan-Rozwadowskiego? Wiele wskazuje na to, że również w tym przypadku autorkom książki udało się znaleźć mocny

trop. Nie sposób jednak opowiedzieć w jednym krótkim artykule również tej historii. Najlepiej sięgnąć bezpośrednio po „Kresy. Ars moriendi” i wraz z autorkami książki zajrzeć za kulisy tej niezwyklej operacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



AGNIESZKA RYBAK,
ANNA SMÓŁKA
„KRESY. ARS MORIENDI”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

1954 r. / Upadek Dien Bien Phu

Kłeska Francuzów w Wietnamie



Arkadiusz Karbowski

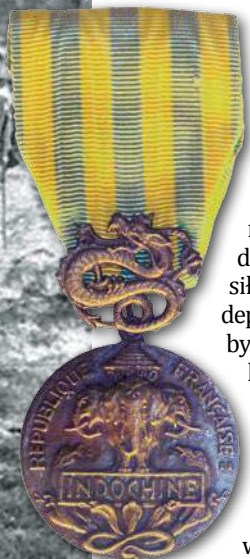
/ Francuzi po drugiej wojnie światowej próbowali utrzymać swoją kolonię w Indochinach. Doszło do krwawej wojny z wietnamskimi komunistami

Wietnam, który od XIX w. był kolonią francuską, od marca 1945 r. znalazł się pod zwierzchnictwem cesarstwa Japonii. Japończycy, obawiając się, że administracja kolonialna podporządkuje się rządowi gen. Charles'a de Gaulle'a, wkroczyli do Wietnamu, ogłaszając niepodległość tego kraju. Formalnie władzę przekazano w ręce cesarza Bao Daia, choć w rzeczywistości zarządzili wojskowi z Tokio. Kilka miesięcy później Japonia podpisała akt kapitulacji.

Północny Wietnam do 16. równoleżnika zajęły wojska chińskie, a część południową armia brytyjska. Zanim to nastąpiło, 2 września 1945 r. przywódca komunistycznego i walczącego z Japończykami Viet Minhu (Liga na rzecz Niepodległości Wietnamu) Ho Chi Minh proklamował powstanie Demokratycznej Republiki Wietnamu. Ta decyzja wzbudziła duże niezadowolenie w Paryżu. Francja, chcąc odbudować swe imperium kolonialne w Azji, pospiesznie wysłała do Indochin 70-tysięczny kontyngent wojskowy, mający przywrócić francuskie panowanie na tym obszarze. Próba odzyskania władztwa nad Wietnamem



Francuzi wzięci do niewoli pod Dien Bien Phu FOT. WIKIPEDIA



obsługę portu, że ostrzelała francuski okręt. W odpowiedzi na to przebywający wtedy w Paryżu wysoki komisarz Francji adm. Georges d'Argenlieu wysłał do dowódcy francuskich sił w Hajfongu płk. Debessa depezę: „Nadszedł moment, by udzielić srogiej lekcji tym, którzy ośmielili się w zdraziecki sposób zaatakować pańskie siły. W związku z tym proszę użyć wszystkich dostępnych panu sił w celu całkowitego opanowania Hajfongu”.

Wystosowane 23 listopada 1946 r. do Viet Minhu ultimatum żądające opuszczenia chińskiej i francuskiej dzielnicy Hajfong pozostało bez odpowiedzi. W efekcie francuskie okręty wojenne dokonały ostrzału miasta, podczas którego śmierć poniosło ok. 6 tys. cywili. Viet Minh w odwecie zaatakował oddziały francuskie w różnych częściach Wietnamu. Mając świadomość francuskiej przewagi, komuniści szybko wycofali się z miast i przeszli do działań nieregularnych. Żeby zniszczyć rosnącą w siłę komunistyczną partyzantkę, w październiku 1947 r. wojska francuskie przeprowadziły pierwszą dużą operację wojskową o kryptonimie Lea. Jej celem było ujęcie przywódcy Viet Minhu oraz członków jego sztabu.

Z informacji wywiadowczych wynikało, że centrala Viet Minhu znajduje się w miejscowości Bac Kan. Desant spadochronowy tam przeprowadzony zaskoczył komunistów. Spadochroniarzom nie udało się wziąć do niewoli ani Ho Chi Minha, ani żadnego z wietnamskich dowódców. Co gorsza, oddziały Viet Minhu szybko otoczyły siły desantowe i zmusiły dowództwo wojsk kolonialnych do wysłania jednostek wsparcia do odblokowania spadochroniarzy. Akcja ta się powiodła 16 października 1947 r. Był to jedyny sukces operacji „Lea”.

Wojna partyzancka na rozległych obszarach północnowietnamskiej dżungli okazała się sprawą trudną i skomplikowaną. Stąd Francuzi, dysponując ograniczonymi zasobami wojskowymi, postanowili stworzyć sieć posterunków bojowych – baz. Stacjonujące w nich załogi miały za zadanie patrolować szlaki komunikacyjne, uniemożliwiając

swobodne przemieszczanie się po nich oddziałom Viet Minhu. Szybko się okazało, że osamotnione, pozbawione wsparcia placówki Wietnamczycy zaczęli masowo likwidować. Sytuacja Francuzów pogorszyła się dodatkowo w 1949 r. Wtedy to wojnę domową w Chinach wygrali komuniści Mao Zedonga. Pekin zaczął wspierać i uzbrajać oddziały partyzanckie Viet Minhu, które dzięki temu przekształciły się w regularną armię.

Stojąc w obliczu nowej sytuacji polityczno-militarnej, władze IV Republiki postanowiły przywrócić na tron cesarza Bao Daia i uznać Wietnam za niepodległe państwo stowarzyszone z Francją w ramach unii francuskiej. Wraz z ogłoszeniem niepodległości rozpoczął się proces tworzenia wietnamskiej armii narodowej. Z biegiem czasu Wietnamczycy zaczęli stanowić coraz poważniejszą część walczącej z Viet Minhem armii kolonialnej, składającej się z jednostek północnoafrykańskich, oddziałów francuskich oraz Legii Cudzoziemskiej. Ta ostatnia formacja odegrała doniosłą rolę w bitwie w dolinie Dien Bien Phu, która przesądziła o klęsce Francuzów w pierwszej wojnie indochińskiej.

Zanim do niej doszło, w 1952 r. późniejszy autor komunistycznego zwycięstwa gen. Nguyen Giap rozpoczął ofensywę, której celem było zdobycie francuskiej bazy powietrzno-lądowej w Na San. Falowe, wzorowane na chiń-



Komuniści w ataku

Iskrą, która podpałała lont pierwszej wojny indochińskiej, były wydarzenia, które rozegrały się w Hajfongu. 20 listopada 1946 r. francuska łódź patrolowa zatrzymała wpływającą do Hajfongu wietnamską łódkę w celu pobrania opłat celnych. To posunięcie tak zirytowało wietnamską

skich atakach stosowanych w Korei działania komunistycznych 308., 316. i 312. dywizji piechoty prowadzone od 23 listopada zostały krwawo odparte przez liczący 15 tys. ludzi garnizon wsparty sześcioma bateriami artylerii. Komuniści stracili podczas walk 1,5 tys. zabitych oraz 2 tys. rannych i wziętych do niewoli. W czasie obrony swych pozycji Francuzi po raz pierwszy zastosowali strategię „jeża”, czyli głównej forticy obronnej połączonej transejami z innymi punktami oporu. Zwycięska obrona Na San uświadomiła Francuzów oraz wzbudziła w nich zbyt dużą pewność siebie.

Co gorsza, dowództwo francuskie postanowiło ewakuować bazę, co nastąpiło 12 sierpnia 1953 r. Nieco wcześniej, bo ostatniego dnia listopada 1952 r., wojska francusko-wietnamskie opuściły dolinę Dien Bien Phu. W ten sposób droga do Laosu stała przed komunistami otworem. Nie był to jakiś poważny problem, ale stratedzy francuscy przyznali kwestii powstrzymania komunistycznej infiltracji Laosu pierwszorzędne znaczenie. Tym samym zdecydowano o konieczności odbicia doliny Dien Bien Phu.

Rozpoczęcie operacji opóźniło się z powodu zmiany głównodowodzącego siłami francuskimi w Wietnamie. Dotychczasowego dowódcę gen. Raula Salana odwołano do Francji, a zastąpił go gen. Henri Navarre. 20 listopada 1953 r. nakazał on siłom spadochronowym lądowanie w dolinie. Przed samym desantem w lot rekonesansowy, mający ocenić, czy desant jest w ogóle możliwy, udało się trzech generałów: Pierre Bodet, zastępca głównodowodzącego w Indochinach, Jean Dechaux, dowódca lotnictwa w północnych Indochinach, oraz Jean Gilles, dowódca francuskich wojsk powietrznodesantowych w Indochinach. O godz. 7 z krążącej nad doliną Dakoty przekazana została informacja o możliwości dokonania ataku.

Skąd mają działa?!

Trzy godziny później flota powietrzna licząca 65 samolotów znalazła się nad doliną Dien Bien Phu. Tym samym rozpoczęła się operacja „Castor”. Jako pierwszy w wyznaczonej strefie zrztu znajdującej się niedaleko pasa startowego zbudowanego tam lotniska, której nadano kryptonim Natasza, wylądował 6. Batalion Spa-



Francuscy komandosi w Sajgonie, 1945 r. FOT. WIKIPEDIA

dochroniarzy Kolonialnych dowodzony przez mjr. Marcela Bigearda. Obok niego w tzw. strefie Simeone lądował II Batalion 1. Pułku Strzelców Spadochronowych pod dowództwem mjr. Jeana Brechiniaca, a jeszcze dalej desantował się I Batalion mjr. Jeana Sougeta. Poza nimi wylądowały w dolinie: 17. Kompania Inżynierska oraz dwie baterie pułku artylerii lekkiej. W momencie lądowania Francuzów w dolinie znajdowała się 4. Kompania Viet Minhu. W wyniku ostrzału z ziemi lądujących ponieśli pierwsze straty.

Żeby zrealizować wyznaczone zadanie, Francuzi wezwali na pomoc lotnictwo, które obłożyło komunistów bombami, co umożliwiło z kolei desantującym zajęcie wyznaczonych stref. W sumie pierwszego dnia w dolinie wylądowało 1827 żołnierzy, z których 11 zginęło, a 52 odniosło rany. Komuniści ponieśli straty w wysokości co najmniej 90 zabitych i czterech wziętych do niewoli. Do marca 1954 r. liczba znajdujących się w dolinie żołnierzy wzrosła do ok. 16 tys. Obrońców wspierało ponadto 10 czołgów M-24 „Chaffe”, złożonych przez mechaników na miejscu, 28 dział 105 mm i 155 mm, 16 moździerzy 120 mm. Do dyspozycji sił zlokalizowanych w dolinie były także 173 samoloty bojowe.

Dowództwo nad jednostkami francuskimi, w których składzie znajdowali się Wietnamczycy, Algierczycy, Marokańczycy, objął początkowo gen. Jean Gilles, a 29 listopada 1953 r. zastąpił go płk Christian de Castries, 50-letni kawaler Legii Honorowej, weteran kampanii francuskiej z 1940 r. oraz kampanii afrykańskiej i włoskiej. Obrońcy ufortyfikowali dolinę w systemie redut obronnych. Było ich kilka i nosiły nazwy

pochodzące od imion kobiecych: Gabrielle, Anne Marie, Huguette, Beatrice, Dominique, Eliane, Françoise, Claudine, Isabelle. Obwarowano je zasiekami z drutu kolczastego oraz polami minowymi. Pozycje położone w dolinie, biorąc pod uwagę sztukę wojenną, były trudne do obrony. Amerykański strateg gen. John O'Daniell uznał to miejsce za absolutnie do tego nieodpowiednie. Francuzom jednak wydawało się, że ich atutami są przewaga ogniowa oraz wsparcie lotnictwa. Sztabowcom spod trójkolorowego sztandaru nie mieściło się w głowie, że będzie możliwe wciągnięcie na zalesione otaczające dolinę wzgórza artylerii.

Ten błąd w ocenie przeciwnika miał ich w przyszłości drogo kosztować. Komunistom bowiem udało się posadowić na okolicznych wzgórzach działa, dzięki czemu mając francuskie pozycje jak na dłoni, razili je celnym ogniem, przesądzając o wyniku bitwy. Natomiast francuscy artylerzyści z uwagi na zalesienie terenu nie byli w stanie zorientować się w lokalizacji stanowisk wietnamskich, stąd ostrzał przez nich prowadzony był mało skuteczny. Na niewiele zdała się, jak się okazało, miazdząca przewaga Francuzów w powietrzu (Wietnamczycy nie posiadali samolotów), bo brak lotnictwa komuniści zrekompensowali sobie silną obroną przeciwlotniczą, która zadała Francuzom poważne straty w postaci 62 zestrzelonych samolotów.

Bitwa o Dien Bien Phu rozpoczęła się 13 marca 1954 r. nawałą artylerijską skierowaną na pozycje francuskie. Nieco później część z 37,5 tys. żołnierzy komunistycznych otaczających dolinę (wzmocniono ich potem kolejnymi 10 tys.) ruszyło do ataku. Zgodnie z taktyką przyjętą

przez gen. Giapa atakujący mieli zdobywać poszczególne punkty oporu. Pierwszym celem stała się reduta Beatrice. Bronił jej III Batalion 13. Półbrygady Legii Cudzoziemskiej. Jednym z obrońców był dowodzący sekcją karabinów maszynowych sierż. Stefan Kubiak z 9. Kompanii, który tak zapamiętał rozpoczęcie bitwy: „Wszyscy byliśmy zaskoczeni, skąd Wietnamczycy wzięli tyle dział, żeby zalać nas taką masą pocisków. Pociski spadały na nas non stop, jak gradobicie, bunkier po bunkrze, okop po okopie były niszczone, grzebiąc w sobie ludzi i broń”.

Śmiertelnie ranny został dowódca III Batalionu płk Jules Gaucher. Pocisk artyleryjski, który wpadł do schronu, gdzie przebywał, urwał mu obie ręce i zmiął nogi. Natychmiastowe przewiezienie transportem lotniczym do szpitala nie uratowało mu życia, pułkownik zmarł od odniesionych ran. 14 marca 1954 r. reduta Beatrice została zdobyta. Tylko 200 obrońców z 750 zdołało się wycofać. Reszta poległa. Następnym celem Wietnamczyków stała się pozycja Gabrielle. Bronili jej legionieści z kompanii moździerzy oraz algierscy strzelcy. Jeden z nich tak wspominał początek walk: „Widać było, jak schodzili ze wzgórz 604. i 702. Każdy z nas zajął swoje stanowisko. Ok. godz. 18 rozpoczął się huraganowy ostrzał... tego nie dane nam było doświadczyć... oto była niespodzianka, jaką zgłotał nam Giap! 81-ki, 105-ki i 120-ki, naprawdę nowoczesny sprzęt. Nasze moździerze natychmiast zostały wyeliminowane z akcji”.

Ostrzał wietnamskiej artylerii okazał się na tyle skuteczny, że zasypała pociskami pozycja padła 15 marca o godz. 7. Liczba zabitych Wietnamczyków podczas zdobywania tego punktu oporu była tak duża, że jeńcy algierscy wzięci do niewoli, bojąc się wpaść na usytuowane na poboju miny, maszerowali w kierunku komunistycznych pozycji, stąpając po zwłokach zabitych przeciwników. Niedługo po upadku Gabrielle w ręce komunistów wpadła kolejna reduta – Anne Marie. Jej tajscy obrońcy z III Batalionu, nie czekając na komunistyczny atak, zdezerterowali na stronę Viet Minhu.

Francuzi, widząc rosnącą przewagę komunistów, rzucili do walki lotnictwo bombowe. Pomimo użycia napalmu bombardowania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Od 24 marca Wietnamczycy

rozpoczęli ataki na pozycje Dominique, Huguette i Eliane. Cztery dni później zwycięski kontratak przeprowadzony przez mjr. Bigearda poprawił nieco morale Francuzów. W ich ręce wpadło pięć dział przeciwlotniczych oraz 20 ciężkich przeciwlotniczych karabinów maszynowych. Ten niewielki sukces nie zmienił zasadniczo trudnej sytuacji obrońców doliny. 30 marca 1954 r. ruszyło kolejne wietnamskie natarcie na umocnione pozycje Dominique 1, 2, 3 i Eliane 1, 2. Walki – niejednokrotnie toczone wręcz – były krwawe i zacięte. Do godz. 20 trzy z wymienionych pozycji zostały zdobyte.

Wysadzamy wszystko!

Wkrótce w ogniu walki znalazła się również pozycja Huguette. Viet Minh zdobył ją, ale francuski kontratak przeprowadzony o świcie 1 kwietnia wyparł Wietnamczyków z zajętych pozycji. Od 23 marca poziom pomocy dostarczanej z zewnątrz walczącym siłom francuskim uległ drastycznemu pogorszeniu ze względu na to, że na lotnisku w dolinie nie mogły już lądować samoloty. Odtąd wsparcie odbywało się tylko poprzez zrzuć z powietrza. Sama strefa zrzuć zaczęła się systematycznie kurczyć, co było konsekwencją zajęcia przez Wietnamczyków kolejnych pozycji obronnych, których pomimo podejmowanych prób nie udało się odzyskać. Obrońcom zaczęło brakować amunicji oraz medykamentów, a liczba rannych zaczęła sięgać 3 tys.

Wraz z pogarszaniem się sytuacji militarnej w Dien Bien Phu paryska dyplomacja rozpoczęła gorączkową akcję poszukiwania w państwach sojuszniczych pomocy dla walczących wojsk francuskich. Planowi zbrojnej interwencji nadano kryptonim Operacja Vulture. Ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Dwight Eisenhower był skłonny ją przeprowadzić, ale pod warunkiem udziału w przedsięwzięciu przynajmniej Wielkiej Brytanii. Niestety, 24 kwietnia 1954 r. premier Anthony

Eden poinformował Waszyngton, że rząd JKM zdecydowanie odrzucił możliwość zaangażowania wojsk brytyjskich w wojnę w Wietnamie. Od tego momentu sprawa upadku Dien Bien Phu była przesądzona.

Jednym z ostatnich francuskich punktów oporu w dolinie była reduta Isabelle. 7 maja 1954 r. gen. Giap wydał rozkaz przeprowadzenia ataku. Po kilku godzinach walki, kiedy Wietnamczycy znajdowali się nieopodal głównej kwatery obrońców, francuski radiotelegrafista nadał do dowództwa wiadomość: „Wróg nas opanował. Wysadzamy wszystko. Niech żyje Francja”. Jako ostatni 8 maja 1954 r. poddał się wraz ze swymi marokańskimi podkomendnymi mjr Jean Nicholas. Nad Dien Bien Phu załopotana komunistyczna flaga z żółtą gwiazdą na czerwonym tle.

W stolicy Francji o godz. 17 premier Joseph Laniel obwieścił Zgromadzeniu Narodowemu upadek twierdzy. Jedna z paryskich gazet napisała: „Dien Bien Phu... było największą klęską, jaką kiedykolwiek poniósł świat zachodni, było zwiastunem upadku kolonializmu i upadku republiki”. W Dien Bien Phu broń złożyło 11 721 żołnierzy armii francuskiej. Pognano ich pieszo do obozów jeńческих. Tylko część z nich, której udało się przeżyć, została po kilku miesiącach repatriowana do Francji. Ponad 3 tys. jeńców pochodzenia wietnamskiego zaginęło (zostali najprawdopodobniej zamordowani lub zmarli w obozach). W samej bitwie śmierć poniosło 2293 francuskich żołnierzy. Wietnamskie straty były wyższe i wyniosły ok. 8 tys. zabitych i 15 tys. rannych.

Chociaż militarny uszczerbek w postaci zniszczonych w dolinie jednostek nie był zbyt duży i stanowił zaledwie 5 proc.

wszystkich francuskich sił zaangażowanych w Wietnamie, to poniesiona klęska złamała morale Francuzów na tyle, że ich państwo zdecydowało się ostatecznie wycofać z Wietnamu. O przyszłości tego kraju miała zadecydować międzynarodowa konferencja w Genewie. Zakończyła ona tylko, jak się okazało, pierwszą wojnę w Indochinach.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



XIX/XX w. / Zanim stworzył
„czerwony terror”



Żelazny Feliks. Początek

Znany białoruski poeta i piosenkarz Siarżuk Sakalou-Wojusz napisał książkę poświęconą rodzinie Dzierżyńskich. Główna idea historii tej polskiej kresowej rodziny szlacheckiej polega na tym, że jej członkowie od pokoleń cierpieli na jedną bardzo rzadką, prawie wyłącznie genetyczną i nieuleczalną chorobę – porfirię. U Feliksa Dzierżyńskiego, jak wynika z książki Sakalou-Wojusza, ta nieuleczalna

choroba przybrała skrajną formę wampiryczną. Ta żądza krwi zaprowadziła polskiego szlachcica w szeregi bolszewików. Tu, jak twierdzi Sakalou-Wojusz, na czele Czecha mógł on realizować swoje urojenia.

Jestem daleki od podobnego traktowania praktyk „żelaznego rycerza rewolucji”, jak go określił Lenin. Natomiast pewne jest – jak twierdzą niektórzy – że w historii Rosji ten czo-

wiek zapisał się jako Polak, który przelał najwięcej krwi rosyjskiej w historii.

Z polskiego dworu

Feliks Dzierżyński urodził się w roku 1877 w Oziembłowie na Mińszczyźnie w polskiej rodzinie szlacheckiej, od wieków pielęgnującej w każdym następnym pokoleniu polskie tradycje patriotyczne. Nikt oprócz Feliksa w dużej rodzinie kresowej Dzierżyńskich (trzy córki i pięciu synów) nie poszedł w ślady „żelaznego Feliksa” i nie przyłączył się do bolszewików. Co więcej, nikt w rodzinie nie zdradził polskości na rzecz innej opcji narodowościowej. Na kresach wybór innej narodowości (rosyjskiej lub białoruskiej) był zjawiskiem dość częstym. Niesamowita bolszewicka kariera polityczna Dzierżyńskiego u boku Lenina była raczej dziełem przypadku.

Zamieszkała na Mińszczyźnie rodzina w okresie międzywojnia brzydziła się swym najbliższym krewnym, który za sąsiednią granicą (osada Dzierżyńskich Dzierżynowo znajdowała się

zaledwie 12 km od granicy z ZSRS) urosł do postaci legendy, bożyszczą rewolucji bolszewickiej. Nazwisko Dzierżyński symbolizowało i nadal symbolizuje fanatyczną niezłomną wiarę w komunizm. Jego imię zostało nadane setkom ulic, placów, zakładów pracy, statkom i miastom. Na Białorusi, gdzie jeszcze rządzi żelazną ręką Łukaszenko, Dzierżyński po dziś dzień jest wzorem dla młodzieży, wojskowi tego kraju wciąż odwiedzają miejsca z nim związane, takie jak jego dom rodzinny czy mogiła przodków w byłym chutorze Dzierżyniowo i tam składają przysięgi wojskowe. W jego historycznej ojczyźnie Mińszczyźnie założono nawet polski rejon autonomiczny Dzierżyńszczyznę Sowiecką. Prawie nic się nie zmieniło i po okupacji sowieckiej wschodnich województw II RP w 1939 r. nikt z rodziny nie zdecydował się na współpracę z Sowietami, a w okresie niemieckiej okupacji rodzina aktywnie współpracowała z miejscową AK. Młodszy brat Feliksa Dzierżyńskiego, Władysław, za tę współpracę został rozstrzelany przez Niemców. Jego mogiła znajduje się na miejscowym cmentarzu katolickim.

Cechą charakterystyczną ustroju komunistycznego jest to, że jego „bożyszczą” zmieniały się regularnie. Najpierw bohaterem był Trocki, później przekształcił się we wroga ludu. Podobnie postąpiono z Zinowjewem i Kamieniewem, których rozstrzelano, mimo że wcześniej byli bohaterami rewolucji. Tak było również ze Stalinem, który został z postumentu zrzucony przez Chruszczowa. Później samego Chruszczowa wyrzucono z partii i potępiono. Leonid Breżniew i ostatni sekretarz generalny KPZR Michaił Gorbaczow również są nielubiani lub wyśmiewani.

Natomiast Dzierżyński nie tylko dla komunistów na zawsze pozostał sprawiedliwym, symbolem niezłomnego rycerza rewolucji, sprawiedliwości społecznej i uczciwości. System polityczny dzisiejszej Rosji oparty jest na ludziach wywodzących się z KGB. Na ścianach ich gabinetów wiszą portrety Dzierżyńskiego. Ci ludzie byli wychowani w micie nieskazitelnego bojownika rewolucji. Dlatego dziś, mimo że wiele miast takich jak Stalingrad czy Zinowiewsk zmieniło swoje nazwy, wciąż w Rosji jest wiele miejsc nazwanych na cześć Dzierżyńskiego. Ponadto w hołdzie mu nazywane są wciąż ulice i fabryki. ■



Feliks Dzierżyński i herb Dzierżyńskich
– Sulima FOT. RG.VARCHIVE.RU, WIKIPEDIA



Mikołaj Iwanow

Feliks Dzierżyński. Młody polski szlachcic z dobrego domu stał się jednym z najbardziej krwiożerczych bolszewików. Jak to się stało?



Zdjęcie Feliksa Dzierżyńskiego z akt
ochrony, 1902 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ Wprawdzie przeniesiono jego pomnik sprzed Łubianki w inne miejsce, ale inne jego pomniki wciąż stoją, a w dzisiejszej Rosji cały czas trwa dyskusja nad powrotem rzeźby na pl. Łubiański i przywróceniem mu imienia twórcy Czeka.

Dzierżyński był fanatykiem idei komunistycznych. Działal według zasady „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Dlatego nieistotne było dla niego, czy walczy z Polakami czy przedstawicielami innych narodów. Jak powiedział Stalin: „Prawdziwy komunista nie ma narodowości”. Dzierżyński nie był jednak psychopatycznym mordercą. Sam nigdy nie wykonał egzekucji jak Nikołaj Jeżow stojący na czele NKWD w okresie wielkiego terroru i uczestniczący wielokrotnie w torturach i wykonywaniu wyroków. Dzierżyński był jednak nieco innym człowiekiem. W 1918 r., gdy wybuchło powstanie eserowców, Dzierżyński poszedł do nich nieuzbrojony i próbował przekonać ich do złożenia broni. Aresztowano go i grożono mu rozstrzelaniem.

Dzierżyński jest więc symbolem czerwonego terroru, ale prawdopodobnie na jego miejscu mógł być ktoś jeszcze gorszy. Gdyby na czele Czeka stał Józef Stalin, rzeka krwi mogła być znacznie większa. W motywacjach Dzierżyńskiego na czele Czeka brakuje chęci osobistej zemsty. Mordował i katował w imię idei uszczęśliwienia świata. Warto w tym kontekście przypomnieć fakt z 1920 r. Ówczesny rezydent polskiego wywiadu wojskowego w Rosji sowieckiej Ignacy Dobrzyński

został aresztowany przez Czeka. Zamiast natychmiast rozstrzelać tego oficera polskiego, znanego z kilku brawurowych akcji dywersyjnych na rzecz polskiej niepodległości, Dzierżyński zaprosił go na rozmowy i przez ponad miesiąc dyskutował z nim w swym gabinecie nad celami rewolucji bolszewickiej i ideą odzyskania przez Polskę niepodległości. Ostatecznie udało mu się przekonać Dobrzyńskiego do przejścia na stronę Sowietów. Dobrzyński ujawnił całą strukturę POW w Rosji sowieckiej i przekonał część agentów do zdrady i przejścia na stronę sowiecką.

Później w czasie wojny polsko-bolszewickiej lotnictwo sowieckie rozrzucało nad pozycjami wojsk polskich odezwy z wołaniem o przejście na stronę wroga podpisane przez Sosnowskiego-Dobrzyńskiego. W kolejnych latach ten człowiek został bliskim współpracownikiem Dzierżyńskiego. Robił niesamowitą karierę w GPU-NKWD. Podobnie jak wszyscy współpracownicy Dzierżyńskiego, będąc w randze komisarza (generała) NKWD, nie przeżył jednak wielkiej czystki z lat 1936–1938.

Obok Piłsudskiego

Dzierżyński pierwsze kroki swej kariery politycznej zrobił w katolickiej organizacji Serca Jezusowego, postulującej walkę o odrodzenie Polski niepodległej. Czy świadczy to o jego rozdarcu w wyborze drogi życiowej? Pierwsze aresztowanie nastąpiło bardzo wcze-

śnie. W wieku 19 lat został skazany za udział w redagowaniu nielegalnej polskojęzycznej gazety „Robotnik Kowieński”. W tym samym czasie starszy o 10 lat Piłsudski był wydawcą „Robotnika”, organu centralnego Polskiej Partii Robotniczej (PPS). W 1900 r. Dzierżyński zostaje przyjęty do Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL), polskiej partii politycznej o poglądach radykalnych. Dlaczego nie trafił do PPS pod wodzą Józefa Piłsudskiego? Możliwe, że była to kwestia przypadku, możliwe również, że świadomie wybrał organizację, która oddawała pierwszeństwo walce o wyzwolenie socjalne przed wyzwoleniem narodowym.

Pierwszy areszt i pierwsze skazanie za działalność polityczną przydarzyły się mu bardzo wcześnie. W wieku 20 lat trafił za kraty w Kownie i Wilnie. Skazano go na trzy lata zesłania do Nolińska w guberni wiackiej. Po ucieczce z zesłania w 1899 r. szukał schronienia w Warszawie, gdzie w styczniu 1900 r., ponownie aresztowany, trafił do X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. W tym samym czasie w Cytadeli znajdował się Józef Piłsudski, któremu groził wyrok śmierci za rzekome zamordowanie szpicli. To tam przyszły marszałek udał obłąkanego, co w końcu uratowało mu życie. Czy ci dwaj politycy wiedzieli o sobie w tym czasie?

W 1902 r. po ucieczce z kolejnego zesłania na Syberii Feliks Dzierżyński wylądował w Berlinie, gdzie pod wpływem czołowych działaczy SDKPiL (Juliana Marchlewskiego, Leona Jogichesa, Adolfa Warskiego i Róży Luksemburg) prawdopodobnie ostatecznie ukształtował się jego światopogląd polityczny. Są opinie, że był „duchowym dzieckiem” małżeństwa Róży Luksemburg i Leona Jogichesa (przyszłego I sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Niemiec).

Z Leninem Dzierżyński spotkał się po raz pierwszy na IV zjeździe (zjednoczonym) rosyjskiej socjaldemokratycznej partii, w którym uczestniczyli zarówno mieniszewicy Plechanowa, jak i bolszewicy Lenina.

Dzierżyński na tym zjeździe odgrywał rolę swoistego sędziego do sprawy zjednoczenia, jako przedstawiciel SDKPiL. Lenin i jego wystąpienia niewątpliwie zrobiły ogromne wrażenie na Dzierżyńskim, ale nic nie wskazuje na to, że już wtedy przyłączył się on do bolszewików. Wręcz przeciwnie – jako przedstawiciel

SDKPiL wszedł w skład redakcji czołowej partyjnej gazety. Wybrano go na zjeździe głosami przeważnie mieniszewików.

W latach 1906–1908 nic nie wskazywało również na to, że Dzierżyński wychodzi poza granice działalności na gruncie polskim i stanie się działaczem socjaldemokratycznym ogólnorosyjskim. Prowadził nielegalną pracę w Warszawie, Częstochowie, dąbrowskim okręgu węglowym. Trafił na Pawiak, ale zwolniono go za kaucją. Wiosną 1908 r. sąd carski skazał go z braku dowodów jedynie na trzy lata zesłania do guberni jeniisejskiej na Syberii, skąd udało mu się uciec. Był to wyrok podejrzliwie łagodny, w tym samym bowiem czasie generał-gubernator Warszawy podpisał ponad tysiąc wyroków śmierci na rewolucjonistów.

Po ucieczce z zesłania Dzierżyński wrócił do Warszawy, ale wkrótce musiał uciekać do Berlina. Był w tym czasie jeszcze daleki od bolszewizmu. Nie było mu obce również hasło polskiej niepodległości. Ostro wystąpił przeciwko idei kolejnego zjednoczenia socjaldemokratów różnych narodowości w ramach jednej partii, czego domagał się Lenin. Pisał: „Taktyka leninowców na emigracji świadczy o tym, że mamy do czynienia z najbardziej bezwstydną, dziką taktiką frakcji leninowskiej skierowaną na siłowe przyłączenie Polaków i innych mniejszości umiarkowanych. Jest to dopiero część taktyki rozbicia partii [...]”.

Jak widzimy, przed rokiem 1912 nic nie wskazywało na zbliżenie Dzierżyńskiego z leninowcami. Raczej na odwrót, taktyka Lenina, skierowana na wyodrębnienie najbardziej bezkompromisowej, skrajnej frakcji socjaldemokracji jako osobnej partii wywołała jego oburzenie. Nie na długo jednak. Wkrótce został on jedną z najbardziej oddanych Leninowi osób. Jak do tego doszło?

Zemsta za katorgę

Kolejne wtrącenie Dzierżyńskiego do więzienia i skazanie najpierw na trzy lata katorgi (1914 r.), a później na dodatkowe sześć lat (1916 r.) wzbudziło w nim skrajną zaciętość. Wydawało się, że katorga z jej wyjątkowo surowym rygiem oznacza dla Dzierżyńskiego, człowieka o dość słabym zdrowiu, wy-

rok śmierci odroczony jedynie w czasie. Kiedy w kwietniu 1917 r. rewolucja lutowa zwolniła go z więzienia katorżniczego, chęć zemsty na caracie za tak okropne poniżenia i cierpienia przyjęła u niego formę chorobliwej obsesji.

Latem 1917 r. 40-letni Feliks Dzierżyński z inicjatywy Lenina awansuje do ścisłego kierownictwa partii bolszewickiej. Leninowi imponuje przede wszystkim niezwykle oddanie Dzierżyńskiego sprawie nowej proletariackiej rewolucji, jego zdolności organizacyjne i – najważniejsze – absolutna lojalność wobec samego Lenina. Jedyny mankament stanowi fatalny stan zdrowia byłego katorżnika. Dlatego Lenin osobiście naciska na wysłanie Dzierżyńskiego na tzw. leczenie kumysowe – w tych czasach dość skuteczne leczenie gruźlicy. Prawie na miesiąc Dzierżyński wyjeżdża ze stolicy do ośrodka „leczenia kumysowego” w guberni orenburskiej na południu kraju.

Po powrocie awansuje na jednego z czołowych organizatorów powstania bolszewickiego. Cieszy się zaufaniem również Lwa Trockiego, przewodniczącego Piotrogrodzkiego Sowietu (Rady) Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, głównego organizatora i inspiratora przewrotu bolszewickiego, gdy Lenin w tym czasie musiał ukrywać się w Finlandii. Wszedł w skład pięcioosobowego centrum wojskowo-rewolucyjnego,

namaszczonego przez Trockiego do bezpośredniego kierowania powstaniem. W czasie walk w stolicy imperium był on głównym koordynatorem działań Czerwonej Gwardii i zbolszewizowanych jednostek wojskowych.

Po przewrocie bolszewickim właśnie Polak Feliks Dzierżyński stał się symbolem bolszewickiego czerwonego terroru. Lenin i Trocki powierzyli zadanie zwalczania swych przeciwników politycznych Polakowi i stał się on wedle Aleksandra Sołżenicyna „katem” narodu rosyjskiego. Bolszewicy nigdy nie traktowali swej rewolucji jako zjawiska wewnątrzrosyjskiego. Dla Lenina i jego popleczników Październik był częścią rewolucji wszechświatowej. „My na złość wszystkim burżom rozdmuchamy pożar wszechświatowy” – jak pisał Majakowski.

Dlatego Polak na czele głównego narzędzia terroru partii był symbolem międzynarodowego charakteru rewolucji. Dzierżyński również był fanatycznym komunistą ideowcem, który dla sprawy partii był gotów przelać morze krwi, krwi głównie rosyjskiej. W imperium, gdzie Rosjanie stanowili niecałe 50 proc. ludności, partia komunistyczna cieszyła się wśród Rosjan nieporównywalnie mniejszym poparciem niż wśród mniejszości narodowych. Ten podział na „białych Rosjan” i „czerwonych nie-Rosjan” był jednym z najważniejszych rysów bolszewickiej rewolucji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Marek Gałęzowski

**Kazimierz Gorzkowski
był bohaterem
antyniemieckiej
konspiracji.
Wykradł dokumenty
AK z Pawiaka,
ratował Żydów.
W PRL więziono go
do 1956 r.**

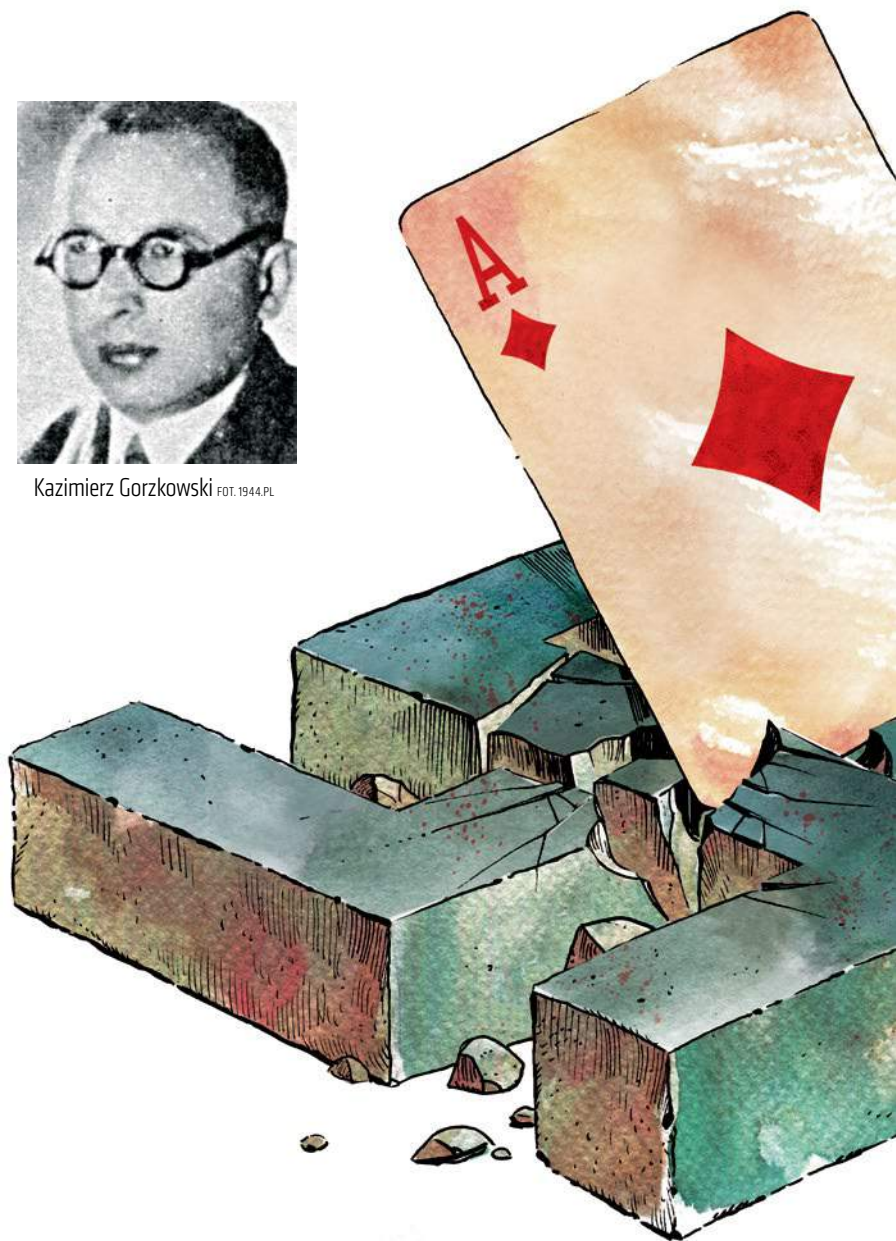
Wśród niezliczonych przykładów męstwa ludzi Polski podziemnej lat wojny i okupacji był i ten. 28 kwietnia 1941 r.

w lokalu konspiracyjnym przy ul. Marszałkowskiej 56 w Warszawie gestapo aresztowało łączniczkę Związku Walki Zbrojnej. Wśród przedmiotów zabranych w czasie rewizji była kuchenka elektryczna, którą wraz z innymi umieszczono w depozycie więzienia Pawiak. Kuchenka jak kuchenka, ale ukryto w niej bieżące rozkazy Komendy Głównej ZWZ dla Okręgu Krakowskiego organizacji. Komendant ZWZ gen. Stefan Rowecki po otrzymaniu tej informacji miał powiedzieć, że ten, kto podejmie się odzyskania dokumentów, zostanie przedstawiony do odznaczenia Orderem Virtuti Militari.

Ochotnik, który zgłosił się do wykonania tego zadania, nosił pseudonim AS i kierował komórką odpowiedzialną za łączność z Pawiakiem. Korzystając z pomocy więziennej strażniczki, zabrał feralną kuchenkę, a w jej miejscu pozostawił inną. Za swój czyn otrzymał co prawda Krzyż Walecznych, a nie Virtuti, ale ponieważ nie było to jego ostatnie dokonanie, doczekał się także najwyższego polskiego odznaczenia wojskowego. W powojennej, rządzonej przez komunistów Polsce liczne zasługi w walce z Niemcami nie uchroniły go jednak przed prześladowaniami ze strony narzuconych przez Związek Sowiecki władz. „AS”, czyli Kazimierz Gorzkowski, tak jak wielu innych żołnierzy Armii Krajowej – podobnych mu

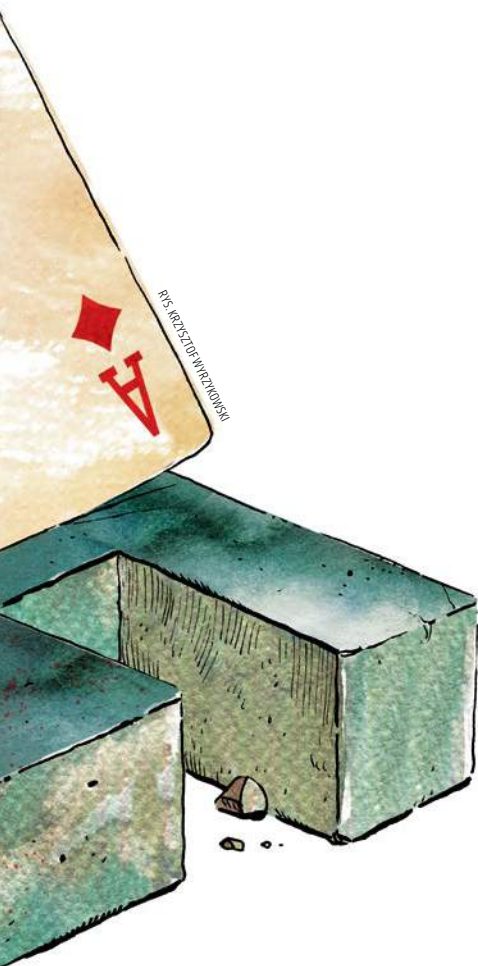


Kazimierz Gorzkowski FOT. 1944.PL



1899–1983 / Polskie Państwo Podziemne

**„AS” z Armii
Krajowej**



rzecz jasna bez rozgłosu, w robocie insurekcyjnej. Konsekwencją tego pierwszego wyboru było przystąpienie po wybuchu wojny do Polskiej Organizacji Wojskowej w powiecie puławskim. Szybko stał się jednym z najaktywniejszych i – jak pisano we wniosku o odznaczenie Krzyżem Niepodległości – „na stanowisku tym wykazuje energię i odwagę. Rozwija organizację [...], przeprowadza przeszkolenie, zaopatruje organizację w broń, usilnie szerzy wśród ludności hasło walki czynnej z okupantami”.

Na początku listopada 1918 r. zmobilizował podległy sobie oddział POW i wziął udział w likwidacji rządów austriackich. Ci lubelscy peowiacy jeszcze w tym samym miesiącu musieli ruszyć na front, z odsieczą Lwowa, o który trwały zacięte walki z Ukraińcami. Był wśród nich i Kazimierz, który uczestniczył w zdobyciu Rawy Ruskiej, a następnie w walkach pod Lwowem. Później bił się z bolszewikami, w złożonym głównie z harcerzy 201. pp. W ciężkich dniach odwrotu na początku sierpnia odznaczył się w boju z kawalerią bolszewicką pod wsią Paproć Duża na Podlasiu (była to wieś, w której swój pierwszy ślub wziął Józef Piłsudski, a uroczystość ta nastąpiła w roku urodzin Gorzkowskiego). Dla Kazimierza bitwa ta omal nie zakończyła się tragicznie – ciężko ranny w rękę i głowę, został wzięty do niewoli bolszewickiej.

Oswobodzony przez Wojsko Polskie w szpitalu w Białymstoku, wrócił do służby i uczestniczył w zdobyciu Wilna przez gen. Lucjan Żeligowskiego, a następnie jeszcze w III powstaniu śląskim. W okresie międzywojennym pracował w Muzeum Narodowym, a później jako urzędnik Państwowego Banku Rolnego. Przede wszystkim był jednak harcerzem – z czasem uzyskał stopień harcmistrza i zasiadł we władzach Związku Harcerstwa Polskiego.

Wszystostronny konspirator

We wrześniu 1939 r. dla pokoleń, które wywalczyło niepodległość, nadszedł kolejny egzamin. Gorzkowski bronił Warszawy przed Niemcami, a za

udział w bohaterskim, chociaż zakończonym niepowodzeniem, wypadzie 360. Pułku Piechoty na Okęcie pod dowództwem płk. Jakuba Chmury otrzymał Krzyż Walecznych. W konspirację zaangażował się od jej początku, by w połowie 1940 r. otrzymać pierwszą odpowiedzialną funkcję – kierownika komórki więziennej ZWZ.

Gorzkowski używał pseudonimu AS, co kojarzyło się z asem wywiadu, ale w istocie było skrótem pseudonimu Andrzeja Sokolnicki. Podległa mu struktura, potocznie nazywana grupą lub komórką Andrzeja, utrzymywała kontakty z więźniami Pawiaka, zbierała informacje o aresztowaniach i śledztwach, organizowała pomoc materialną i wsparcie dla więźniów. Rok później Gorzkowski został również zastępcą swojego przyjaciela Aleksandra Kamińskiego (ojca chrzestnego jego córki Anny), szefa Biura Informacji i Propagandy w Okręgu Warszawa-Miasto ZWZ, której początkowo podlegała komórka „Andrzeja”, w styczniu 1942 r. podporządkowana kontrwywiadowi Oddziału II KG ZWZ-AK.

„Jego wspaniały, życzliwy wszystkim charakter, szczęśliwie natrafiając na podobny grunt powszechnej chęci ludzi do pracy przeciw okupantowi, sprawiły, że potrafił zwerbować do współpracy ludzi wielkiej wartości i że prowadzony przez niego aparat łączności z uwięzionymi bardzo wiele i bardzo wielu ludziom pomógł” – pisał Kazimierz Leski. Poza łącznością z uwięzionymi, co już samo w sobie było wielkim sukcesem, „działał, i to niesłychanie aktywnie. Z jednej strony organizował sieć nasłuchu ogólnego [...], z drugiej wydawał własną agencję informacyjną opartą na nasłuchu radiowym oraz informacjach z sieci nasłuchu ogólnego, prowadził akcje charytatywne i wiele innych” (Leski).

A jednak, oceniając tak wysoko działalność Gorzkowskiego, ten jeden z najbardziej znanych kurierów AK uważał, że komórka więzienna nie była stworzona dla niego, ponieważ „AS”, chociaż „był jednostką wybitną [...], na konspiratora się jednak nie nadawał (był chyba jego antytezą), a tym bardziej na pracownika wywiadu: brzydził się jakimkolwiek fałszem, uważał kłamstwo za jedną z najgorszych

bohaterów walki z Niemcami – został uwięziony na wiele lat.

Peowiak i harcmistrz

Był przedstawicielem tego pokolenia, które pod zaborem rosyjskim szykowało się do walki o niepodległość Polski. Zanim jeszcze wybuchła pierwsza wielka wojna, urodzony w 1899 r. Kazik wstąpił do drużyny skautowej im. Romualda Traugutta. Znajdowała się ona pod wpływem ruchu zarzewiackiego i tym samym ćwiczyła się,

■ cech ludzkich. Ludzi oceniał według siebie: jeżeli tak mówią, to widocznie tak jest, wierzył więc każdemu”. Podobnie oceniał Gorzkowskiego Edward M. Sokopp – przyznając, że „nie przestrzegał naturalnych reguł organizacji podziemnych”, „zasłużył sobie na najwyższe słowa uznania [...]”. Był kimś, od kogo można się było nauczyć bardzo wiele. Nie tylko patriotyzmu. Imponował entuzjazmem, koleżeństwem. Nigdy nie silił się na autoreklamę. Był skromny pod każdym względem”.

Inny aspekt działalności Gorzkowskiego wiązał się z organizacją małego

Na początku 1942 r. przeszedł na stanowisko kierownika Działu IV (akcje specjalne) Podwydziału „N”. W tej komórce ZWZ-AK, wraz ze wspomnianym już Sokoppem, kierował tzw. Komisją Terroru Moralnego, która wysyłała fikcyjne zarządzenia, ostrzeżenia i wyroki, mające na celu dezinformację oraz zastraszenie Niemców i volksdeutscheów w Generalnej Guberni.

„Kazimierz Gorzkowski – Wolf [takiego używał tam pseudonimu – przyp. M.G.], nieoceniony, pełen zawsze zapału, inicjatywy, odważny do szaleństwa, jeżeli chodzi o działalność i pracę [...]”. On

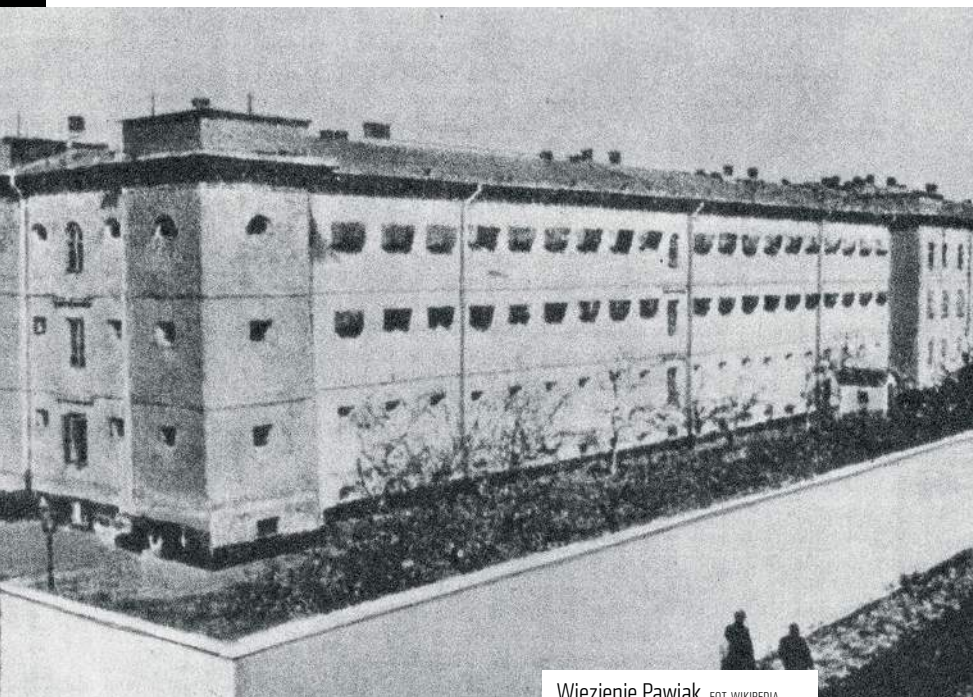
nas jak członków najbliższej rodziny, nas tropionych przez oprawców niemieckich i usuniętych poza nawias ludzkości” – pisały Regina Bogaty oraz Ludwika i Róża Goldblum.

„W 1942 r. ojciec mój, Marian Szpilfogel, musiał uciekać z ghetta w Otwocku, w przededniu akcji »likwidacyjnej«. Zwrócił się wówczas o pomoc do Kazimierza Gorzkowskiego. Ponieważ nie mógł od razu wyrobić fałszywych dokumentów – ofiarował memu ojcu na przejazd kolejką z Otwocka do Warszawy swój własny dokument, na którym był meldowany wraz z żoną i dzieckiem. Po przyjeździe mego ojca do Warszawy nie tylko wyrobił mu konieczne papiery, ale ponadto udzielił mu schronienia we własnym mieszkaniu na okres paru miesięcy. Wszystkie te przysługi spełniał bezinteresownie” – świadczyła Halina Cetnarowicz.

W czasie Powstania Warszawskiego Gorzkowski został szefem Wydziału Kolportażu BIP Obwodu Śródmieście AK (tzw. centralnego kolportażu), ale przede wszystkim, jak podaje Stanisław Ozimek, grupa „Andrzeja Godziemby” [jeszcze jeden z pseudonimów „AS”] była prekursorem poczty powstańczej, a sam Gorzkowski osobiście uczestniczył w kolportażu prasy powstańczej i przenoszeniu listów na pierwszą linię walk. Ponadto współpracował również z szefem propagandy BIP KG AK Tadeuszem Żenczykowskim, któremu składał meldunki sytuacyjne, m.in. dotyczące nastrojów, bezpieczeństwa oraz zaopatrzenia ludności cywilnej, pożarów i akcji ratunkowej, a także efektów działalności propagandowej AK.

„Zatwardziały wróg Polski Ludowej”

Po kapitulacji powstania Gorzkowski podzielił los jego uczestników, wywiezionych do niemieckiego oflagu. W końcu lutego 1945 r. wrócił do kraju, w którym pod osłoną Armii Czerwonej zainstalowały się już władze komunistyczne. Należał do tych, którzy sprzeciwili się nowemu zniewoleniu. Zamieszkawszy w Krakowie, nawiązał kontakt z Żenczykowskim, przystąpił



Więzienie Pawiak FOT. WIKIPEDIA

sabotażu, jednej z pierwszych i jednocześnie najbardziej znanych form walki cywilnej Polski podziemnej. Jeszcze w 1939 r. Gorzkowski inspirował malowanie haseł „Wawer” i „Palmiry”, gdzie Niemcy dokonali pierwszych egzekucji na mieszkańcach Warszawy, „Polska zwycięży”, później także „Oświęcim” oraz zawieszanie w widocznych miejscach biało-czerwonych flag. Zimą następnego roku był jednym z założycieli i kierownikiem organizacji małego sabotażu, która rok później przyjęła nazwę „Palmiry”. Po połączeniu „Palmir” z „Wawrem” wczesną jesienią 1941 r. Gorzkowski wszedł do Komendy Głównej Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”.

miał olbrzymią, tę pozornie zupełnie nieefektywną, niewidoczną dla ogółu [zasługę] [...], tę mrówczą robotę rozkładającą ludzi, wyłapującą wszystko. On to świetnie kierował, właściwie żył tym dzień i noc prawie” – pisał szef akcji „N” Tadeusz Żenczykowski.

Inną jeszcze bohaterską kartą konspiracyjną Gorzkowskiego było ratowanie polskich Żydów. „Znany nam jest z czasów okupacji z najlepszej strony, jako człowiek szlachetny i bezinteresowny. Ukrywał nas, gdy byliśmy ścigani przez okupanta, dzielił się każdym kęsem i to zupełnie bezinteresownie [...]. Zachowaliśmy o nim jak najlepsze wspomnienie i wdzięczność gorącą za uratowanie nam życia i traktowanie

do niepodległościowej „Nie”, a potem kontynuował swoją działalność w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj.

Wróciwszy do Warszawy, w marcu 1946 r. nawiązał kontakt z ppłk. Wacławem Lipińskim, wybitym piśmudczykiem, zdecydowanym kontynuować walkę o niepodległość zniewolonego ponownie kraju. Wspólnie utworzyli Stronnictwo Niezawisłości Narodowej, wspólnie też zaczęli wydawać pismo „Głos Opozycji”. Do zadań Gorzkowskiego należało zbieranie informacji

nocne stójki. W celi z betonową podłogą, z wyjętym oknem stał tylko w bieliźnie. Za to, że oparł się o ścianę, został obłany wodą. Po powrocie do celi mówił nam, że na bieliźnie powstał lód” – wspominał Julian B. Deczkowski, harcerz i powstaniec warszawski, towarzysz Gorzkowskiego z Mokotowa.

W lutym 1948 r. „AS” z AK został skazany na 15 lat więzienia. Broniąca go Antonina Grabowska pisała w odwołaniu od tego wyroku: „Wojskowy Sąd Rejonowy nie wziął pod uwagę okolicz-

i Niezawisłość, polegający na wymianie informacji o komunistycznych prześladowaniach społeczeństwa oraz wydarzeniach spoza żelaznej kurtyny.

W więzieniu we Wronkach „AS” zachował niezłomną postawę, czego świadectwo dał mimowolnie naczelnik więzienia: „Więzień Gorzkowski Kazimierz w czasie odbywania swej kary w tutejszym więzieniu zachowuje się niepoprawnie. Jest więźniem hardym i zarozumiałym [...]. W przeprowadzonej rozmowie uwidacznia się jego zarozumiałość, do przemian które dokona-

ły się w Polsce Ludowej ustosunkowuje się negatywnie. W dalszym ciągu jest zatwardziałym wrogiem Polski Ludowej i na poparcie prośby [o przedterminowe zwolnienie] nie zasługuje” – pisał.

Został zwolniony w 1956 r., ale przez wiele lat był inwigilowany przez komunistyczną

bezpiekę. Zmarł w 1983 r. Wspomnijmy jeszcze, że jego żona i córka także odczuły sowiecką sprawiedliwość, w 1949 r. skazane odpowiednio na półtora roku i blisko dwa lata więzienia.

Siedemdziesiąt dziewięć lat od powstania największej w Europie armii, podziemnej przez ponad pięć lat ofiarnej walczącej z niemiecką III Rzeszą, warto przypomnieć historię Kazimierza Gorzkowskiego. Symbolizuje ona bowiem dramat tysięcy podobnych mu bohaterów Armii Krajowej, wobec których totalitarny reżim, rządzący przez blisko pół wieku w powojennej Polsce, zastosował okrutne prześladowania, dążąc ponadto usilnie, acz bezskutecznie, by prawda o ich poświęceniu i męstwie została zapomniana.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.



z prasy krajowej i zagranicznej oraz kolportaż pisma. Nakład był niewielki, ponieważ poza dwoma numerami wydrukowanymi przez Wolność i Niezawisłość „Głos Opozycji” przepisywano na maszynie, do czego Gorzkowski pozyskał kilka kobiet, z którymi wcześniej współpracował w AK.

Po kilku miesiącach działalność ta została wykryta. Gorzkowski zaczął być inwigilowany przez UB, a w końcu wezwany do jego warszawskiej siedziby przy ul. Koszykowej. Nie aresztowano go wówczas, ale w grudniu 1946 r. otrzymał kolejne „zaproszenie”. Zignorował je, jednak na reakcję bezpieki nie trzeba było długo czekać. „Gdy o świcie załomotali do nas ubowcy – ojciec wyskoczył przez okno. Na szczęście był to parter i dom nie był obstawiony. Rewizja w tym naszym mizernym pokoju trwała kilka godzin [...], a potem nas obie z mamą przewieźli na Koszykową [...]. Mnie wypuścili wieczorem, na wabia, mama (Maria Gorzkowska) została w piwnicy na Koszykowej” – wspominała 18-letnia wówczas córka Gorzkowskiego, Anna. Po tygodniu wezwano ją do MBP, gdzie osławiony płk Józef Różański oświadczył: „Powiedz ojcu, że jak się do nas zgłosi, to wypuścimy matkę. A jeżeli nie – to nie wiadomo, co się z nią stać może”.

Został schwytany na początku lutego 1947 r. Przeszedł ciężkie śledztwa w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej. „Zabierany był na

ności łagodzących, a w szczególności wybitnych zasług oskarżonego na polu walki w początkowym okresie odzyskanej niepodległości (1918) w Powstaniu Śląskim, w oddziałach obrony Warszawy w 1939 r. oraz w okresie okupacji [...]. Liczne szczerne odznaczenia świadczą, że oskarżony jest jednostką nieprzeciętną i zasłużoną dla

Polski, a więc zasługuje na specjalną względną przy wymiarze kary”. Do swojej prośby dołączyła wyżej cytowane świadectwa uratowanych przez Gorzkowskiego Żydów.

Odpowiedź komunistycznych sędziów była taka: „Zasługi z czasów okupacji obszernie zapodane w skardze rewizyjnej wobec tak groźnych przestępstw skazanego nie mogą odegrać znaczenia”. Tymi groźnymi przestępstwami było wsparcie w wydawaniu pisma, którego nakład może niewiele przekraczać sto przepisanych na maszynie egzemplarzy, i kontakt z organizacją Wolność



XVI w.

Romans, pieniądze i przemoc w „Złotym wieku”

Baszta tatarska w Ostrogu
i portret Halszki FOT. WIKIWAND

Tragedia Halszki z Ostroga



Sławomir Koper

/ Kompania Kmicica z „Potopu” wydaje się przy magnatach zamieszanych w sprawę małżeństwa Halszki z Ostroga grupą pobożnych patników....

Dziwnie los obszedł się z synami Kazimierza Jagiellończyka. Miernotom dał dłuższe życie, a ci bardziej zdolni umierali młodo. Najbardziej utalentowanego, Kazimierza, zabrała gruźlica w wieku zaledwie 26 lat, natomiast Jan Olbracht padł ofiarą syfilisu, gdy miał 42 lata. Ta sama choroba była przyczyną śmierci najmłodszego z braci, prymasa Polski, Fryderyka, w wieku zaledwie

35 lat. Aleksander żył o 10 lat dłużej i on też jako jedyny z braci się ożenił. Jego małżeństwo pozostało jednak bezdzietne, a otoczenie szeptało, że król był impotentem.

Chociaż rodzina prowadziła politykę dynastyczną, to synowie Kazimierza Jagiellończyka nie spieszyli się do ślubów. Może poza Władysławem, królem Czech i Węgier, który wprowadził ocalał przed gruźlicą czy syfilisem, ale w zamian dopuścił się bigamii. On zresztą także długo nie mógł się doczekać potomstwa.

Obyczajami od pozostałych braci niewiele odbiegał przedostatni z nich, Zygmunt. Przez długie lata nikt zresztą nie przewidywał, by kiedykolwiek objął polski tron, a wszelkie inne plany związane z jego osobą kończyły się niepowodzeniem. Nie został hospodarem Mołdawii, fiaskiem zakończyła się także próba przekazania mu władzy na Mazowszu po śmierci tamtejszych Piastów: Janusza II i Konrada III Rudego. Dzielnica płocka została włączona bezpośrednio do Korony, a pozostałe ziemie przekazano małoletnim synom księcia

Konrada. W tej sytuacji Zygmunt poprosił Aleksandra o wyznaczenie mu księstwa na Litwie ze stolicą w Kijowie, ale spotkał się z odmową, gdyż brat obawiał się buntu bojarów. Młody Jagiellon nie dostał też namiestnictwa Prus Królewskich, o które zabiegał.

W sukurs przyszedł mu Władysław czesko-węgierski, przekazując mu w lenno księstwo głogowskie na Śląsku. Było to znakomite rozwiązanie, gdyż Zygmunt sprawdził się jako jego zarządca i niebawem otrzymał jeszcze księstwo opawskie, a później nominację na namiestnika całego Śląska i Łużyc. Najwyraźniej musiał posiadać wrodzone zdolności organizacyjne, gdyż od samego Władysława, na którego dworze często przebywał, raczej nie mógł się zbyt wiele nauczyć.

Na podległych mu terenach przeprowadził reformę monetarną i sądowniczą, ukończył też rozboj na drogach, co do tychczas było ogromnym problemem na Śląsku. Nie miał litości dla miejscowych zbójców, nawet jeżeli wśród nich bywali śląscy rycerze.

Informacje o sukcesach królewicza docierały do Krakowa, wzbudzając powszechną sympatię. Wobec bezdzietności Aleksandra widziano w nim następcę tronu, tym bardziej że starszy brat coraz bardziej zapadał na zdrowiu. Gdy zmarł, Zygmunt automatycznie stał się najważniejszym pretendentem do korony.

Właściwie sprawę rozstrzygnął w ostatnich dniach życia sam Aleksander, który wezwał młodszego brata do Wilna. Chociaż nie doczekał jego przyjazdu, to zgodnie z wolą konającego króla możnowładcy litewscy okrzyknęli Zygmunta wielkim księciem. Wprawdzie było to pogwałcenie niedawno zawartej unii mielnickiej, gdyż króla Polski i wielkiego księcia Litwy miano wybierać wspólnie, ale od dawna było wiadomo, że najprostsza droga na Wawel prowadzi przez Wilno. I tak stało się tym razem. Zygmunt objął władzę na Litwie pod koniec października 1506 r., po czym wyruszył do Piotrkowa. Zgromadzeni tam senatorowie robili dobrą minę do złej gry i udawali, że nic się nie stało. Przeprowadzono formalną polsko-litewską elekcję, pozory zostały zachowane i pod koniec stycznia 1507 r. nowy władca został uroczystie koronowany na Wawelu.

Książęca metresa

W chwili objęcia władzy w Polsce i na Litwie Zygmunt miał niespełna 40 lat i wciąż nie był żonaty. Jednak od wielu lat jego stałą partnerką była pochodząca z Moraw Katarzyna Telniczanka. Prawdopodobnie wywodziła się z rodziny Ochstatów, a zmiana nazwiska miała sugerować jej szlacheckie pochodzenie. Była wyjątkowo urodziwa i urodziła księciu troje dzieci, którymi Zygmunt zajął się troskliwie. Dwie córki w przyszłości miały wydać korzystnie za mąż, natomiast syna, Janusza (Jana), przeznaczył do stanu duchownego. W wieku 11 lat chłopiec otrzymał godność kanonika krakowskiego, a ojciec zadbał o dyspensę papieską umożliwiającą mu karierę. I dzięki temu nieprawy potomek Jagiellonów został biskupem wileńskim, a następnie poznańskim. Oficjalnie natomiast nazywał się Janem z Książąt Litewskich.

Zygmunt był do swojej metresy bardzo przywiązany, gdy jednak objął władzę w Polsce i na Litwie, musiał zawrzeć odpowiednie małżeństwo i postarać się

o sukcesora rodu. Zadbał jednak o nałożnicę, a że Jagiellonowie zawsze byli szczodrzy, Telniczanka nie narzekała na warunki życia. Otrzymała roczną pensję i solidny posag, po czym wyszła za mąż za podskarbiego królewskiego, Andrzeja Kościeleckiego. Niestety, mąż zmarł po kilku latach małżeństwa, a Katarzyna urodziła pogrobową córkę, Beatę. Nie obyło się też bez różnego rodzaju plotek, gdyż opowiadano, że tak naprawdę ojcem dziewczynki miał być Zygmunt Stary. Było to jednak mało prawdopodobne, gdyż król w tym czasie właśnie przeżywał swoją miłość życia u boku pierwszej żony, Barbary Zapolyi.

Związek miał charakter polityczny, ale król zakochał się w swojej młodszej o 30 lat partnerce. Małżonkowie niemal się nie rozstawali, Barbara towarzyszyła mężowi w podróżach po kraju i szybko urodziła mu dwie córki. A gdy zmarła na skutek powikłań po drugim porodzie, Zygmunt bardzo rozpacział. I jeszcze po wielu latach, gdy wspominał zmarłą żonę, nie potrafił pohamować łez.

Nie zmieniało to jednak faktu, że król bardzo interesował się losem córki swojej dawnej kochanki. Skoro Telniczanka osiadła w Wilnie, gdzie prowadziła bardzo wesołe życie, Zygmunt zadecydował, że mała Beata będzie wychowywała się na dworze królowej Bony. Gdy dziewczyna dorosła, władca zadbał też o odpowiednie dla niej małżeństwo. Wybór padł na przedstawiciela najzamożniejszego litewskiego rodu, księcia Ilię Ostrońskiego.

Pechowy książę Ilia

Chociaż w Koronie i na Litwie nie brakowało bogatych rodzin (Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Potoccy, Mniszchowie, Sapiehowie etc.), to przez długie lata za najbardziej majątnych uchodzili Ostrogscy. Wywodziли się z dynastii Rurykowiczów od niepamiętnych czasów rządzących Rusią, a protoplasta rodu otrzymał namiestnictwo Ostroga jeszcze z rąk księcia Lubarta. W 1386 r. Władysław Jagiełło przekazał rodzinie miasto w dziedziczne władanie, a w karierze jej członków nie przeszkodziło to, że w odróżnieniu od wielu innych rusińskich familii Ostrogscy niemal do końca istnienia rodu pozostali

wierni prawosławiu. Dobrze się też zasłużyli Jagiellonom. Konstanty Ostrogski został pierwszym hetmanem wielkim litewskim, a jego największym osiągnięciem było zwycięstwo nad Moskalami pod Orszą w 1514 r. Zasłużył się również w wielu innych kampaniach, a okazji do wojen w tych czasach nie brakowało.

Jego syn – książę Ilia Ostrogski – uważany był za najlepszą partię Rzeczypospolitej. Nie brakowało chętnych do wydania córki za magnatę, jednak Beata Kościelecka przewyższała inne kandydatki urodą, gdyż uważano ją za najpiękniejszą dziewczynę w kraju. Na jej wdzięki nie pozostał obojętny poeta Andrzej Krzycki (przy okazji też prymas Polski), który opiewał jej urodę w jednym ze swoich utworów:

*O, Beato, tak bogato w rzadkie wdzięki zdobna,
Ty uczciwą i cnotliwą, mowa, czyny, twarz nadobna,
Godni ciebie i niegodni ciebie uwielbiają,
Posiwiali i dojrzali dla cię w szal wpadają.*

Dodatkowym atutem dziewczyny było to, że od biedy mogła uchodzić za kuzynkę panującej dynastii, co zapewne miało pewien wpływ na decyzję Ostrońskiego. Współcześni pisali o tym różnie, a porównując walory Beaty z zaletami innej kandydatki (a była nią Barbara Radziwiłłówna – późniejsza ukochana Zygmunta Augusta), można odnaleźć stwierdzenie, że „książę Ilia z jednego bagna wpadł w drugie”!

Zygmunt Stary wykazał jednak ogromne zadowolenie z decyzji Ostrońskiego i zgodził się, aby uroczystości weselne magnata połączyć ze ślubem własnej córki. Ale to, co miało być wielkim honorem dla księcia, stało się przyczyną nieszczęścia. Pan młody potykał się w rycerskim pojedynku z królewiczem Zygmuntem Augustem i strącony z konia, odniósł poważne obrażenia. Zmarł po kilku miesiącach, a jego jedyna córka Halszka (Elżbieta) przyszła na świat jako pogrobowiec.

Tragedia dziedziczki

Losy pechowego księcia Ilii, Beaty Kościeleckiej i ich córki są doskonałą ilustracją tezy, że pieniądze szczęścia nie dają. A śledząc wydarzenia, które rozegrały się po śmierci Ostrońskiego, ■

Ruiny zamku w Ostrogu
w XIX w. FOT. DOMENA PUBLICNA



Ser. I/10.

OSTRÓG. (G. Wołyńska.)

Rys. z natury Napoleon Orda.

Ruiny zamku obronnego założonego przez Fedkę z Nieświeża księcia na Ostrogu w r. 1221. Ruina nosi datę r. 1325.

■ nie można wyjść ze zdumienia, że to wszystko działo się w epoce Jagiellonów uważanej za złoty wiek Rzeczypospolitej, a nie gdzieś w czasach schyłkowych Wettynów na tronie polskim.

Elżbieta Ostrogska była najbogatszą dziedziczką w kraju, a do tego los obdarzył ją nieprzeciętną urodą i na brak kandydatów do zamążpójścia nie mogła narzekać. Nie mając jeszcze 14 lat, zakochała się z wzajemnością w księciu Dymitrze Sanguszcze, ale małżeństwu sprzeciwiała się matka i niebawem doszło do tragedii. Ukochany wraz ze stryjem dziewczyny najechali na Ostrogę, zdobyli zamek szturmem i porwali Halszkę. Małżeństwo zostało pospieszenie pobłogosławione i z jeszcze większym pośpiechem skonsumowane.

Matka Halszki błyskawicznie uzyskała wyrok na gwałcieli (utrata czci i gardła) i w pogon za Sanguszką ruszyła pokaźna armia odrzuconych zalotników. Świeżo upieczony mąż popełnił fatalny błąd i po przekroczeniu czeskiej granicy uznał, że jest już bezpieczny. Ścigający nie zwracali uwagi na takie drobiazgi i skatowanego Sanguszkę zamordowano na oczach Halszki.

Dziewczynę wysłano na dwór Zygmunta Augusta, który postanowił cudzym kosztem załatwić własny interes. Pospieszenie wydał dziewczynę (nie wiadomo, pannę czy wdowę, gdyż małżeństwo uznano za nieważne) za przywódcę polskich protestantów – Łukasza Górkę. Protestowały matka i córka, ale król

postawił na swoim. Wojewoda brzesko-kujawski uzyskał prawo do fantastycznego majątku Halszki.

Halszka i Beata nie zamierzały biernie pogodzić się z dyktatem królewskim. Kobiety schroniły się we lwowskim klasztorze oo. Dominikanów, a niebawem pod jego murami pojawił się Górka. Sprawa była wyjątkowo delikatna: klasztor był katolicki, Halszka wyznawała prawosławie, a Górka był luteraninem. Doszło jednak do regularnego oblężenia, a pod ogniem napastników Halszka wyszła za mąż za księcia Słuckiego. Bigamia? I tak, i nie, przecież małżeństwo z Górką zawarto bez jej zgody. Sprawę rozwiązała przemoc, żołnierze Górki odcięli wodę i zdobyli klasztor, a sam Słucki niebawem zmarł. Halszkę wywieziono do Szamotuł, a gdy odmówiła współżycia z mężem, została na wiele lat uwięziona. Podobny los spotkał jej matkę – Beata Kościelecka wyszła za mąż za Olbrachta Łaskiego i również wylądowała w lochu (mąż w tym czasie przejął jej majątek). Nie zobaczyła już nigdy córki, zmarła po 10 latach odosobnienia.

Po śmierci Górki Halszka odzyskała wolność. Była już jednak tylko strzępem człowieka, podczas pobytu w Szamotułach pojawiły się u niej symptomy choroby psychicznej. Odzyskała majątek, ale nie miało to dla niej już znaczenia. Pograżona w depresji zmarła w 1582 r. w Dubnie, a Ostrogę przeszedł w ręce jej stryja. Losy nie-

szczęsnej dziedziczki wielkiej fortuny stały się inspiracją dla pisarzy, malarzy i poetów – artyści z reguły z ludzkiego nieszczęścia potrafią czerpać natchnienie. Nic też dziwnego, że na zamku w Szamotułach podobno do dziś pojawia się jej widmo, które przemierza pomieszczenia wieży nazwanej jej imieniem i bezgłośnie skarży się na swój los. Ze względu na ciemne szaty nazywana jest czarną księżniczką.

Przed laty opowiadano też, że Górka, mszcząc się na dziewczynie, zakuł jej twarz w metalową maskę, by nikt nie mógł podziwiać jej urody. Nie mógł odmówić jej posługi religijnej, ale w zamian miał wybudować podziemny tunel prowadzący z wieży do szamotułskiej kolegiaty. Halszka miała tam wysłuchiwać nabożeństw z małej celi za kratą. To oczywiście tylko legendy, tym bardziej że Halszka do końca życia pozostała prawosławna, a Górka przekazał świątynię luteranom, potem przejęli ją zaś bracia czescy.

Ostrogscy wygaśli niebawem po śmierci Halszki (1620 r.). Ostatni przedstawiciel rodu, książę Janusz, w młodym wieku przeszedł na katolicyzm, co dało powód do sugestii, że spotkała go kara za porzucenie wyznania przodków. Żył jednak wystarczająco długo (blisko 70 lat), aby uznać teorię o zemście niebios za propagandę prawosławnego duchowieństwa. Ostrogę wcielono do majątku spokrewnionej rodziny Zasławskich.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



NRD /

Wspomina major Stasi – Bernd Brückner

Goryl Honeckera

Bernd Brückner (zaznaczony kółkiem) FOT. BUNDESARCHIV BILD



Piotr Semka

Sensacyjne wspomnienia osobistego ochroniarza dyktatora NRD

Były major Stasi Bernd Brückner prowadzi dziś w RFN firmę szkolącą opiekunów dla ludzi starszych. Jednak 34 lata temu, za czasów Niemieckiej Republiki Demokratycznej, uśmiechnęło się do niego szczęście. Stasi wybrało go na osobistego ochroniarza Ericha Honeckera, I sekretarza komunistycznej partii SED. Służbę tę, pod resortowym kryptonimem Peter

34, pełnił od 1976 r. aż do upadku NRD. O tajemnicach swojej misji opowiada w tomie wspomnień. Jak wyglądał świat NRD-owskiego olimpu z punktu widzenia mjr. Brücknera?

Wspomnienia szefów ochrony i służących wielkich przywódców to specyficzny rodzaj źródeł historycznych. Ich krytycy wskazują, że zazwyczaj przedstawiają one punkt widzenia lokaja, który zauważa śmieszności i ludzkie przywary swego pryncypała, a często nie widzi realnej historycznej wielkości szefa. Nie zmienia to faktu, że literatura taka zawsze dobrze się sprzedaje.

Bernd Brückner ma dziś 65 lat i za dbał o miękkie lądowanie po upadku NRD. Korzysta z dotacji państwa, które dba o szkolenia opiekunów seniorów. Powodzi mu się nieźle, ale zapewne nudno. Nic dziwnego, że postanowił uwiecznić wspomnienia z czasów, gdy na jego widok posłusznie rozstępowali się towarzysze z politbiura. Dyskretnie,

ale stanowczo odsuwał od towarzysza Ericha nawet wysoko postawionych notabli, jeśli tylko zbyt nachalnie narzucali się dyktatorowi NRD. Odwiedził z Honeckerem setki miejscowości w NRD i był u jego boku w czasie większości jego 60 wizyt za granicą.

Wierny sługa

Jego książka nosi tytuł „An Honeckers Seite”, co jest tytułem o podwójnym znaczeniu: „U boku Honeckera”, ale też „po stronie Honeckera”, co można uznać za demonstrację wciąż niewygasłej lojalności wobec byłego szefa. Ta sympatia jednak nie wyklucza wielu kąśliwych relacji o tym, jak towarzysza Ericha trudno było upilnować. Największym utrapieniem ochrony przywódcy „Czerwonych Prus” była jego pasja łowiecka.

„Kiedy Honecker błąkał się po lesie, były problemy” – pisze ze smutkiem

■ mjr Brückner. Tak jak każdy zapalony myśliwy Honecker nie chciał, aby ktoś z ochrony pętał się za nim, gdy ten szukał zwierzyny w gęstwinie specjalnych obszarów łowieckich, przyszykowanych dla I sekretarza SED.

Żądania Honeckera – aby szanować jego samotne łowy – Brückner musiał jednak godzić ze zdecydowanym rozkazem szefa Stasi, Ericha Mielkego: „Bezpieczeństwo tow. I sekretarza nie może być narażone ani na chwilę”.

Jak rozwiązywano tę sprzeczność? Nie było to łatwe i Brückner wspomina powtarzające się co pewien czas nerwowe pytanie: „Gdzie się, u diaska, podział towarzysz I sekretarz?”.

Pewnego razu przez kilka godzin Erich Honecker wędrował samotnie po lesie i nie mógł odnaleźć drogi z powrotem. Wcześniej zaparkował swój samochód terenowy przy sporym drzewie na odgrodzonym obszarze łowieckim, ale szybko stracił orientację w lesie. „Stary – jak go opisuje Brückner – nie miał ani prawa jazdy, ani żadnego talentu technicznego”.

Innym razem „EH” – takim skrótem Brückner oznaczał Honeckera w dokumentach służbowych Stasi – pożyczył od niego pistolet i zgubił go. Na dodatek uparł się, że sam będzie szukał zagubionej w lesie broni aż do skutku. Co ciekawe, mimo przeczesywania lasu przez setki policjantów (w NRD była Volkspolizei, a nie żadna milicja) broń nigdy nie została znaleziona.

Volvograd i jego atrakcje

Erich Honecker wysadził z siodła swego poprzednika Ulricha Honeckera w 1971 r., czyli rok po tym, jak polski szef PZPR Edward Gierek zastąpił Władysława Gomułkę. Obaj uznali, że po siermiejnej skromności lat 50. i 60. partyjnej elicie należy się trochę luksusu.

Honecker miał już dosyć oszczędnej epoki Ulbrichta, który porównywał poziom życia niemieckich robotników do epoki Republiki Weimarskiej. Elity partyjne miały po dziurki w nosie tej przymusowej ascezy i czekały tylko na zezwolenie, by sięgać po zachodnie dobra luksusowe. Oczywiście, aby usprawiedliwić własny konsumeryzm, sprowadzano

pewną część dóbr zachodnich dla mas, ale nigdy w takim wymiarze jak dla partyjnych elit.

Słynne było sprowadzenie w połowie lat 70. dla Honeckera szwedzkich limuzyn Volvo. Aby odeprzeć zarzut o wynoszenie się szefa partii ponad masy,



oficjalna sieć sprzedaży samochodów równoległe do importu limuzyn Volvo dla elity władzy sprowadziła pewną liczbę podstawowych modeli Volvo i Citroën. Miały one zaporowe ceny, ale teoretycznie były dostępne dla każdego. Ponieważ były wielokrotnie droższe od wartyburgów czy polskich fiatów, stały jako martwe eksponaty w salonach.

Ten system oszukiwania samego siebie Honecker udoskonalił z czasem do perfekcji. „Tłumił kontakt z rzeczywistością” – wspomina ostrożnie Brückner.

Otoczony luksusami „Towarzysz Erich” dawał się przekonywać, że szary człowiek nie ma powodów do narzekania na poziom życia. Gdy odwiedzał Konsumhalle, czyli sklepy samoobsługowe, zawsze dziwnym trafem mógł zobaczyć bogatą ofertę towarów. Nie chciał zauważyć, że niewidzialne ręce aparaczyków hojnie wyposażały półki sklepowe tuż przed jego przyjazdem. W rezultacie wszyscy byli zadowoleni. Honecker, bo wszystko było super, i szefowie handlu, bo dostawali gratulacje za dobre zaopatrzenie sklepów. Tylko zwykli ludzie nie mieli z tego nic, chyba że jakimś cudem trafili akurat na wizytę wodza.

Osiedle rządowych willi koło miasteczka Wandlitz położone było 30 km na północ od centrum Berlina. To tam w zacisznych sosnowych lasach rejonu Prignitz zbudowano w latach 60.

rezydencje dla dygnitarzy NRD w stylu przypominającym podwarszawski nowy Konstancin. Zwykli mieszkańcy okolic mogli jedynie się przyglądać, jak kolumny limuzyn Volvo zmierzają do pilnie strzeżonej enklawy luksusu. Osiedle dla wybranych nazwali zgryźliwie Volvogradem na wzór sowieckiego Wołgogradu.

Brückner opisuje, jak na terenie osiedla operowała specjalna grupa śmieciarzy Stasi, która troskliwie utylizowała śmieci „przywódców narodu”. Specjalni śmieciarze? Po co? Obawiano się, że gdyby resztki były wyrzucone na lokalne śmietnisko, zwykli Niemcy mieszkający w okolicy mogliby odkryć, jak wiele zachodnich specjalów, niedostępnych na rynku, sprowadzanych jest dla ludzi ekipy Honeckera. Jak pisze dziennik „Die Welt”, recenzując książkę Brücknera, dziś, dla pokolenia Niemców urodzonych już po upadku muru, ten „równoległy świat” władców NRD, w którym za grosze kupowano kosztowną broń myśliwską, szykowano jelenie na potrzeby polowań wodza SED, użytkowano zachodnie samochody, zapewniano piękne róże hodowane w Wandlitz i armię niewidzialnych służących czekającą na skinienie, by spełniać zachcianki bonzów, wciąż wywołuje niedowierzanie. Trudno było o większy kontrast z deklarowaną przez władze NRD polityką na rzecz dobra ludzi. Brzmio to wszystko groteskowo, a jednak trwało to latami.

Wszystkiemu winien towarzysz Mielke

Grupę 28 ochroniarzy, którzy należeli do zespołu ochrony Honeckera, stanowili najlepsi z najlepszych. „Musielimy być posłuszni” – wyjaśnia w nieco obronnym stylu Brückner i ujawnia, że zarabiali 2,3 tys. marek NRD netto miesięcznie. Stanowiło to nieco ponad dwukrotność średniej płacy w NRD w 1989 r. Tyle że były NRD-owski ubek nie wyjaśnia, że pełniąc swoją funkcję, nie musiał martwić się ani o wyżywienie, ani o koszty utrzymania samochodu, a liczne zagraniczne wizyty pozwalały na zakup dóbr niedostępnych dla zwykłych śmiertelników.

Równie banalnie brzmią tytady Brücknera, w których podkreśla, że Honeckerowi należą się „szacunek



Wartownia rządowego osiedla koło Wandlitz

FOT. MAZBLN/WIKIPEDIA/GFDL, CC-BY-SA 2.0

i uwaga". Według pana majora „raczej środowisko otaczające »pierwszego człowieka« odcięło go od informacji, schlebiało mu, a następnie dokonało zamachu politycznego". Brückner bagatelizuje dziś dyktatorski charakter władzy swego szefa: „Erich Honecker był takim samym małym despotą jak – powiedzmy – dziś Angela Merkel”.

Co jeszcze? Według książki Brücknera Honecker „mamrotał, niechętnie latał samolotem, nie nadużywał alkoholu jak inni w jego otoczeniu, spał oddzielnie od swojej żony Margot – minister oświaty ludowej, a gdy to było możliwe, urządził sobie wypad do puszczy Schorfheide na polowanie”.

Brückner niechętnie pisze o moralnej odpowiedzialności za zbrodnie reżimu. Głównym szwarczarakterem jest we wspomnieniach Erich Mielke – zwierzchnik Stasi. Nazywany za plecami „małym Erichem” (nie był zbyt wysokiego wzrostu), irytował nawet kadrę aparatu przekonaniem, że „wróg klasowy czai się za każdym drzewem”. Jak pisze Brückner: „To Mielke sprawił, że życie wielu obywateli NRD było nie do zniesienia”. Wodza Stasi porównuje do pruskiego feldfebla, służącego wobec zwierzchników i aroganckiego wobec podwładnych.

Zabawny jest opis, jak w czasie wizyty kanclerza Helmuta Kohla w NRD

w 1988 r. Mielke kazał rodzinom pracowników resortu odgrywać przypadkowo napotkanych NRD-owskich turystów.

Dwie wizyty Honeckera w RFN w 1987 r. i Kohla w NRD z 1988 r. były dla szefa SED spełnieniem marzeń. Oto zamożna RFN uznała w pełni istnienie „drugiego” państwa niemieckiego i po latach afrontów potraktowała jego lidera jak równego sobie przywódcę. Ekipie w Berlinie Wschodnim wydawało się, że korzystając ze swej niemieckości, będzie czerpać z kroplówki Deutsche Mark, szantażując polityków w Bonn groźbą przykręcenia śruby obywatelom NRD. Nie wzięto pod uwagę jednego – Związek Sowiecki pod wodzą Michaiła Gorbaczowa chwiał się już na nogach.

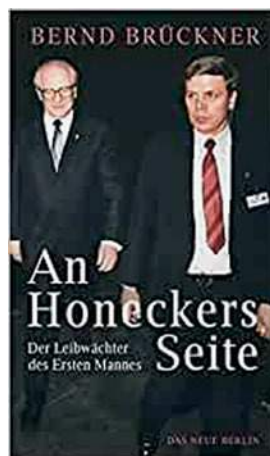
W końcu, od wiosny 1989 r. echa zmian w bloku sowieckim i pomruki niezadowolenia obywateli NRD dotarły nawet za płoty wydzielonych enklaw władzy.

Od lipca 1989 r. Honecker był już poważnie chory i został odizolowany od świata. Trzech dygnitarzy – szef ministerstwa bezpieczeństwa państwowego Erich

Mielke, zastępca przewodniczącego Rady Państwa NRD Günter Mittag i Joachim Herrmann, odpowiedzialny za propagandę, zbudowali informacyjny mur wokół towarzysza Ericha. Ani nie dostawał gazet, ani nie mógł oglądać telewizji, ani słuchać radia. Przeszedł ciężką operację w klinice rządowej. Po cichu próbowano zastopować zmiany, zastępując Honeckera młodszym od niego o 25 lat aparaczykiem Egonem Krenzem. Bez skutku. Odkrycie prawdy o rozpadzie NRD i stanie rewolty w listopadzie 1989 r. było dla Honeckera szokiem. Aby nie zrazić sobie Kremla ani nie zaszkodzić zjednoczeniu Niemiec, władze RFN zgodziły się na wysłanie ciężko chorego Honeckera do Chile, gdzie do końca życia w 1994 r. opiekowała się nim siostra.

A Berndt Brückner musiał zakończyć życie na szczytach. W swojej książce szarpie się między rolą świadka opowiadającego o absurdzie systemu a rolą obrońcy swego szefa. Bardzo trudno jest wyjść z najważniejszej roli, jaką przyszło grać mu w życiu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wywiad

/ Z prof. Dariuszem Tołczykiem,
autorem książki „GUŁag w oczach Zachodu”

rozmawia Piotr Zychowicz



Filozof i pisarz George Bernard Shaw
(na pierwszym planie, z brodą) w Moskwie,
1931 r. FOT. GETTY IMAGES

Błazny w komedii Stalina

Józef Stalin zawsze mógł liczyć na armię zachodnich intelektualistów, która usprawiedliwiała każdą jego zbrodnię i niegodziwość

PIOTR ZYCHOWICZ: Czym był łagier specjalnego przeznaczenia w Bolszewie?

PROF. DARIUSZ TOŁCZYK: Był to położony pod Moskwą ośrodek wychowawczy dla młodocianych przestępców. W latach

30. władze sowieckie przerobiły go na pokazowy łagier, do którego autokarami Inturistu zwożono turystów z Zachodu.

Turystów do łagru? Po co?

Kiedy na Zachód zaczęto przedostawać się coraz więcej informacji o łagrach, Kreml uznał, że nie ma sensu upierać się, że GUŁag nie istnieje. Przyjęto inną strategię. Propaganda sowiecka starała się przekonać świat, że w łagrach panują znakomite warunki. Właśnie temu służyły wycieczki do Bolszewa. Biorący w nich udział przybysze z Zachodu mogli na własne oczy przekonać się, że wszystkie „złośliwe plotki” o łagrach są niepraw-

dziwe. Nie ma tam głodu, znęcania się nad więźniami ani pracy niewolniczej. Opowieści nielicznych świadków, którym udało się uciec na Zachód, są kłamstwami wrogów władzy sowieckiej. GUŁag, przekonywali swoich gości Sowietów, jest miejscem, gdzie w humanitarny sposób, zgodnie z teoriami postępowej myśli penitencjarnej, dokonuje się resocjalizacja przestępców, którzy po zakończeniu wyroku stają się „odmienionymi ludźmi”, by wrócić na łono socjalistycznego społeczeństwa.

Co konkretnie mogli zobaczyć turyści w Bolszewie?

Czyste sale, białą pościel, lśniąca łożenki. Obfite posiłki serwowane w stołówce. Latem – zadbane ogrody, grządki. Więźniowie troskliwie wychowywani przez opiekuńczych mentorów-pedagogów z policji politycznej. Owszem, więźniowie zajmowali się pracą, ale to była terapia poprzez pracę. Praca była krótka, lekka i przyjemna. Po pracy zaś więźniowie mieli bogate życie kulturalne. W kółkach zainteresowań spotykali się wielbicieli filmu, teatru czy majsterkowania. Innymi słowy – sielanka.

Kim byli więźniowie?

Z tym bywało różnie. W części byli to autentyczni młodociani zekowie, którym powiedziano, że jeżeli odmówią udziału w tym cyrku, to zostaną przeniesieni do prawdziwego łagru, gdzie – jak wiadomo – panowały dokładnie odwrotne warunki. Szanse na przeżycie w piekle GUŁagu były znikome. Często jednak rolę więźniów Bolszewa odgrywali ludzie podstawieni. Turystom z zagranicy mówiono: proszę bardzo, porozmawiajcie z samymi więźniami. I nagle okazywało się, że taki „więzień” mówi świetnie w trzech językach i chętnie opowiada gościom, jak mu się wspaniale żyje w łagrze.

Po co właściwie zadawać sobie tyle trudu?

Wśród turystów przywożonych do Bolszewa było wielu postępowych intelektualistów z Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec czy ze Stanów Zjednoczonych. Pisarzy, dziennikarzy, artystów, naukowców, redaktorów. Sowietci chcieli ich przekonać – lub utwierdzić w przekonaniu – że Związek Sowiecki jest krainą mlekiem i miodem płynącą. Oni z kolei mieli przekonać o tym miliony ludzi na Zachodzie.

Czy to działało?

I to jeszcze jak! Po powrocie do swoich krajów ci turyści udzielali wywiadów, pisali artykuły i książki, w których znajdowały się peany na cześć Związku Sowieckiego i Stalina. Ci intelektualiści zachwycali się „swobodami” panującymi w „ojczyźnie światowego proletariatu”. Rozpisywali się o jej „zapierających dech w piersiach” osiągnięciach. Wyszdziali tych, którzy twierdzili, że bolszewicy łamią „prawa człowieka”. To byli często

ważni, wpływowi i popularni ludzie. Autorytety. Czytelnicy im wierzyli i w ten sposób sowiecka propaganda wpływała na miliony mieszkańców Zachodu.

Co ci intelektualiści pisali i mówili o GUŁagu?

Amerykański dziennikarz Maurice Hindus pisał, że w Sowietach „więzienie istnieje nie jako kara, ale jako posługa”. A według angielskiego komunisty Pata Sloana „jeśli porównać więzienie w Związku Sowieckim i Wielkiej Brytanii, to pierwsze z nich jest miejscem nieomal przyjemnym. Sowiecki obóz pracy daje swoim pensjonariuszom stopień wolności nieczęsto spotykany w naszym kraju”. Wszystkich przebił jednak słynny pisarz George Bernard Shaw, który ogłosił, że nadzorcy w łagrach mają trudności z przekonaniem więźniów, którym skończył się wyrok, do wyjścia na wolność. W obozach pracy jest bowiem tak wspaniale, że nikt nie chce ich opuszczać.

Szokujące.

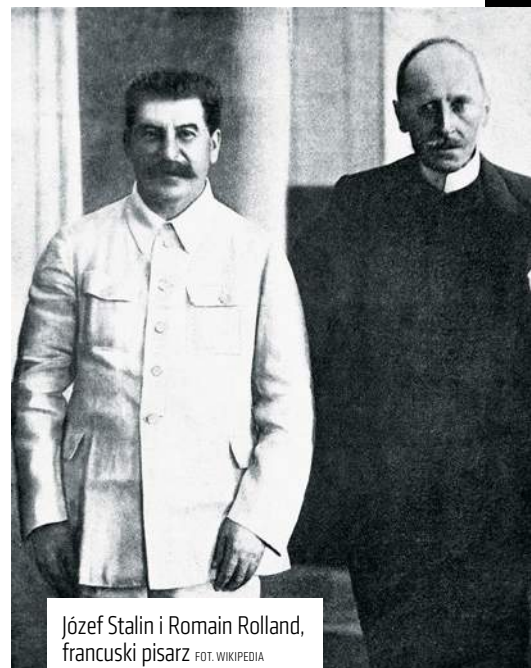
Paradoksalnie Shaw tak bardzo się nie mylił. W czasie wielkiego głodu, w latach 1931–1933, GUŁag dla wielu stał się szansą na przetrwanie. Ludzie nieraz woleli niewolniczą pracę, przemoc i znikome racje żywnościowe niż pewną śmierć z głodu we własnym domu. O tym jednak Shaw oczywiście nie wiedział. Bez wątplenia pisarz ten był modelowym przedstawicielem środowiska, które Lenin miał określić mianem „pożytecznych idiotów”.

Shaw podróżował po ZSRS w trakcie wielkiego głodu. Niczego nie zauważył?

Na ostatniej stacji kolejowej w Polsce na oczach dziennikarzy demonstracyjnie wyrzucił na tory całe swoje zapasy żywności. Powiedział, że w Związku Sowieckim na pewno nie będą mu potrzebne. Kilka dni później podczas wystawnego bankietu wyprawionego na cześć zagranicznych gości w luksusowym moskiewskim hotelu Metropol do Shawa podeszła żona korespondenta „Christian Science Monitor” Williama Chamberlaina. Rosjanka. „Szkoła, że nie wyrzucił pan swoich wiktuałów trochę obywatel sowiecki mógłby się posilił. Kto wie, może by to komuś uratowało życie”. Na to Shaw wskazał na suto zastawiony stół i powiedział: „Czy pani tu widzi jakiś głód?”. W tym samym czasie miliony

ludzi na Ukrainie konały z głodu. Dochodziło do aktów kanibalizmu.

Teraz rozumiem, dlaczego jeden z moskiewskich korespondentów nazywał Shawa „starym głupcem”.



Józef Stalin i Romain Rolland, francuski pisarz FOT. WIKIPEDIA

To był Malcolm Muggeridge z „Manchester Guardian”. Jeden z dwóch zachodnich dziennikarzy, którzy próbowali alarmować świat o wielkim głodzie. Drugim był oczywiście Gareth Jones, o którym Agnieszka Holland zrobiła niedawno film. Muggeridge za swoje krytyczne wobec Związku Sowieckiego artykuły stracił pracę. Taki był wówczas klimat intelektualny na Zachodzie. O stanie umysłów dużo mówi historia małżeństwa angielskich badaczy Sidneya i Beatrice Webbów, którzy po powrocie z wycieczki do ZSRS napisali książkę „Soviet Communism: A New Civilization?”. Kiedy skończyli pracę, zanieśli manuskrypt do ambasadora sowieckiego w Londynie Iwana Majskiego i poprosili go o opinię.

(Śmiech) Niebыва́ле!

Majski łaskawie zapoznał się z rękopisem i wprowadził niezbędne poprawki. Dopiero wówczas państwo Webbowie mieli niezawodne pocucie, że napisali ściśle o rzeczywistości Związku Sowieckiego. Trudno w tym przypadku mówić nawet o złej woli. Raczej

o bezbrzeżnej naiwności sięgającej poziomu śmieszności.

Co jeszcze pokazywano „pożytecznym idiotom” w Związku Sowieckim?

Modelowe fabryki i kołchozy. Urządzano spotkania z podstawionymi „robotnikami” i „chłopami”. Do tego teatry, kino, bankiety. Luksusowe hotele. „Opiekunowie” zagranicznych gości dbali o to, żeby nie zobaczyli niczego niewłaściwego, żeby nie mieli kontaktu z normalnymi obywatelami Związku Sowieckiego. Przybysze znajdowali się non stop pod inwigilacją. Każdy ich krok był kontrolowany. Co znaczniejsi goście mieli zakładane teczki, agenci NKWD sporządzali ich charakterystyki, starali się dobierać bodźce w taki sposób, aby działały indywidualnie. Najbardziej pożądane były oczywiście osoby dużego

niezwykle popularni. Obiecywano, że ich dzieła zostaną wydrukowane w gigantycznych, idących w setki tysięcy egzemplarzy nakładach. Po rosyjsku, ukraińsku, uzbecku i we wszystkich innych językach ZSRS. Oczywiście natychmiast zjawiali się „wydawcy”, którzy oferowali sówite zaliczki na poczet tych wydań. Trudno się dziwić, że byli zachwyceni. I chcieli się odwzajemnić.

Niestety takich odważnych dziennikarzy jak Jones czy Muggeridge było niewiele. Nikt nie chciał być uznany za faszystę. Ernest Hemingway mówił, że „człowiek, który ma antykomunistyczne poglądy, jest albo głupcem, albo kanalią”. A Jean-Paul Sartre ujął sprawę krótko: „Każdy antykomunista to pies”.

Na salonach intelektualnych Zachodu w latach 30. w dobrym tonie było bycie sympatykiem ZSRS. Ludzie, którzy

aby iść pod prąd. Wyrazić własne zdanie i w ten sposób utracić pozycję w elicie.

W książce „GUŁag w oczach Zachodu” pisze pan, że większość lewicowych intelektualistów jechała do Sowietów z takim nastawieniem, z jakim chrześcijanie jadą na pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Tak, to powodowało, że byli całkowicie ślepi na prawdę o Związku Sowieckim. Wszystkiego przecież nie udało się przed nimi ukryć. Choćby nędzy widzianej z okien pociągów i autokarów. Ci ludzie widzieli jednak to, co chcieli widzieć. A nie widzieli tego, czego nie chcieli zobaczyć. Jeżeli dostrzegali jakieś mankamenty, to – jak pisał Arthur Koestler – uznawali to za pozostałości „poprzedniego reżimu”. Czyli caratu. Wszystko to jednak, przekonywali samych siebie, uda się przezwyciężyć, bo przecież komunizm to piękne jutro. Ważne jest to, co będzie, a nie to, co jest.

Dobrym przykładem był chyba dziennikarz amerykański Eugene Lyons.

Tak, w Związku Sowieckim spędził sześć lat na przełomie lat 20. i 30. Wyjeżdżając na placówkę, był pełen obaw. Miał już bowiem w głowie wszystko poukładane, wierzył, że Związek Sowiecki jest krajem idealnym. A co się stanie, jeżeli rzeczywistość, którą tam zastanie, będzie zaprzeczać temu obrazowi? Ta myśl bardzo go niepokoiła. W efekcie Lyons przed samym sobą złożył uroczyste przyrzeczenie, że niezależnie od tego, co tam zobaczy, nigdy, pod żadnym pozorem nie będzie krytykował Związku Sowieckiego. Przez kilka lat zmuszał się do milczenia, ale potem sumienie zwyciężyło i wyjawiał prawdę. Takich jak on nie było wielu.

Czyli jeżeli fakty nie pasują do teorii, to gorzej dla faktów.

Tak. Całe tabuny intelektualistów Zachodu gotowe były zażarcie bronić Związku Sowieckiego przed wszelkimi „oskarżeniami”. Z oburzeniem odrzucać „faszystowskie kłamstwa” o GUŁagu, wielkim głodzie czy procesach pokazowych. Śmiałków, którzy ośmielali się krytykować bolszewików, ci intelektualiści uważali za „reakcjonistów” i „faszystów”.

Czy oni byli kłamcami czy naiwniakami?

To zależało od człowieka. Część naiwnie wierzyła w propagandę sowiecką,



Naftali Frenkel (pierwszy z prawej),
kierownik budowy Kanału
Białomorsko-Bałtyckiego FOT. WIKIWAND

kalibru. Takie jak wspomniani Shaw, Romain Rolland, H.G. Wells, John Dewey czy Theodore Dreiser. W takich przypadkach nie można było wręczyć ordynarnej łapówki. Stosowano bardziej wysublimowane środki.

Na przykład?

W przypadku pisarzy sprawa była prosta. Łechtano ich miłość własną. Przekonywano, zwłaszcza tych mniej sławnych, że w Związku Sowieckim są wielkimi gwiazdami. Że są tu doceniani,

się z tego wyłamywali, byli nierzadko obejmowani bojkotem towarzyskim. Komunizujący redaktorzy pracujący w prestiżowych gazetach nie drukowali ich artykułów, wydawnictwa odrzucały rękopisy ich książek. Taki bojkot dotknął później nawet takie sławy jak Albert Camus czy George Orwell. Gdy Camus ośmielił się skrytykować opinię Jeana-Paula Sartre'a, że nie wolno głośno mówić o GUŁagu, został wyklęty przez paryskie „dobre towarzystwo”. Niewiele intelektualistów znajdowało w sobie siłę,

ale część cynicznie kłamała. Przykładem może być Lion Feuchtwanger, niemiecki pisarz antyfaszystowski. W styczniu 1937 r. został zaproszony jako obserwator na moskiewski proces pokazowy. Po powrocie do domu, zgodnie z oczekiwaniem Sowietów, napisał książkę „Moskwa 1937”.

Co w niej napisał?

Oczywiście to, że procesy moskiewskie były krystalicznie uczciwe. Skazani na śmierć oskarżeni rzeczywiście planowali obalenie władzy sowieckiej i byli zdrajcami, terrorystami i faszystowskimi szpiegami. Po latach, gdy otwarto post-sowieckie archiwa, znaleziono w nich meldunki jego osobistej tłumaczki, która codziennie pisała szczegółowe donosy. Trafiały one do samego Stalina. Z donosów tych wynika, że Feuchtwanger doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że procesy są sfabrykowane. Że w świetle „prawa” morduje się niewinnych ludzi. W rozmowach wypowiadał się o nich bardzo sarkastycznie. Prywatnie uważał, że procesy to był koszmar na jawie. Oficjalnie pisał zaś: „Powietrze, którym oddycha się na Zachodzie, jest zgniłe i cuchnące. Człowiek dopiero oddycha pełną piersią, gdy wkracza w ożywiającą atmosferę Związku Sowieckiego”.

Feuchtwangera przebił jednak chyba dramat Bertolt Brecht.

Brecht pisał o procesach pokazowych: „Wszelkie kanale, krajowe i zagraniczne, całe to robactwo, zawodowi kryminaliści i donosiciele, znaleźli schronienie [w konspiracji antysowieckiej]. Jestem przekonany, że to prawda”. Gdy w 1937 r. NKWD uwięziło Carolę Neher, była kochankę Brechta i odtwórczynię głównej roli w jego „Operze za trzy grosze”, skomentował: „Jeśli została skazana, to musiał być przeciw niej istotny dowód”. Należy zaś pamiętać, że on – i inni pożyteczni idioci – nie pisali tego w totalitarnym państwie, gdzie nad prawomyślnością pisarzy czuwa policja polityczna. Pisali to w wolnym świecie.

Dlaczego kłamali?

Przeważnie dla idei. Według nich na świecie istniała dyktomia: zły Hitler – dobry Stalin. Byli przekonani, że zachodni świat burżuazji, liberalizmu i kapitalizmu schodzi ze sceny dziejów. Przyszłość świata to albo narodowy socjalizm, albo

komunizm. Trzeba wybierać. Tertium non datur. Zgodnie z tą optyką każdy, kto krytykował Stalina, działał obiektywnie na rzecz Hitlera. Stawał się jego poplecznikiem, choćby sam o tym nie wiedział.

Problem w tym, że w 1938 r. w sowieckich łagrach siedziały 2 mln ludzi, a w niemieckich kacetach... 24 tys.

Tak, ale wówczas nikt nie znał tych danych, zwłaszcza w odniesieniu do ZSRS. Wszystko opierało się na wierze. Czy mamy uwierzyć anonimowym uciekinierom z Kraju Rad, czy raczej jego sławnym rzecznikom i adoratorom? Sowieckie łagry były daleko, w egzotycznej i tajemniczej krainie, gdzie logika się rozmywa, a liczby tracą znaczenie. Hitler natomiast, chociaż jeszcze nie pokazał, na co go naprawdę stać, gnębił ludzi w obozach w samym środku Europy, na oczach cywilizowanego świata. Gdyby jednak nawet kreatorzy opinii w Zachodzie znali twarde fakty i dokładne liczby dotyczące ZSRS, pewnie wielu z nich odmówiłoby przyjęcia ich do wiadomości. Na tym polu wiedza wyraźnie przegrywała z wiarą.

Ta wiara chyba została wystawiona na poważną próbę, gdy Stalin 23 sierpnia 1939 r. zawarł sojusz z Hitlerem.

Tak, dla wielu ludzi to był szok. Nie mogli w to uwierzyć. Sowiecka propaganda przez całe lata twierdziła, że Hitler był największym monstrum, wrogiem i reakcjonistą. A teraz mówiła, że jest sojusznikiem i przyjacielem. Część sympatyków komunizmu utraciła wówczas swoją wiarę w Stalina i zaczęła się dystansować od Związku Sowieckiego. Część – najbardziej fanatyczna – przeknęła i to.

Myślę, że ci intelektualiści sprzeniewierzali się swojej misji. Zamiast stać po stronie słabych i uciskanych, lizali buty satrapy i wychwalali totalitaryzm. Tuszowali akty ludobójstwa, których ofiarą padły miliony ludzi. Zgodnie z prawem ten, kto ukrywa dowody zbrodni, jest za nią współodpowiedzialny.

Sowieci bardzo liczyli się ze zdaniem Zachodu. Inaczej nie organizowaliby tych wycieczek i innych propagandowych akcji. To, że mogli liczyć na wsparcie tylu zachodnich intelektualistów, bez wątpienia dawało im poczucie bezkarności. Pokazywało, że mogą ze swoimi obywatelami robić wszystko. Na Zachodzie mają bowiem zapewnioną osłonę propagandową ze strony „pożytecznych idiotów”.

Zostawmy na boku „pożytecznych idiotów”. Porozmawiajmy teraz o ludziach, którzy gloryfikowali komunizm nie z pobudek ideologicznych, ale z powodu interesów – ekonomicznych i politycznych.

To prawdziwy paradoks. Reżim bolszewicki, którego celem była światowa rewolucja – zniszczenie burżuazji i kapitalizmu – szybko zyskał sojuszników w postaci rekinów światowego biznesu. Już w roku 1920 premier brytyjski Lloyd George postulował nawiązanie normalnych stosunków ekonomicznych z Rosją bolszewicką w celu jej „ucywilizowania”. Handel łagodzi obyczaje – mówił. To oczywiście było moralne alibi dla robienia interesów ze zbrodniarzami. Dla zarabiania pieniędzy.

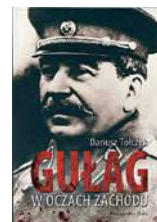
Porozmawiajmy o Stanach Zjednoczonych. To bowiem właśnie Ameryka – najbardziej kapitalistyczny kraj świata – stała się biznesowym partnerem numer jeden bolszewików.

Kiedy bolszewicy w 1920 r. zostali zatrzymani pod Warszawą, stało się jasne, że nie uda im się ogarnąć płomieniem rewolucji całego świata. Wtedy musieli zmienić strategię. Postanowili zamienić Związek Sowiecki w potęgę militarno-przemysłową i czekać na następną okazję do rozpętania rewolucji światowej. Gdy na Zachodzie wybuchnie kolejna wojna i tradycyjne mocarstwa poważnie się osłabiają, Armia Czerwona wejdzie do akcji i przyjdzie „na ratunek” masom pracującym. Tak sobie to wyobrażano. Pojawił się jednak poważny problem.

Jaki?

Jak osiągnąć taki ambitny cel, posiadając całkowicie nieefektywną, socjalistyczną gospodarkę. Nie mając technologii ani myśli technicznej. Przecież elita rosyjska została w znacznej mierze wymordowana lub wypędzona w trakcie rewolucji.

Rozumiem, że rękę do bolszewików wyciągnęli Amerykanie.



DARIUSZ TOŁĘCZYK
„GUŁAG W OCZACH ZACHODU”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Dokładnie. Sowieci kupowali w USA olbrzymią liczbę maszyn, za pomocą których realizowali swój kolosalny program industrializacji. To amerykańskie maszyny pracowały w wielkich fabrykach Magnitogorska, którymi syciła się sowiecka propaganda. Z USA sprowadzano inżynierów i specjalistów. Wielkie amerykańskie koncerny, takie jak Ford czy General Electric, inwestowały w Związku Sowieckim olbrzymie sumy. Sowieci płacili im dewizami uzyskanymi z eksportu surowców – drewna, zboża, złota. Jeżeli była okazja do zarobienia pieniędzy, to kapitaliści jej nie przepuszczali. Jak mówił podobno towarzysz Lenin – powiesimy ich na sznurku, który oni sami nam sprzedadzą na kredyt.

Wyjątkowo szokująca była sprawa Tariff Act z 1930 r.

To było prawo zabraniające m.in. importowania do Ameryki produktów wytworzonych niewolniczą pracą. Na skutek lobbingu politycznego i biznesowego sankcją tą nie zostało objęte sowieckie drewno, które było pozyskiwane przez więźniów łagrów.

Mało znany jest fakt, że w ślad za amerykańskimi pieniędzmi do Związku Sowieckiego napływali zwykli Amerykanie.

To były czasy wielkiego kryzysu. Ludzie tracili pracę, oszczędności. Gdy wielkie koncerny z USA zamykały zakłady i przenosiły linie produkcyjne do Związku Sowieckiego, wielu wykwalifikowanych robotników wsiadało na statki i płynęło do „raju robotników i chłopów”. Niedawni pracownicy fabryki Forda w USA przenosili się do fabryki Forda w Niżnym Nowogrodzie.

Jak potoczyły się ich losy?

Tragicznie. W latach 1937–1938, w trakcie wielkiego terroru, zostali uznani za „szpiegów”. Razem z zachodnimi komunistami, którzy przenieśli się do ZSRS z pobudek ideologicznych, amerykańscy robotnicy padli ofiarą czystek. Trafiali do łagrów, byli rozstrzeliwani. Rządowi USA zależało na utrzymaniu dobrych relacji ze Związkiem Sowieckim i w efekcie amerykańska ambasada odmawiała tym nieszczęsnym ludziom pomocy. Gdy przychodzili po ratunek, odprawiano ich z kwitkiem. Mało tego, pracownicy ambasady nie ostrzegali, że

na zewnątrz czekają już funkcjonariusze NKWD, którzy aresztowali interesantów. To był wielki dramat.

Kto był wtedy ambasadorem w Moskwie?

Stary przyjaciel prezydenta Roosevelta, Joseph Davies. Człowiek ten nie miał najmniejszego pojęcia o Rosji. Wiedział



Henry A. Wallace FOT. WIKIPEDIA

tylko, że Roosevelt oczekuje od niego, żeby utrzymywał jak najlepsze stosunki z Kreml. W swoich raportach opisywał bolszewizm w samych superlatywach. Mimo że – jak później przyznawała jego żona – do rezydencji ambasadora nocami dochodziły krzyki rodzin nieszczęślików wyprowadzanych z mieszkań przez NKWD. Państwo Davies mieszkali zresztą w domu po bogatym rosyjskim kupcu, który w trakcie rewolucji został zastrzelony na schodach rezydencji przez bolszewików.

No cóż, polityka gospodarcza Roosevelta – tak zwany New Deal – również opierała się na interwencjonizmie państwowym. W Białym Domu otaczali go zaś sowieccy agenci, tacy jak Harry Hopkins.

Roosevelt od początku wiązał olbrzymie nadzieje ze Związkiem Sowieckim. To on, zaraz po swoim wyborze na prezydenta, w 1933 r. doprowadził do nawiązania relacji dyplomatycznych z Moskwą. Wierzył, że otwarcie przed Stanami Zjednoczonymi kolosalnego sowieckiego rynku będzie szansą na wyjście z kryzysu ekonomicznego. Dlatego

też przymykał oczy na zło, które działało się w Związku Sowieckim.

Roosevelt poza tym liczył chyba na to, że Stalin w przyszłości będzie jego sojusznikiem w starciu z Hitlerem. A więc oprócz biznesu – wielka polityka.

I tak się stało w 1941 r., gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do drugiej wojny światowej. Władze amerykańskie przedstawiały ten konflikt w sposób czarno-biały, jako starcie dobra ze złem. A skoro Stalin walczył po stronie dobra, automatycznie stał się dobry. Amerykańska propaganda przedstawiała sojusz amerykańsko-sowiecki jako sojusz dwóch demokracji, dwóch narodów o takich samych postępowych wartościach. Jeszcze w 1940 r. tygodnik „Time” pisał o Stalinie jako o agresorze i sprzymierzeńcu Hitlera, a w 1943 r. pisał już o nim jako o miłującym wolność i pokój „Wujku Joe”. Z kolei tygodnik „Life” tłumaczył czytelnikom, że „NKWD to takie FBI”. W trakcie drugiej wojny światowej temat sowieckich zbrodni był w USA tłumiony przez cenzurę.

Jaką rolę w tej propagandowej farsie odegrał były już ambasador Davies?

Na prośbę Roosevelta napisał książkę „Mission to Moscow”. Był to jeden wielki hymn pochwalny na rzecz Stalina i Związku Sowieckiego. Książkę wydano w 700 tys. egzemplarzy, a do jej promocji zaangażowano amerykański wojenny aparat propagandowy – Office of War Information. Klucz do wyobraźni mas znajdował się jednak w Hollywood. Roosevelt zaprosił na kolację braci Warner i poprosił ich o zekranizowanie książki Daviesa. Film wyreżyserował Michael Curtiz, twórca „Casablanki”. Był on jeszcze gorszy niż książka.

Kulminacją tego zjawiska była jednak bez wątpienia wizyta wiceprezydenta USA Henry'ego Wallace'a na Kołymie w maju 1944 r. Po co tam pojechał?

Kontekst wizyty związany był z polityką monetarną USA. Otóż Amerykanie, budując złoty standard dolara, importowali olbrzymie ilości sowieckiego złota do swoich rezerw federalnych. To właśnie było ważnym powodem ogromnego rozwoju łagrów na Kołymie w latach 30. i morderczego tempa, w którym rzesze więźniów wydobywały tam złoto. Zesłanie na Kołymę było dla zeka niemal równoznaczne z wyrokiem śmierci.

W książce „GUŁag w oczach Zachodu” napisał pan, że Wallace odegrał rolę błazna w sowieckiej komedii. Jego wizyta przebiła chyba wszystkie dotychczasowe wycieczki do Związku Sowieckiego. Podobno na trasie jego przejazdu Sowiet zdemontowali na jeden dzień wszystkie łagrowe wieżyczki strażnicze.

Wallace oczywiście nie mógł zobaczyć, że na Kołymie są łagry. Miał odnieść wrażenie, że w kopalniach pracują cywilni „osadnicy”. Sowietcy pionierzy. Stworzono dla niego wielką iluzję, która przyjęła groteskowy obraz. Urządzono dla niego przedstawienie muzyczno-baletowe, w trakcie którego występowali więźniowie udający wolnych artystów. Na co dzień świecące pustkami sklepy spożywcze w Magadan na jeden dzień zaopatrzone we wszystkie możliwe produkty. „Zwykli górnicy”, z którymi rozmawiał, byli w rzeczywistości podstawionymi komсомолцами i funkcjonariuszami NKWD.

Dał się nabrać?

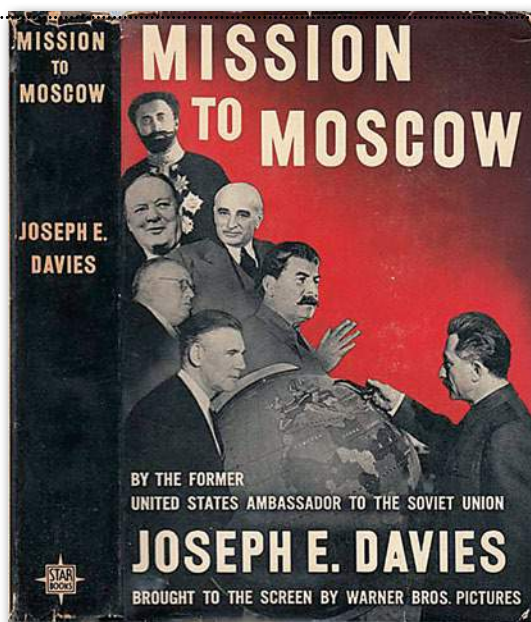
Tak. Albo przynajmniej takie sprawiał wrażenie. W 1946 r. napisał o tej podróży książkę „Soviet Asia Mission”. Kołymę i panujące na niej warunki przedstawił wręcz entuzjastycznie. Napisał m.in., że za jego pośrednictwem przedstawiciele wolnych związków zawodowych kopaczy złota na Kołymie przesłali swoje pozdrowienia dla związków zawodowych w Ameryce.

Wolne związki zawodowe na Kołymie...

Sam się zastanawiam, czy to była tylko dziecinna naiwność. Bestialskiego sowieckiego oprawcę, szefa Dalstroju Iwana Nikiszowa, sportretował jako wrażliwego melomana. Po latach okazało się, że Wallace wiedział o łagrach. Po upadku Związku Sowieckiego odnalazł się tajny raport Nikiszowa do Berii. Z dokumentu wynika, że wiceprezydent USA poprosił, żeby pozwolono mu odwiedzić obóz pracy. Oczywiście mu odmówiono.

Co na to Wallace?

Nie naciskał.



Reklamy filmu „Mission to Moscow”, nakręconego na podstawie książki ambasadora Josepha E. Daviesa. FOT. ARCHIWUM

Czyli wiceprezydent USA dobrowolnie zatrudnił się w aparacie propagandowym totalitarnego reżimu. Mimo że Ameryka na swoich sztandarach ma wypisane hasła wolności, równości i praw człowieka.

Niestety. Niewiele też zabrakło, żeby Henry Wallace został prezydentem Stanów Zjednoczonych po śmierci Roosevelta. Przez wiele lat był wiceprezydentem, ale w ostatnich wyborach Roosevelt wymienił go na Harry'ego

Trumana. Jeżeli zaś chodzi o Kołymę, to należy powiedzieć również o „piekielnych statkach”. Czyli statkach, którymi Sowiet wozili zeków do łagrow Dalstroju. Były to pływające umieralnie, pod pokładami działy się dantejskie sceny. Więźniowie byli głodzeni, mordowani i terroryzowani przez kryminalistów. Te statki zostały dostarczone Stalinowi przez Amerykę w ramach umowy Lend-Lease. Były remontowane za darmo w amerykańskich stocznich. Co ciekawe, były to statki typu... Liberty. Czyli wolność. „To tak, jakby kancelaria Rzeszy – pisał wiele lat później historyk Tim Tzouliadis – wysy-

łała lokomotywy do remontu w Filadelfii, a potem dostawała je z powrotem, gotowe, by pociągnąć kolejne transporty do Auschwitz”.

Wkrótce czytelników amerykańskich gazet znowu czekała niespodzianka. Skończyła się druga wojna światowa, a zaczęła się zimna wojna. Stalin nagle przestał być dobrotliwym „Wujkiem Joe” – znowu był tyranem.

To był dopiero dysonans poznawczy! Ludzie Zachodu nagle zostali dosłownie zasypani relacjami uciekinierów ze Związku Sowieckiego – m.in. Polaków z armii Andersa – którzy opisywali swoje traumatyczne przeżycia. Aliancka cenzura w trakcie wojny tłumiła takie głosy, ale teraz mogły już swobodnie wybrzmieć. Dla wielu ludzi – którzy dali sobie mówić, że Stalin jest nadzieją świata – był to szok. Nastroje zaczęły się odwracać. Najbardziej zatwardziali „pożyteczni idioci” pozostali jednak oczywiście wierni Kremlowi.

Panie profesorze, czy pańscy studenci nadal przychodzą na zajęcia w koszulkach z sierpem i młotem?

(Śmiech) Teraz mamy pandemię koronawirusa i zajęcia odbywają się on-line, ale wcześniej niestety rzeczywiście to się zdarzało. Nie wynikało to jednak z tego, że ci młodzi ludzie usprawiedliwiali zbrodnie dokonywane przez Sowietów. Wynikało to po prostu z niewiedzy. Kiedy trochę poczytali na ten temat, byli wstrząśnięci. Problem polega na tym, że stan wiedzy przeciętnego Amerykanina na temat zbrodni Stalina, Pol Pota czy Mao Zedonga nadal jest znikomym. Przed nami jeszcze wiele pracy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Dariusz Toleczyk

jest profesorem na University of Virginia w Stanach Zjednoczonych, absolwentem Uniwersytetu Harvarda. Specjalizuje się w historii i literaturze

Polski, Rosji oraz Związku Sowieckiego. Napisał m.in. „GUŁag w oczach Zachodu” (Prószyński i S-ka) oraz „Nie widzieć zła. GUŁag i inżynierowie dusz” (Państwowy Instytut Wydawniczy).

Druga wojna / Martyrologia duchowieństwa polskiego

Polscy księża ujęci przez Niemców po ich wkroczeniu do Bydgoszczy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Co piąty ksiądz **zginął**



Maciej Rosalak

Polscy kapłani ginęli z rąk Niemców, Sowieci i upowców

Warto przypomnieć ten – skrzętnie pomijany w PRL, a dziś nieco zapomniany – aspekt martyrologii Polaków podczas ostatniej wojny. Temat jest ogromny. Poza ogólnymi, niezbędnymi informacjami przytoczę zaledwie fragmenty świadectw zbrodni hitlerowców, bolszewików i nacjonalistów ukraińskich popełnione na duchownych wyznania rzymskokatolickiego w Polsce.

Połowa polskiego duchowieństwa stała się podczas drugiej wojny światowej bezpośrednimi ofiarami terroru. Z rąk okupantów hitlerowskich zginęły 2804 osoby konsekrowane: biskupi, księża, zakonnicy i siostry zakonne. 3563 przeżyło obozy koncentracyjne i więzienia. Z 10 017 księży diecezjalnych w Polsce zginęło ok. 20 proc. Co piąty. Tak jak życie stracił co piąty obywatel polski; z tym że bez obywateli pochodzenia żydowskiego – co 10.

Elitom biada!

Już 1 września 1939 r. Niemcy ujęli w Gdańsku niemal wszystkich polskich duchownych i zesłali do właśnie budowanego KL Stutthof. Tak zaczęła się akcja o nazwie „Tannenberg”, czyli rzeź polskich elit, którą urządziło podczas kampanii wrześniowej głównie sześć morderczych Einsatzgruppen SS. Akcja „Inteligenca” (Intelligenzaktion) stanowiła rozwinięcie „Tannenbergu” po wcieleniu w drugą połowę października 1939 r. Pomorza z Powiślem, Wielkopolski, Śląska, północnego Mazowsza i Łodzi do III Rzeszy. Mieszkało tam przed wojną 10 mln ludzi, w tym 9 mln Polaków. Niemcy nie stanowili nawet 10 proc.

Polaków mordowano wedle „specjalnej księgi Polaków ściganych listem gończym” (Sonderfahnrungsbuch Polen). Figurali w niej urzędnicy państwowi, liderzy samorządów, ziemianie i przedsiębiorcy, uczeni i nauczyciele, oficerowie, prawnicy, działacze organizacji społecznych, harcerze, weterani walk o wolną Polskę, a także liczni księża, zakonnicy i zakonnice... Do kwietnia 1940 r. zamordowano 50 tys., a do obozów koncentracyjnych wysłano kolejne 50 tys. Setki tysięcy Polaków wysiedlono na wschód, a ich mienie zagrabiono. Najwięcej zamordowano wtedy polskich Pomorzan – 23 tys.

Rozstrzeliwano ich głównie w lasach piasńczyckich koło Wejherowa. Ofiary

zmuszano do klękania w samej białej bieliźnie nad wykopanymi dołami śmierci, a następnie zabijano z broni maszynowej bądź strzałami w tył głowy. Odbywało się to zarówno za dnia, jak i nocą, przy świetle samochodowych reflektorów. Na zwłokach odkryto po wojnie ślady tortur. Dających oznaki życia dobijano często kolbami albo grzebano żywcem.

W 1999 r. Jan Paweł II beatyfikował 108 polskich męczenników zamordowanych podczas drugiej wojny światowej z nienawiści do wiary (odium fidei). Są wśród nich: trzech biskupi, 26 kapłanów zakonnych, trzech kleryków, siedmiu braci zakonnych, osiem sióstr zakonnych i dziewięć osób świeckich. Błogosławiona siostra Alicja Jadwiga Kotowska została zamordowana właśnie w Pańnicy. Sanitariuszka podczas poprzedniej wojny oraz wojny bolszewickiej, a także członkini POW, w 1922 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstania Pańskiego. Po studiach medycznych na UW została nauczycielką i w ciągu lat 30. dyrektorką szkoły wejherowskiej. Miała 40 lat, gdy Niemcy zamordowali ją za jej oddanie Bogu i ojczyźnie.

W 2003 r. rozpoczął się z kolei proces beatyfikacyjny innej ofiary z Pańnicy – ks. Anastazego Kręckiego, wikariusza w Starogardzie Gdańskim i Tyłowie, a następnie proboszcza w Strzelnie. Założył tam m.in. ochotniczą straż pożarną i spółdzielnię mleczarską, opiekował się

miejscowym kołem teatralnym. Sprowadził organy i dzwony dla kościoła parafialnego. Niemcy aresztowali go i zamordowali jesienią 1939 r.

W Wielkopolsce – wcielonej do Rzeszy jako Kraj Warty (Warthegau) – publiczne egzekucje (łącznie niemal 300 ofiar) urządzono w licznych miastach i miasteczkach, a w ponurej sławy Forcie VII cytadeli poznańskiej zamordowano 2 tys. Polaków. Tutaj zabito w listopadzie 1939 r. ks. Czesława Michałowicza, sekretarza generalnego Związku Katolickiego Robotników Polskich w Poznaniu.

Na Górnym Śląsku wymordowano 2 tys. Polaków – w tym byłych powstańców śląskich i działaczy plebiscytowych oraz duchownych. Na Mazowszu Północnym – przyłączonym do Prus Wschodnich jako rejencja ciechanowska – Intelligenzaktion pochłonęła ok. 6,7 tys. ofiar. W Łodzi (Litzmannstadt) i okolicznych miejscowościach rozstrzelano 1,5 tys. Polaków. 175 duchownych z diecezji łódzkiej wysłano do Dachau. Czterdzieścioro nie wróciło już z tego podobno najłżejszego kacetu.

W Generalnej Guberni duchowieństwu groziło – relatywnie – nieco mniejsze niebezpieczeństwo, ale przecież i tu celowo mordowano polską inteligencję, łącznie z duchownymi. Podczas Sonderaktion Lublin (Sonderaktion Krakau była nieco wcześniej) uwięziono w listopadzie 1939 r. ok. 250 osób. Wśród nich znaleźli się: 16 wykładowców Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, 36 profesorów gimnazjalnych, 44 nauczycieli, siedmiu sędziów, 24 adwokatów oraz ponad 100 duchownych katolickich (dwóm biskupom karę śmierci zmieniono na więzienie po interwencji Rzymu).

W podwarszawskich Palmirach rozstrzelano między grudniem 1939 a lipcem 1940 r. ok. 1,7 tys. inteligentów. Na przełomie wiosny i lata 1940 r. trwała akcja „AB” (Außerordentliche Befriedungsaktion) wymierzona w polskie elity, „szczególnie wrogie dla III Rzeszy” przez sam fakt swego istnienia.

Również z centrum i ze wschodu Polski pochodzili męczennicy Kościoła, beatyfikowani przez papieża Polaka. Najbardziej znanym jest oczywiście święty – franciszkanin Maksymilian Maria Kolbe, który w KL Auschwitz oddał swe życie za współwięźnia, ojca rodziny. Do mniej znanych należy ks. Roman Ryczkowski, który – mimo uzyskania ułaskawienia



Biskup pomocniczy wrocławski Michał Kozal zamordowany w KL Dachau FOT. ŚWIĘTYJOZEF.KALISZ.PL

– nie opuścił swoich 50 skazanych na śmierć parafian i został z nimi rozstrzelany. Stało się to 30 maja 1940 r. w Plancie (powiat radzyński) na Podlasiu. Podobny heroizm okazało 11 sióstr nazaretanek z Nowogródka, które ofiarowały swoje życie za ojców rodzin i zostały rozstrzelane 1 sierpnia 1943 r. przez hitlerowców.

Z dni Powstania Warszawskiego pamięta się na Mokotowie szczególnie masakrę jezuitów oraz kilkunastu cywili szukających 2 sierpnia schronienia w sanktuarium św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej. Przełożonego klasztoru o. Edwarda Kosibowicza esesmani wywlekli i zamordowali strzałem w tył głowy na pobliskiej ulicy. Zakonników i cywili zamknęli w niewielkim pomieszczeniu, a następnie wrzucili tam granaty i siekli po leżących z broni maszynowej. Ocalony ks. Karol Sawicki wspominał: „Odnoszę wrażenie, że sufit pękł, że cały dom wali się nam na głowy. Sypie się tynk. Szyby lecą z brzękiem [...], granaty pękają gdzieś bardzo blisko. [...] Po granatach oddano jeszcze kilka serii z automatów. Wtedy umilkły nawet jęki. [...] Skończyli. Odchodzą. Kilka razy wracali, rzucali granaty i strzelali”.

Dających oznaki życia mordowali z broni krótkiej. „Sprawdzający esesman wszedł butami na moje plecy i huśtając się, powiedział: »Der ist noch frisch« (ten jest jeszcze świeży). Strzelił z rewolweru, celując prawdopodobnie w głowę, trafiając w koniec ucha” – wspominał poraniony ks. Aleksander Kisiel („Masakra w klasztorze” Felicjana Paluszkiwicza). Mordercom towarzyszył niemiecki równoleciek polskiego ministranta Zbyszka Mikołajczyka, właśnie zamordowanego: „Jego dziecięcy głos rozlega się

co jakiś czas. »Achtung! Der lebt noch!« (ten jeszcze żyje), »O hier, hier, er atmet noch!« (jeszcze oddycha). Za ruchem jego rączki idą SS-mani, a potem rozlega się seria, której towarzyszy dziecięcy śmiech i klaskanie w ręce”.

Zginęło ok. 40 osób – w tym ośmiu kapłanów i ośmiu braci zakonnych oraz osiem kobiet i chłopiec. Aż dziwnie, że 14 osobom udało się przeżyć i trafić do powstańców.

Dachau, czyli Golgota

Kardynał Friedrich Wetter, arcybiskup monachijski, podczas mszy św. w Dachau powiedział 30 kwietnia 1995 r.: „Pomimo to, że nie widzimy tutaj żadnych grobów, znajdujemy się na największym na świecie cmentarzu księży. Największą ofiarę ponieśli Polacy. Z 1780 polskich księży 868 zginęło. Rzeczywistość była gorsza niż nasze wyobrażenie o tym, co się tutaj wtedy wydarzyło”.

Do KL Dachau Niemcy wysyłali przede wszystkim duchownych z polskich ziem przyłączonych do III Rzeszy. Oczywiście nie tylko stamtąd i nie tylko tam; ginęli również w Auschwitz, Majdanku, Mauthausen czy Sachsenhausen. W żadnym z krajów pod okupacją hitlerowską duchowieństwo nie było tak represjonowane jak w Polsce. Wykiełkowało zatrute ziarno bismarckowskiego Kulturkampfu, nienawiść protestanckich Prusaków do katolicyzmu, pamięć działań polskich księży będących ostoją polskości pod zaborem pruskim, a wreszcie hitlerowska pogarda dla untermenschwów połączona z odium dei.

Oprawcy zabijali polskich księży aż do kwietnia 1945 r. okrutnymi karami, głodem i pracą ponad siły, zbrodnictwami eksperymentami „medycznymi”. Dla ilustracji wybrałem kilka cytatów z relacji naszych duchownych, które przytacza Anna Jagodzińska („Biuletyn IPN”, nr 4/2009).

Kary. Karę słupka opisał o. Kajetan Stanisław Ambrożkiewicz: „Wszedłem na wysoki stołek, który postawił pod moim hakiem kąpielowy. Dłonie... złożyłem na plecach zewnętrzną stroną do siebie. Gdy kąpielowy skrępowawszy je łańcuchem w nadgarstku, podciągnął ręce do



Egzekucja Polaków w Piaśnicy. Obok: „Stwórca do likwidacji”, bolszewicki plakat antyreligijny. Na drugiej stronie: krzyżyki, różańce i ryngrafy, które miały przy sobie ofiary zbrodni katyńskiej FOT. DOMENA PUBLICZNA, MUZEUM KATYŃSKIE



nawet najbardziej nieżyczliwi wyrażali swoje uznanie... Znając mściwość hitlerowców, spodziewaliśmy się przykrych następstw". Nie czekano długo.

Księży zaczęto dręczyć z niebywałą zawziętością. W czasie mroźnej zimy 1941–1942 śmiertelność była zatrważająca. Biskup Michał

Kozal, sufragan diecezji włocławskiej, aresztowany przez Niemców w listopadzie 1939 r., do Dachau trafił w lipcu 1941 r. Niemcy znęcali się nad nim w szczególnie wyrafinowany sposób. Chory na tyfus, został dobity śmiercionośnym zastrzykiem 26 stycznia 1943 r.

Po bolszewicku...

Liczba duchownych zamordowanych przez Niemców była znacznie wyższa niż tych, którzy zginęli z rąk Sowietów, ale to ci ostatni korzystali z doświadczeń i nader skutecznych metod terroru państwowego aparatu w walce z religią. W marcu 1940 r. prymas Polski kard. August Hlond stwierdził (w wydawanym we Francji „Narodowcu”), że w chwili wkroczenia Armii Czerwonej na wschodnich ziemiach RP znajdowały się dwie metropolie łacińskie, jedna ruska i jedna ormiańska z ogólną liczbą 10 diecezji. Było tam ogółem 19 biskupów, 5,5 tys. księży świeckich, 500 księży zakonnych, blisko 4 tys. parafii oraz ok. 8,5 mln wiernych, z czego 5 mln było obrządku łacińskiego, a 3,5 mln innych obrządków.

„Wkraczając do Polski – mówił prymas – bolszewicy nieśli ze sobą program wyrażony w hasle »religia – opium dla ludu«, a jedną z racji istnienia reżimu sowieckiego jest walka z religią w ogóle, a katolicką w szczególności. Dowodem na to jest fakt, że w całym państwie sowieckim nie odprawia się ani jedna Msza katolicka (poza kaplicami ambasad państw katolickich w Moskwie), nie ma ani jednego księdza na wolności i ani jednego kościoła”.

Podczas napadu ZSRS na Polskę zbolszewizowani dywersanci zabili dziewięciu księży i kilku kleryków, natomiast już podczas okupacji sowieckiej śmierć

góry, ja z całych sił trzymałem je przy plecach, by mieć potem nieco »luzu«... Kąpielowy zahaczył łańcuch o hak umieszczony w suficie, a ja skoczyłem ze stołka delikatnie przed siebie. Kto się ociągał, temu wrywano go spod nóg. W zwiniętych stawach barkowych zrodził się ostry ból, który jak ogień przenikał całe górne kończyny. Po chwili jednak człowiek spostrzegał, że to nie ten ogień chodzący po rękach, na których spoczywał cały ciężar ciała, był najgorszy, ale jakieś bolesne, rozsiane po całym ciele uczucie niewygody. [...] Czasami obecny przy wymierzaniu kary esesman okręcał wiszącego na łańcuchu, aż do oporu, a potem gwałtownie puszczał. Ból był tak ogromny, iż powieszony wył z bólu i często popadał w omdlenie. Ja miałem wtedy 27 lat, niecałe 60 kg wagi i wiele dumy młodego Polaka, który nie miał ochoty pokazać wrogowi, że go boli...”

Praca. Obrazowo opisał pracę księży bp Franciszek Korszyński: „Ludzi zaprzęgano do pług przy usuwaniu śniegu z obozu, do wozów, do bron i pług przy uprawie roli, a nawet do wału, ugniatającego szosę... Kilku czy kilkunastu więźniów z wyciągniętymi szyjami, z wgiętymi w pałąk plecami ciągnie olbrzymi ciężki wał, inni więźniowie pchają ten wał, a kapo im przygaduje. Wśród tych niewolników dwudziestego wieku widzę prawie samych księży polskich. Między nimi ksiądz kanonik Józef Straszewskiego, proboszcza parafii św. Stanisława we Włocławku. Zniszczony to już człowiek, istny szkielet ludzki pokryty skórą; już wyczerpany z sił, ale ciągnie, jak tylko może...”

Głód. Biskup Ignacy Jeż po latach uświadamiał sobie, że „opisanie prawdziwego głodu jest właściwie niemożliwe. Wiedzieć, że ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień tego głodu, jaki trawi wewnątrz, niczym nie będę mógł zaspokoić, stwarza sytuację beznadziejną”. Ksiądz kanonik Mieczysław Januszczak uzupełniał: „Z głodu niegójące się rany, dyzenteria,

choroby serca i nerek, oddawanie moczu do 17 razy w jedną noc, nieugaszone pragnienie, napoje zaś zabijają [...] Krew obracała się w wodę, stąd odma, puchlina wodna”.

Eksperymenty „medyczne”. Arcybiskup Kazimierz Majdański – wówczas młody kleryk – wspominał: „Zabieg jest krótki. Młody oficer, SS-mann boleśnie nakłuwa prawe udo. Jakiś potężny zastrzyk. Potem napisano: 3 cm [szescienne] flegmony (sztuczna ropowica). Po bolesnym zastrzyku nie odczuwam dalszych szczególnych objawów. Wyjaśnienie jednak przychodzi szybko: gdy wchodzimy z powrotem do izby, nie słysząc ani jednego słowa, ale słysząc jęki. Zabieg dokonany na sali operacyjnej działa szybko. Wkrótce odczuję to sam, natychmiast po powrocie do izby położywszy się na długie miesiące na wskazanym łóżku [...] Oslabłem bardzo. Odczułem to, usiłując wejść do bardzo bliskiego WC. Ten pierwszy wieczór dyżur ma pielęgniarz – życzliwy Herman. Także i inni okazał się potem życzliwi. Wszyscy byli polityczni, nosili czerwone trójkąty, takie same jak polscy duchowni”.

Modlitwa. Od stycznia 1941 r. księża polscy – po wstawiennictwie Watykanu – mieli możliwość uczestniczenia w mszy św. we wspólnej kaplicy obozowej. Wkrótce jednak utracili te przywileje. „Było to dnia 18 września 1941 r., władze obozowe zaproponowały kapłanom polskim w zamian za przywileje obozowe zapisanie się na listę narodowości niemieckiej – wspomina bp Franciszek Korszyński. – Mimo pokusy korzystania z przywilejów niewoli nikt z nas nie zdradził swojego narodu, lecz przeciwnie, daliśmy mu nowy wielki dowód swej wierności, swego przywiązania i miłości. Wieść o tym lotem błyskawicy rozeszła się po całym obozie. Wszystkim więźniom zaimponowała nasza postawa,

poniosło od 120 do 240 księży. Około 100 księży wysłano do łagrów, 42 księży zamordowano podczas masakr więźniów dokonywanych przez NKWD po ataku niemieckim 22 czerwca 1941 r. Związek Sowiecki przygotowywał masowe egzekucje polskiego duchowieństwa, jednak plany te pokrzyżował wspomniany atak. O prawdopodobieństwie ich wykonania świadczyło ludobójstwo Polaków w ZSRS (tzw. operacja polska NKWD) przed wojną, a wczesną wiosną 1940 r. – zbrodnia katyńska.

1 kwietnia 1940 r. w Kozielsku pozostawało (według danych NKWD) ośmiu duchownych, w Starobielsku – dziewięciu, a w Ostaszkowie – pięciu duchownych, niemal samych kapłanów, którzy szli do niewoli razem z oficerami swych jednostek wojskowych. Dokładnej ich liczby nie udało się ustalić, ale – zdaniem Patryka Pleskota – „badacze najczęściej mówią o 31 czy 34 zamordowanych duchownych. Chodzi o osoby zidentyfikowane, znane z imienia i nazwiska, odnośnie do których możemy bardzo ogólnie stwierdzić, w którym obozie przebywali i gdzie zginęli [chodzi o Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków]. Tymczasem trzeba pamiętać choćby o więzieniach NKWD, w których znajdowały się tysiące polskich oficerów, a wśród nich mogli znaleźć się również duchowni. Zresztą miejsc zbrodni jest przecież więcej: to też Bykownia, Kijów, Mińsk...”

Wśród ofiar znajdowali się też naczelni kapłani innych wyznań: prawosławnego ppłk Szymon Fedorońko; mojżeszowego mjr Baruch Steinberg; greckokatolickiego Mikołaj Ilków, ewangelickiego mjr Jan Potocki; ewangelicko-augsburskiego płk Edward Paszko. Dodajmy, że rzymskokatolicki biskup połowy WP Józef Gawlina ocalał, bo 18 września 1939 r. – zanim dotarli doń Sowieci – na rozkaz Naczelnego Wodza ewakuował się do Rumunii, a potem dalej na Zachód.

Jak stwierdza Wiesław Jan Wysocki („Kapłani – ofiary zbrodni”): „W porównaniu z innymi grupami zawodowymi – prawnikami, medykami, inżynierami, urzędnikami państwowymi – kapłani byli społecznością licznie skromniejszą, za to pod wieloma względami bardziej znaczącą i wpływową, co zresztą swoiście docenili funkcjonariusze NKWD”.

Potwierdza to cytowana przez autora wypowiedź ówczesnego salezjańskiego kleryka, ks. prof. Leona Musielaka, o tym, co najgłębiej utkwiło mu w pamięci z Ko-

zielska: „Chyba spowiedź święta, bo z tym trzeba było się ukrywać. Kapłani spowiadali w ten sposób, że dwóch mężczyzn siadało obok siebie przy stoliku, brało do ręki sowieckie gazety, »Prawdę« czy inne i niby czytali – a to była spowiedź [...]. Msze święte odbywały się w nocy. Jakbyś spojrział na barak, to na drewnianych pryzkach tylko widział wystające głowy, wszystkie zwrócone w kierunku kapłana przy ścianie baraku. Cicho śpiewano, ksiądz półgłosem modlił się, a później rozdawał komunię świętą w postaci konsekrowanych okruszyn obozowego, białego chleba. NKWD dowiedziało się jednak o mszach, bo oni wszędzie mieli donosicieli, niestety także wśród oficerów. 24 grudnia z obozu wywieziono księży”.

A oto fragment wspomnienia jednego z jeńców Starobielska o ks. Antonim Aleksandrowiczu: „Znany był w Polsce jako wybitny kaznodzieja. Kulał na skutek rany w nodze. Duchową pomoc i wielką pociechę czerpaliśmy z jego dobroci i braterskiej miłości. Pamiętam pierwszą Mszę, organizowaną spontanicznie na dzień 11 listopada. Pamiętam łzy w oczach tych, którzy byli na tej Mszy... W odwet za świętowanie 11 listopada ks. mjr Aleksandrowicz został wywieziony z obozu i najprawdopodobniej przez kilka tygodni przebywał w więzieniu moskiewskim, a następnie w pełnej izolacji (w osobno stojącej wieży) w Kozielsku”. Został zapewne zamordowany wraz z pierwszą grupą wywiezioną do Katynia na miejsce kaźni.

Krew pobratymcza...

„Nienawiść zatrała krew pobratymczą” – tak Henryk Sienkiewicz zakończył „Ogniem i mieczem”. Hasłem kozackich buntowników Chmielnickiego było „rezanie” Żydów, Łachów i księży. Po 300 latach niewiele się zmieniło.

Podczas krwawej niedzieli 11 lipca 1943 r., uważanej za apogeum rzezi wołyńskiej, bandyci celowo wybierali kościoły, gdzie na mszach świętych zbierali się Polacy.

Oto relacja 18-letniego wtedy Zygmunta A., ministranta w Chrynowie (Barbara Odnous, „Wołyń. Lato 1943”, „Karta”, nr 46):

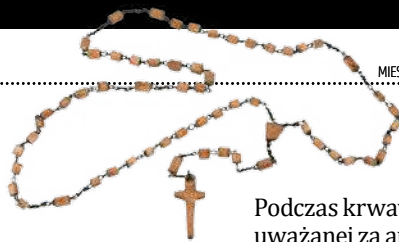
„Ksiądz rozpoczął sumę. Razem z ludnością zawróconą z poprzedniej mszy [przez banderowców] było w kaplicy około dwustu osób, przeważnie kobiety i dzieci. Z kolegą Jankiem Ż. stanęliśmy za drzwiami, które otwierały się do wewnątrz. Po podniesieniu zauważyłem obok drzwi podejrzany ruch. Kilku banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy i zaczęli strzelać do ludzi; rzucili również dwa granaty, które na szczęście nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube kapliczne drzwi. W świątyni zaczął się popłoch i wrzask rannych. Ludzie uciekali bocznymi drzwiami, obok zakrystii i chóru. Kaplica była jednak szczelnie otoczona i bez przerwy rozlegały się strzały. Trwał krzyk, [słyszałem] jęki i rozdzierające wrzaski dzieci. Ksiądz wraz z kobietami uciekał od ołtarza przez zakrystię, ale na zewnątrz wszyscy zostali zabici”.

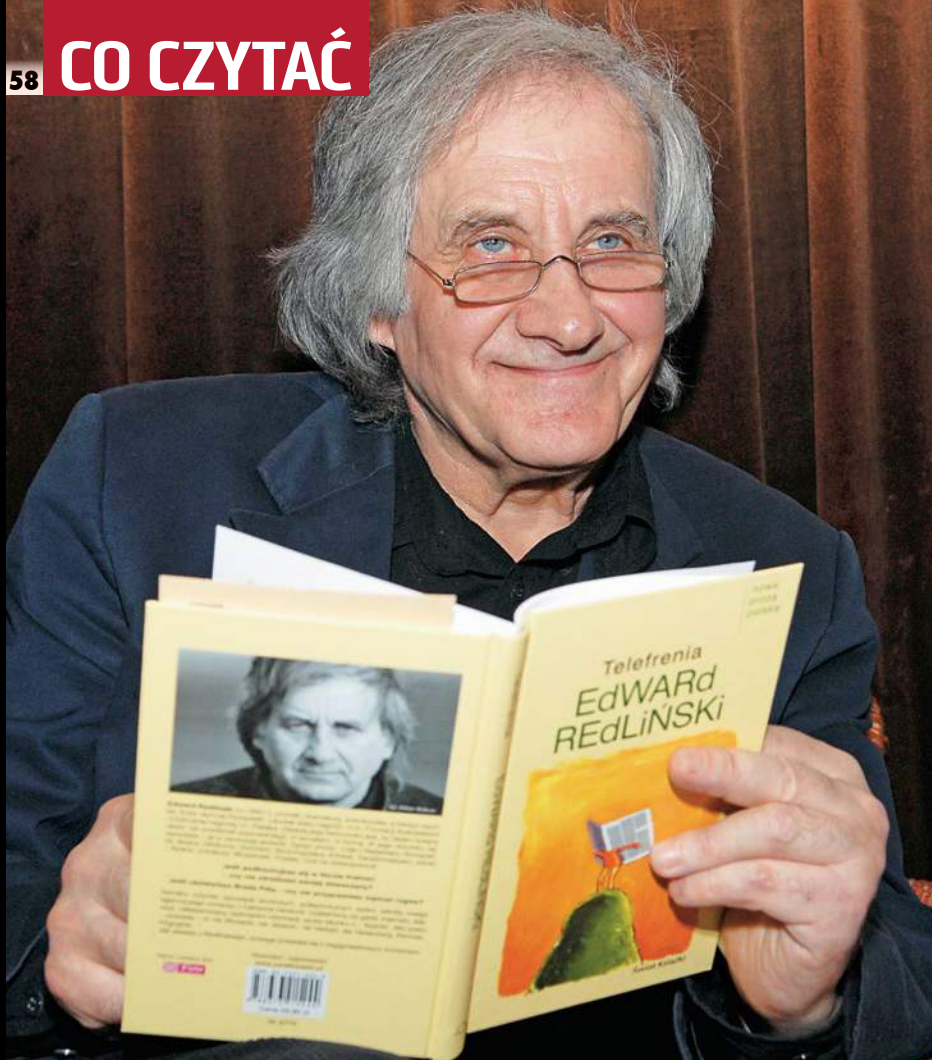
Straty Kościoła rzymskokatolickiego na Kresach II RP z rąk OUN-UPA w latach 1939–1947 wyniosły ok. 200 księży, zakonników i zakonnic. Wiemy też o 28 duchownych greckokatolickich i ok. 20 duchownych prawosławnych zamordowanych na Wołyniu.

Na terenie diecezji łuckiej (województwo wołyńskie) zostało spalonych, zdevastowanych i zniszczonych ponad 50 katolickich kościołów (31 proc. wszystkich świątyń) i 25 kaplic (15 proc.). W wyniku działań UPA ok. 70 proc. parafii (ze 166 istniejących) przestało istnieć. Zostały zniszczone wszystkie parafie wiejskie – z kościołami, kaplicami i plebaniami.

Prawdę o tej straszliwej rzezi zakopywano w dołach śmierci, do których wrzucano zwłoki ofiar. Czy możliwe jest wypłnienie nienawiści z tamtej, ale i z naszej ziemi – dopóki prawdy w pełni się nie ujawni?

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Jeden z najciekawszych pisarzy PRL-owskich, autor niewątpliwego arcydzieła, jakim była „Konopielka”, ukazująca zderzenie dwu światów: tego dawnego opartego na Boskim porządku i nowoczesnego wywracającego wszystko na nice pod hasłem rozwoju, postępu i ledwie skrywanego ateizmu. Obok Wiesława Myślińskiego i m.in. Tadeusza Nowaka oraz Mariana Pilota uważano Edwarda Redlińskiego za czołowego przedstawiciela tzw. nurtu chłopskiego w literaturze polskiej, sztucznie wyodrębnionego i wykreowanego przez Henryka Berezę z tworów, który w pewnym czasie umożliwiał pisarzom powiedzenie czegoś więcej i bardziej prawdziwie o polskiej rzeczywistości.

Ten chłopski gorset wyrażnie jednak Redlińskiego uwierał i w późniejszych książkach zdecydował się na całkowite odejście od świata mitycznych Taplarów czy Wydmuchowa, w którym czuł się jak ryba w wodzie. Dalej jednak prowokował czytelników, tak jak kiedyś „Nikiformami” (1982 r.) ze sławnym pamiętnikiem emerytowanej księgowej, która skrupulatnie zapisywała liczbę stosunków seksualnych z żonatym kochankiem wraz z podaniem jadłospisu na dany dzień.

To były jednak prowokacje niewinne w porównaniu z tą, jakiej dopuścił się, pisząc „Krfotok” (1998). O ile jednak we wcześniejszych książkach Redlińskiego zawsze, ale to zawsze dawały o sobie znać, a nawet dominowały, humor i żartowanie do groteski, o tyle teraz proza tego autora stała się zdecydowanie nadto poważna. Dotykała spraw, z których żarty stawały się wątpliwie i ryzykowne.

I trudno było nie zauważyć, że urodzony w 1940 r. pisarz zaczął się coraz bardziej oddalać od literatury. Jak to się stało, postaram się przypomnieć, z pełną świadomością tego, że na wiele kluczowych pytań wciąż nie znajduję (marna to pociecha, że nie ja jeden) odpowiedzi.

Od sylwestra do sylwestra

Pochodzi z Frampola, wsi leżącej niedaleko Suraża i Łap. W Białymstoku, gdzie rozpoczął pracę dziennikarską, sławę zdobył jako autor reportażu „Jakiś” wydrukowanego w warszawskiej „Kulturze” w lutym 1971 r., dwa

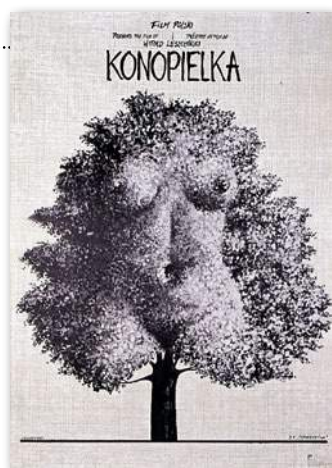
Rocznik 1940 / Pisarz „chłopskiego nurtu”

Od Rabarbaru do Nowego Jorku



Krzysztof Masłoń

/ Edward Redliński stwierdził swą przynależność do „Afrykanów znad Narwi, Sanu, Pilicy. Nie szukałem egzotyki daleko. Była w nas i wokół nas”



miesiące po masakrze robotników w Gdańsku, odejściu Gomułki i intronizacji Gierka na stanowisko I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. W Białymstoku tymczasem niepodzielne rządy – od sylwestra 1956 r.! – sprawował wciąż Arkadiusz Łaszewicz, obsadzając co ważniejsze funkcje tymi towarzyszami, których nazwiska kończyły się na „-uk” i „-icz”. Tak przynajmniej utrzymywali ci z nazwiskami kończącymi się na „-ski”. Miasto straszło drewnianą zabudową i kocimi łbami na ulicach, po których jeździło tyleż samochodów, ile furmanek.

O trwający od lat zastój i marazm obwiniano osobiście Łaszewicza, poufale zwanego Arkaszką, i jego ludzi, mających to do siebie, że w większości pochodzili z Bielska lub, jeszcze lepiej, Trześcianki – „gorodow tałantow”, jak mawiano. W mieście nad Białką zwątpiono wtedy nawet w znaną prawdę, że władza pochodzi od Boga, gdyż – tłumaczono – skoro tak, to dlaczego Stwórca upodobał sobie właśnie, na pozór niczym specjalnym niewyróżniającą się wioskę między Michałowem a Hajnówką?

Właśnie te i inne mechanizmy władzy opisał Edward Redliński, pseudonimując wprawdzie występujące w reportażu postaci („Jakiś” to dyrektor „wiodącego” zakładu, „Pierwszy” to „Gospodarz A.”), ale i tak wszyscy czytelnicy, a już zwłaszcza ci mieszkający w cieniu „białego kościoła” (pod wezwaniem św. Rocha), doskonale wiedzieli, o kim mowa. Cała sprawa spowodowała nieczęste w dziejach prasy odcięcie się redakcji od swojego autora i zerwanie z nim współpracy. Dla porządku dodajmy, że ostatnie zdanie wiernopoddanego adresu wydrukowanego, a jakże, w „Kulturze” dopisano w Biurze Prasy KC, a z redakcji na znak protestu odszedł Roman Bratny, który po latach historię tę opisał w drugim tomie „Pamiętnika moich książek”. Także Mieczysław F. Rakowski poświęcił historii „Jakiegoś” stosowny ustęp swoich „Dzienników”, celnie nazywając Łaszewicza „dzierżymordą”. Trzymał się jednak ów „dzierżymordą” jeszcze mocno, bo w Warszawie rządzący wówczas prasą Stefan Olszowski uznał tekst w „Kulturze” za błąd polityczny, a w Białymstoku, cóż, z drobnym opóźnieniem samochody milicyjne jeździły od kiosku do kiosku

i funkcjonariusze konfiskowali nie-sprzedane egzemplarze stołecznego tygodnika.

„Arkaszka” utrzymał swoje stanowisko, ale nie na długo – do sylwestra tegoż samego 1971 r., gdy zastąpił go

35-letni Zdzisław Kurowski, pod rządami którego znalazły się pieniądze na poważne inwestycje, powstały nowe obiekty – jak mówiło się wtedy – użyteczności publicznej, przebudowano i wyasfaltowano ulice, a nawet szosę warszawską doprowadzono do całkiem przyzwoitego jak na tamte lata stanu. I już można było w 1973 r. gościć samego Edwarda Gierka z małżonką Stanisławą i Piotrem Jaroszewiczem po bokach, na urządzonych na naprędcie postawionym stadionie Dożynkach Centralnych. Słowem, szło nowe, a jego forpocztą był reportaż Edwarda Redlińskiego, który nie tylko w Białymstoku zyskał młodojęcką sławę.

Afrykanie znad Narwi

W tym samym 1971 r. wydał Redliński drugi (i ostatni) tom reportażu „Zgrzyt” i odtąd będzie już funkcjonował bardziej jako pisarz niż dziennikarz, co zresztą zapowiadał już jego bardzo udany książkowy debiut – „Listy z Rabarbaru” z roku 1967, w następnym roku wyróżniony Nagrodą im. Stanisława Piętaka (ta sama przyznana mu zostanie po raz drugi w 1974, już po „Awansie” i „Konopielce”, oraz po raz trzeci, w 1982 r., za dramat „Pustaki”, ale wówczas jej nie przyjął). Z innych nagród wymienić trzeba przede wszystkim prestiżową Nagrodę Kościelskich, którą otrzymał w roku 1974, oraz Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza (2006) i Franciszka Karpińskiego (2009) – za całokształt twórczości.

Bezwzględnie najlepsze były dla niego lata 70., kiedy to napisał książkę, która przyniosła mu z jednej strony zaśluzoną chwałę, a drugiej – stała się jego przekleństwem, gdyż porównywano do niej potem wszystko, co napisał. Mowa, rzecz jasna, o „Konopielce”, powieści niewiel-

kiej rozmiarami (choć podobno jej pierwotna wersja była pięć razy obszerniejsza), za to wielkiej duchem. Bez dwóch zdań jest to prozatorskie arcydzieło. Znam ludzi, którzy z pamięci recytują całe jej fragmenty, sam do nich należę.

Na tym samym, że tak powiem, przydechu co „Konopielka” napisany został „Awans”. Ma dwie wersje, kanoniczną jest druga; mnie, co prawda, bardziej odpowiadała pierwsza – zdawało mi się, bardziej surrealistyczna – ale to doprawdy nieistotne. I „Awans”, i „Konopielka” oficjalnie datowane na ten sam 1973 r. szybko zostały sfilmowane. „Awans” już po roku zekranizował Janusz Zaorski, „Konopielkę” wyreżyserował w roku 1982 Witold Leszczyński, nadając jej wymiar bardziej fantastyczny, baśniowy. W każdym razie ten świetny film zrealizowany został, oczywiście, na podstawie powieści Redlińskiego, jednak ze scenariuszem reżysera. Warto zwrócić uwagę, że ci sami reżyserzy później też pozostali wierni pisarzowi: Janusz Zaorski kręcił „Szczęśliwego Nowego Jorku” (1997), a Witold Leszczyński „Requiem” w 2001 r. Filmowa przygoda związanego z Białostocką twórcy zaczęła się grubo wcześniej, jeszcze przed „Awansem”, gdy w 1972 r. Wanda Jakubowska skorzystała z jego scenariusza do obrazu „150 na godzinę”. Był to, mówiąc wprost, niebywały gniot, taki jak wśród książek Redlińskiego „Debata, czyli bzik prezydencki” z 2008 r.

W swojej prozie przedstawiał Edward Redliński świat, który czytelnicy odkrywali niczym ziemię nieznaną. W 2007 r., rekomendując swój bardzo oryginalny „Matecznik” opublikowany razem ze wznawianymi po latach „Listami z Rabarbaru”, autor z niejaką nostalgią pisał: „Pasąc krowy, czytaliśmy Londo-na, Żeromskiego, radzieckich i polskich socromantyków. Potem gnieździł się w hotelach robotniczych, internatach, akademikach – budowaliśmy Nowe Huty, wygrywaaliśmy Wyścigi Pokoju, kończyliśmy uczelnie, marzyliśmy o klitce w bloku, choćby ze ślepą kuchnią. My, Afrykanie znad Narwi, Sanu, Pilicy. Nie szukałem egzotyki daleko. Była w nas i wokół nas”.

Z kolei w „Bazarze”, włączonym do tomu „Bumtarara” (2006 r.), prozaik wprowadza w fabułę rodzinę Redlińskich i siebie samego, pierwszego takiego we wsi, a i parafii, który książki pisze. Bywali już tam „i porucznicy, i konduktorzy,

■ i sekwestratorzy. Ale książek jeszcze nikt nie pisał”. Żeby być dokładnym, dopowiedzmy, że rodzony brat pisarza, zmarły 10 lat temu Wacław, był działaczem partyjnym, jak to mówiono – średniego szczebla, najwyższe stanowisko obejmując właśnie w dekadzie gierkowskiej, kiedy to przez pięć lat był wicewojewodą łomżyńskim.

General i szakale

O ile zdecydowanie najwybitniejszą książką Redlińskiego była „Konopielka”, o tyle najbardziej kontrowersyjną – „Krfotok”. Nawet czytany dzisiaj jeszcze budzi sprzeciw. Ta alternatywna historia,

Pamiętają zapewne państwo postać profesora z innej książki tego samego autora – „Szczuropolacy” (1994), znanej też jako „Szczurojorczycy”. A jeśli nawet jej państwo nie czytali, to widzieli pewnie film „Szczęśliwego Nowego Jorku”, w którym w postać zapijaczanego polskiego naukowca wegetującego na Greenpoincie wcielił się Janusz Gajos. Sławiące PRL perory profesora nie wytrzymują jednak konkurencji z samym autorem i „Szczuropolaków” i „Krfotoku”, do wydania którego z roku 2010 edytor dołączył fragment rozmowy pisarza z Ewą Likowską z „Przeglądu Tygodniowego”. Redliński powiedział wtedy m.in.: „W nocy z 11 na 12 grudnia Wojciech Jaruzelski samotnie zmagął się z pewną

jęcia – lub niepodjęcia (!) tej nadludzkiej decyzji, jaką było o godzinie 14 w sobotę powiedzenie przez telefon: »Nie mamy wyjścia, uruchamiam operację«. Nawiasem mówiąc, niech setki ignorantów w redakcjach, komisjach, sądach – zanim zaczną wyrokować, przeczytają tę jego książkę... Radziłbym uważnie, i to parę razy. I z szacunkiem. Bez pyszałkowatego uśmieszku. To najznakomitsza publicystyka historyczna. I znakomite kompendium dokumentarne. Ileż rzetelności i skromności! Tak, wielki umysł, wielki charakter, wielki przywódca. Dla mnie: jeden z największych Polaków w historii”.

Cóż rzecz można? Znalazł się Redliński w gronie takich admiratorów generała jak Jerzy Urban, a dodam jeszcze, że zdarzało się pisarzowi cytować również innego mędrca tamtej epoki, przywoływanego już tutaj Mieczysława F. Rakowskiego, który z upodobaniem powtarzał, że „gdyby nie socjalizm, pewnie pasałbym krowy”.



Białystok FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Pomnik Kuronia

Niezależnie od tego, co w różnym czasie opowiadał, a nierazko były to sądy sprzeczne ze sobą, z literaturą lotów najwyższych rozstał się Edward Redliński w Ameryce, dokąd udał się w roku 1984. „Szczurojorczycy” bynajmniej nie inaugurują wszczętej przez niego kampanii antyamerykańskiej, wcześniej było bowiem „Dolorado” i „Tańcowały dwa Michały” (1985), dwie mikropowieści o życiu najnowszych polskich emigrantów w USA. Jak zwykle u niego zjadliwe, szydercze, groteskowe, ale jakby mniej finezyjne i zbyt dosadne.

Takie stały się też jego książki pisane po powrocie zza wielkiej wody, skąd wrócił w 1991 r. z poczuciem nie klęski może, ale niespełnienia i z misją uświadamienia rodakom całej prawdy o czekającej ich zgubie. Niestety, była to najczęściej rozpisana na głosy publicystyka, a nie proza artystyczna, do której autor wyraźnie się zniechęcił. Trudno było zachwycić się np. „Telefrenią” (2006 r.), a nawet wyróżniającą się na tym tle książką „Transformejszen” z 2003 r.

Tak jakoś od razu po przeczytaniu tej ostatniej przeprowadziłem z autorem wywiad dla „Rzeczpospolitej”, którego wersja mocno przez pisarza okrojona ukazała się pod tytułem „Kur zapiał”. Redliński zbywał pytania żartami, w grun-

mająca chyba w zamierzeniu postraszyć Polaków, co to by się działo, gdyby Jaruzelski nie wprowadził stanu wojennego, była oczywiście pamfletem. Zdzisław Pietrasik uściślał – „pamfletem na naszą nową mitologię narodową”, i wyłuszczał, co następuje: „Redliński niszczy pomniki, które wzniesiliśmy sobie po 1989 r. Pali Warszawę, która jest miastem zastygłym w bohaterskim geście i lubi się bardzo oglądać w tej pozie. Odrzuca tradycję, która nie uskrzydla, lecz ciąży jak garb. Robi to przekonująco pod względem artystycznym”.

Otóż nie, właśnie pod względem artystycznym jest to niewypał, a co gorzej – zapoczątkował „Krfotok” całą serię książek Redlińskiego, w których poza niekończącym się dialogiem próżno szukać czegoś więcej. A, umówmy się, rozmowy te nie są tak ciekawe jak taśmy z podłuchów w restauracji Sowa i Przyjaciele.

decyzją. W swojej książce »Stan wojenny. Dlaczego...« wyznał potem: »Jest sobota, 12 grudnia, minęła kolejna ciężka noc [...]. Cały ten okres – zwłaszcza ostatnie tygodnie i dni – był udręką, koszmarem. Może jako żołnierz nie powinienem ujawniać stanu swego ducha, ludzkiej słabości, która doprowadziła do desperackich myśli. Nieraz kładłem dłoń na chłodnej rękojeści pistoletu...«. No. A gdyby wtedy, tej ostatniej nocy, generał zrobił »TO«? Kiedy czytam ten akapit, ciary przeskakują mi po grzbiecie, to nie hamletyczna zabawa, wierzę Generałowi. Miał wtedy 58 lat, tyle co ja, pisać »Krfotok«. Czy ja wytrzymałbym ciężar takiej decyzji? A pani? A oni – ci wszyscy bohaterowie od wypisywania hasań na murach i w ubikacjach – te obszczywęgły polityczne, które stawiają dziś swoich wybawicieli przed sądem? Przecież te szakale nawet nie potrafią wyobrazić sobie skutków pod-

cie rzeczy przedstawiając apokaliptyczny raczej obraz polskiej rzeczywistości po wprowadzeniu w życie tzw. planu Balcerowicza. Trudno było z nim polemizować, bo przecież wystarczyło wychylić się poza miejskie opłotki, by zadać nurtujące każdego pytanie: Jeśli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? I nie uśmiechnąć się, czytając np. opis ludowego festynu z hasłem na transparencie: „Bezrobocie uszlachetnia” i komentarzem strażnika wpuszczającego na teren, gdzie odbywała się impreza organizowana, no jasne, przez Unię Wolności: „Pracują na nowy imidż. Szukają kontaktu z dołami”. Obrywało się od pisarza jednak i Kościołowi, i Solidarności, i wielu instytucjom, i w istocie nam wszystkim. W portretowanej przez niego postpegeerowskiej rzeczywistości chłopci obalali pershingi, wpatrzone w telewizory baby chłoneły tasiecowe seriale, a dzieci w szkołach na pytanie rodem z Gombrowicza: „Dlaczego tak czcimy i podziwiamy Solidarność?”, odpowiadały wyuczoną formułką: „Albowiem wiekopomnym porywem była”.

Moja rozmowa z Edwardem Redlińskim kończyła się zaś tak:

„– Wie pan, jak w mojej okolicy nazywają Jacka Kuronia? Nazywają go Zupoń.

– Z jego książki zapamiętałem, że bardzo się dziwił, gdy niepracujący po dostaniu od niego pieniędzy, zamiast je z pożytkiem zainwestować, kupowali sobie wideo...

– Dobrze, dobrze, ale widzi pan, trzeba mieć siłę sugestywności Jacka Kuronia, żeby dając te pieniądze, jednocześnie przekazać oczyma czy słowem – nie mówię o przekazie mentalnym, bo Jacek Kuroń, jak pan pamięta, ma pod tym względem talent niespotykany – co należałoby z nimi zrobić. On chyba przez dwa lata propagował w telewizji transformację, opowiadając, jakie to płyną z niej korzyści. Kiedy ujmowano go w sondażach, był najpopularniejszym człowiekiem w Polsce.

– Tyle że przegrywał wszystkie wybory.

– Bo misjonarz nie zawsze nadaje się na polityka, na premiera. Jacek Kuroń jest moim zdaniem kandydatem na świętego i może rzeczywiście powinniśmy postawić mu pomnik nie przed gmachem giełdy, ale przed kościołem. Ja, wie pan, jestem zachwycony, że tak się u nas rozwija filantropia, że te grochówki rozdają, ludzie otwierają serca, miłują bliźniego jak siebie sa-

mego, to fantastycznie. Bo ustrój, prawdę mówiąc, nie jest najważniejszy, grunt, żebyśmy byli dobrzy.

– Czyli rozumiem, że pan swoich bohaterów kocha.

– Tak. Jeśli pan odniósł wrażenie, że w „Transformejszen” nie lubię moich bohaterów, to znaczy, że popełniłem jakiś błąd warsztatowy.

– Może źle odczytuję pańską książkę? Jest to w końcu możliwe.

– Sądzę, że za często zaufałem moim umiejętnościom pisarskim.

– Bo pan ich kocha?

– Oczywiście, że kocham. A wie pan, z czego się bierze to uczucie?

– Z dobroci.

– Nie, kocham ich, bo pokochali kapitalizm tak jak ja”.

Legends, gawędy, bujdy

W przywoływanym już „Mateczniku”, mniej znanym tekście twórcy „Listów z Rabarbaru”, a będącym w istocie rozbudowanym komentarzem do fotografii Czarnej Hańczy pomieszczonych w wydany przez KAW albumie zdjęć Wiktora Wołkowa, pisarz tłumaczy ustami niejakiego pana Matoszko, czym naprawdę jest droga, płot, stóg, drzewo, rzeka... W tej ostatniej żyły kiedyś nie tylko ryby, lecz także – opowiadał – diabły: „Na zastoiskach – błotne. No a ma się rozumieć na brzegu, w olszynach, zagajnikach – diabły leśne. Różne gryfy, wijuny. Wie pan – stare czasy, ciemnota... Na pastwiskach – łojmy. W zbożach – kózytki. W lnach, konopiach – konopielki. Na rozstajach – upiorce. Na mogiłach – umierce. W studniach – marmytki.



Na spaleniskach, w stajniach, pod dachami – domowiki. Uch, było kiedyś tego”.

Czy dziś jest on jeszcze bardziej egzotyczny – ten świat legend, gawęd, bujdy i bajek?

„Na początku był wiejski Rabarbar – odpowiada w mądrym tekście o prozie autora »Konopielki« Dariusz Kule-sza. – Punkt dojścia wyznacza miasto miast, czyli Nowy Jork. Historia świata dzieje się od tego, co agrarne, do tego, co zurbanizowane, industrialne, postindustrialne, a nawet postmodernistyczne. Czy Redliński tę historię opowiedział? Tak, o ile przyjmiemy, że na początku była opisana przez niego wieś. Tak, jeśli Amerykę potraktujemy na sposób Jean Baudrillarda jako esencjonalny wzór przemian decydujących o tożsamości świata. Nie to jest jednak najważniejsze, chociaż muszę przyznać, że bardzo kuszące. Istotniejsza wydaje mi się sama historia, traktowana przez Redlińskiego jak nieuchronny proces, w którym trzeba się odnaleźć za cenę porzucenia dotychczasowych sposobów pisania i – co ważniejsze – życia. To świadomość tak rozumianej historii wyprowadziła go poza granice literatury, poza nurt chłopski. Redliński nie potrafił zgodzić się na jego konwencjonalizację – na ahistoryczność, czyli nieumiejętność radzenia sobie ze zmianami zachodzącymi na wsi i wokół niej. Na budowanie szyby między światem i literaturą. Historia, wyprowadzając Redlińskiego poza nurt chłopski, wprowadziła go do Ameryki, a tam – w jego amerykańskich i proamerykańskich tekstach – okazało się, że rozbicie szyby między rzeczywistością i sztuką nie stwarza nowej literatury, ale jest zamachem na to, co literackie”.

Tak właśnie się stało.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Kiedy został wyrwany ze snu, była 4.45. Strzały w pobliżu, duży kaliber. Kapitan Gudleif Holmboe, jeszcze otumaniony snem, usiadł na łóżku w hotelu Royal. Najpierw przeszło mu przez myśl, że to żołnierze przy działkach przeciwlotniczych musieli otworzyć ogień do przelatujących nad miastem wrogich samolotów. Kiedy trochę otrzeźwiał, zdał sobie sprawę, że tak potężnego huków ochrona przeciwlotnicza nie mogłaby robić. Słyszał ciężką artylerię”.

Tak zaczyna się książka o walkach o Narwik norweskiego pisarza Asbjørna Jaklina. Są one przedstawione w wielkiej mierze poprzez przeżycia konkretnych ludzi, zarówno żołnierzy, jak i cywili norweskich. Ci ostatni cierpieli nie tylko z powodu niemieckiej agresji. Źle wspominali zachowanie się wobec nich Brytyjczyków i Francuzów.

Hitler początkowo nie interesował się Norwegią. Na ten kraj ściągnął jego uwagę adm. Reader, pragnący mieć w portach i we fiordach norweskich oparcie dla Kriegsmarine. Jednak gra toczyła się także o inną, może ważniejszą stawkę. Przez port w Narwiku przechodziły dostawy rudy żelaza ze Szwecji zarówno do Francji i Anglii, jak i do Niemiec. Pierwszy ruch w Norwegii wykonali Niemcy, ale jak stwierdza autor: „Zarówno Francuzi, jak i Anglicy palili się do działań wojskowych na północy, jeśli nie nawet do okupowania całego kraju”.

9 kwietnia 1940 r. wojska niemieckie bez trudu zajęły Narwik, poprzedzając zajęcie portu zniszczeniem dwóch norweskich pancerników. Norweskie siły lądowe nie podjęły walki. Do tej sprawy autor powraca w zakończeniu książki. Dwa tygodnie później Brytyjczycy ogłosili przez radio, że będą bombardować Narwik, i wezwali mieszkańców do ewakuacji. Norwescy cywile znaleźli się jednak w pułapce. „Łatwiej powiedzieć, niż zrobić” – zapisał jeden z nich w dzienniku. Niemcy bowiem nie pozwolili im wyjść.

W połowie maja Brytyjczycy poprzedzili desant ostrzałem wsi Bjerkvik, zabijając 14 Norwegów. Dwóch mieszkańców wsi podpłynęło łodziami do brytyjskich okrętów, błagając, by przerwano ogień. „Pytanie, dlaczego poświęcono tylu ludzi, dręczyło społeczeństwo wiejską przez wiele lat” – pisze autor. I dodaje, że w wojskowych raportach mówiono



Polscy żołnierze w walce o Narwik FOT.WIKIPEDIA

1940 r. / Walki o Narwik

62 gorzkie dni

o sukcesie desantu, pomijano natomiast straty wśród cywili.

Norwegowie cierpieli także z powodu zachowania się żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. „Patrzyli z przerażeniem na nieustannie pijanych żołnierzy, którzy nosili ze sobą łomy, by się włamywać, kradli z obór zwierzęta na mięso, »częstowali się« zegarkami i innymi cennymi przedmiotami”. Z kolei niemieccy żołnierze używali norweskich cywili jako żywych tarcz, zbombardowali też statek, który miał wyłożony widoczny znak Czerwonego Krzyża.

W walkach o Narwik wzięła udział Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich, dowodzona przez gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza. Autor z uznaniem pisze o naszych żołnierzach: „Polacy walczyli jak szaleni”. Stwierdza jednak, że popełniali zbrodnie wojenne, gdy brali do niewoli żołnierzy uczestniczących w inwazji na ich kraj.

Norwegowie poczuli się zdradzeni decyzją Francuzów i Anglików o wycofaniu ich wojsk spod Narwiku. Jeden z rozgoryczonych pytał: „Co się stało

z wielką pomocą, którą mieliśmy dostać? To wszystko okazało się oszustwem. Taki jest jednak los niewielkich nacji, są tylko pionkami”. Nic dziwnego, że Norwegowie postrzegali walki o Narwik jako 62 gorzkie dni.

W 1947 r. przed sądem stanął płk Konrad Sundlo. Oskarżano go o to, że nie wydał dyspozycji ani rozkazów do obrony Narwiku i uzgodnił z Niemcami zawieszenie broni, które wykorzystali, by zająć znaczną część centrum miasta. Co ciekawe, Sundlo nie ukrywał sympatii dla Niemiec, był też w kręgu ludzi, przy pomocy których Quisling chciał dokonać zamachu stanu. Sąd skazał pułkownika na dożywotnie przymusowe roboty. ©©

Tomasz Stańczyk



ASBJØRN JAKLIN
„BITWA O NARWIK”
ZNAK HORYZONT

Kobiety kontra U-Booty

O ile położenie geograficzne Polski jest jej przekleństwem, o tyle położenie geograficzne Anglii jest jej błogosławieństwem. W ciągu ostatnich kilkuset lat przez terytorium naszego kraju w tę i z powrotem wielokrotnie maszerowały obce armie, niosąc pożogę, terror i grabież. A Anglia pozostaje niezdobytą od czasów średniowiecza i podboju dokonanego przez Normanów.

Czy potężna przeszkoda wodna – jaką jest kanał La Manche – sprawia, że Wielkiej Brytanii nie można pokonać? To pytanie zadawał sobie Napoleon, a potem Adolf Hitler. Obaj ostatecznie doszli do wniosku, że jednak Anglię można pobić, ale nie za pomocą skazanej na klęskę inwazji morskiej, ale blokady morskiej. Anglię należało po prostu zagłodzić.

W przypadku III Rzeszy środkiem do osiągnięcia tego celu była wojna podwodna. Czyli U-Booty. Zgodnie z planem Berlina ataki okrętów podwodnych Kriegsmarine miały zablokować morskie i oceaniczne szlaki zaopatrzeniowe Wielkiej Brytanii. Anglicy odcięci od dostaw prędkiej czy później musieliby skapitulować.

Z zagrożenia tego doskonale zdawał sobie sprawę Winston Churchill. Brytyjski premier przyznawał, że podczas drugiej wojny światowej terror U-Bootów był „jedyną rzeczą, jaka naprawdę wzbudzała jego przerażenie”. Przerażenie to narastało w roku 1941, gdy wydawało się, że niemiecka taktyka

przynosi rezultaty. Na dno Atlantyku szły kolejne statki zaopatrzeniowe, U-Booty zatapiały kolejne konwoje. Na Wyspach brakowało żywności i surowców. Imperium stanęło na krawędzi katastrofy.

W tym momencie na arenę wkroczyli jednak bohaterowie brawurowej książki „Ptaki i wilki” Simona Parkina. Mowa o emerytowanym oficerze Gilberte Robertsie i grupie błyskotliwych kobiet. W ramach tajnej jednostki do spraw strategii podjęli się oni zadania rozpracowania taktyki U-Bootów. Znalezienia sposobu, który mógłby ocalić Wielką Brytanię.

Grupa ta całymi dniami toczyła skomplikowane gry wojenne – za pomocą makiet okrętów przesuwanych po podłodze. Aż wreszcie...

Nie chcę państwu zbyt dużo zdradzać. Napiszę tylko, że Simon Parkin napisał pasjonującą książkę. Wydobyl z mroku zapomnienia wielkich bohaterów drugiego planu. Dzielne kobiety, które miały większy wpływ na wynik drugiej wojny światowej niż kilkudziesięciu obwieszonych orderami generałów. ©©

Piotr Zychowicz



SIMON PARKIN
„PTAKI I WILKI”

REBIS

PPS przeciw komunistom

Książka uświadamia, jak wielką rolę odegrała PPS w pierwszym roku niepodległości, powstrzymując rodzimych komunistów.

Komuniści i socjaliści toczyli ostrą rywalizację w Radach Delegatów Robotniczych. W Zagłębiu Dąbrowskim rady zdominowane przez komunistów, faktycznie przejęły władzę w tym ośrodku górniczym. PPS postanowiła rozbić Rady Delegatów Robotniczych, by nie stały się one miejscem komunistycznej agitacji. Autor zauważa u komunistów

brak pozytywnej oceny odbudowy państwa polskiego. A PPS uważała, że socjalizm można wprowadzić jedynie w niepodległej Polsce. ©© (t.s.)



ANDRZEJ FRISZKE
„PAŃSTWO CZY REWOLUCJA.
POLSKY KOMUNISCI
A ODBUDOWANIE PAŃSTWA
POLSKIEGO 1892–1920”

INSTYTUT STUDIÓW POLITYCZNYCH PAN,
KRYTYKA POLITYCZNA



EDWARD
BROOKE-HITCHING
„BIBLIOTEKA SZALEŃCA.
NAJWIĘKSZE KURIOZA
WYDAWNICZE”

REBIS

SZALONA KSIĘGA SZALONYCH

Autor atlasu lądów, jakich nigdy nie było, tym razem ukazuje tomy pisane krwią i oprawione w ludzką skórę, dzieła mikroskopijnej wielkości i większe od człowieka, zestawy dotychczas nierozszyfrowanych kodów i szyfrów. Bogato iluminowany w XV w. proces wytoczony Jezusowi przez szatana czy zaginione dramaty Szekspira i księgi Biblii uzupełniają to szalone wydawnictwo. ©© (m.r.)



KATARZYNA REMBACKA
„KOMUNISTA
NA PERYFERIACH WŁADZY”

IPN

OD KOMUNY DO ANTYKOMUNY

Bez poznania losów mniej znanych działaczy, którzy wdrażali w praktyce to, co nakazywała „góra”, trudno zrozumieć historię komunizmu i PRL. Dowodzi tego biografia Leonarda Borkowicza pióra Katarzyny Rembackiej. Był on członkiem KPP, służył w armii Berlinga, a po wojnie został pierwszym komunistycznym wojewodą Szczecina. Na starość zaś... zerwał z komuną. Ciekawy człowiek. ©© (p.z.)



PRACA ZBIOROWA
„PRZEDWOJENNA POLSKA
W LICZBACH”

BELLONA

BLASKI I CIEŃ II RP

II Rzeczpospolitą można różnie oceniać. Autorzy książki proponują spojrzenie bardzo obiektywne, poprzez dane statystyczne. Pokazują one, jak ciężko było odbudować Polskę po zniszczeniach wojennych, oraz głębię światowego kryzysu, który dotknął kraju. Statystyka pokazuje też wielki wysiłek włożony w rozwój i modernizację państwa. Niezwykle ciekawe są dane ilustrujące życie codzienne Polaków, ich zarobki, warunki mieszkaniowe, wykształcenie. ©© (t.s.)

Koronacja Maryny

Mniszchówny FOT. WIKIPEDIA



Polacy dla Rosji

Dzieło to przypomina nieco książkę telefoniczną – tak dużo w nim imion i nazwisk Polaków i Polek zapisanych w historii naszych wschodnich sąsiadów. Aż zaskakuje, jak dużo, i to od czasów wczesnych Piastowiczów i Rurykowiczów do dziś. Wielu czytelników zaskoczy też mogą przypomniane w tekście fakty, choćby ten, że Moskwę założyło dzielne plemię Wiatyczów, które przybyło znad Wisły, co potwierdzają wykopaliska archeologiczne na Kremlu oraz „Powieść minionych lat” kronikarza Nestora z XII w. Z kolei Kijów obrali za stolicę lechickie Polanie. Tak uważa historyk Jewgienij Anisimow (zauważyć warto, że wśród polskich badaczy zrodził się pogląd, że – odwrotnie – to ruscy Polanie stworzyli państwo Piastów).

Autor skupia się następnie na czasach o kilka wieków późniejszych, gdy rodziła się potęga państwa mo-

skiewskiego, które „zbierało” ziemie ruskie wchodzące (dobrowolnie!) od dawna w skład Litwy (potem Rzeczypospolitej). Tutaj tkwiła przyczyna naszego dziejowego konfliktu i łatwego ulegania wielkich rodów ruskich (Drucczy-Lubecy, Glinscy, niektórzy Sapiehowie), ale i części szlachty, moskiewskiemu mocarstwu. Niektóre nasze rodaczki zasiadały na tronach, tak jak Maryna Mniszech, Helena Glinńska (żona Wasyla III i matka Iwana IV Groźnego) czy Marta Skowrońska, żona Piotra Wielkiego, która po jego śmierci rządziła jako Katarzyna I. Natomiast wielki podróżnik, szlachcic ze Smoleńszczyzny Mikołaj Przewalski (ten od konia Przewalskiego), uważany jest za biologicznego ojca samego Stalina.



MARIUSZ ŚWIDER
„JAK STWARZALIŚMY
ROSJĘ. POLSKIE
KORZENIE
ROSYJSKIEGO
IMPERIUM”

FRONDA

W XIX w. widzimy licznych Polaków z kolejnych pokoleń, którzy – po prostu szukając własnego miejsca na ziemi – wykonywali pożyteczne prace na polu nauki, techniki, przedsiębiorczości i kultury. Imponująca jest ich lista. Wymieńmy np. mało u nas znanych, zasłużonych dla kolejnictwa Rosji: Jana I. Koeniga, Bolesława Perejasławskiego-Jałowickiego czy Aleksandra Wasiutyńskiego. Czwartą część budowniczych kolei transsyberyjskiej stanowili Polacy. Nazwiska odkrywców-zesłańców – Jana Czerskiego, Benedykta Dybowskiego, Aleksandra Czekanowskiego – zapisały się w atlasach Syberii i Dalekiego Wschodu. Dalekowschodnim etnografem został Bronisław Piłsudski. Nie odcinali się od polskich korzeni. Całkiem zruszczeni zostali natomiast Mikołaj Gogol czy Fiodor Dostojewski... Z armii rosyjskiej wywodziło się po 1918 r. wielu dowódców naszych wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki (np. Kazimierz Porębski i Jerzy Świrski).

Polskiego pochodzenia byli też najwyżsi dowódcy Armii Czerwonej, choćby Konstanty Rokossowski, oraz nadspodziewanie liczni funkcjonariusze bolszewicki z Feliksem Dzierżyńskim na czele. Ich niesławna lista zamyka książkę. ©©

Maciej Rosalak

Finał krwawej zagadki sprzed 500 lat

Spiszek Pazzich – bankierów konkurujących z Medyceuszami o władzę nad Florencją – ujawnił się krwawo 26 kwietnia 1478 r. podczas mszy w katedrze florenckiej. Oto trzech sztyletników rzuciło się na Wawrzyńca i Juliana Medyceuszów, zabijając na miejscu tylko drugiego z nich. Lekko ranny Wawrzyniec uszedł, a w przyszłości współtworzył sławę i chwałę stolicy Toskanii. Dwa lata wcześniej w innym zamachu zginął w grudniu 1476 r. książę Mediolanu Galeazzo Maria Sforza. Związek między tymi dwoma i następnymi krwawymi wydarzeniami badał i opisał autor, który w prostej linii jest

potomkiem Cicco Simonetty – doradcy Sforzów, a potem regenta księstwa Mediolanu.

Profesor Simonetta szukał odpowiedzi na pytanie, kto naprawdę stał za zamachem i włożył broń w dłonie Pazzich, ale też jaki udział w tym mieli inni. Poza papieżem nepotą Sykstusem IV, który umrze nagle latem 1784 r., uwagę jego zwraca książę Urbino Federico da Montefeltro, rzekomo przyjaciel Wawrzyńca Medyceusza, oraz... własny przodek autora. I oto odkrywa on na mikrofilmach zdeponowanych w USA, a zawierających 2 mln dokumentów z okresu panowania Sforzów, list między tymi dwoma, wska-

zuający Montefeltro jako sprawcę spisku Pazzich.

Niesamowite historie włoskiego renesansu, tak głęboko ujęte i sensacyjnie zakończone, tworzą wspaniałą lekturę dla każdego miłośnika historii. ©© (m.r.)



MARCELLO SIMONETTA
„MEDYCEUSZE.
TAJEMNICA MONTEFELTRA”

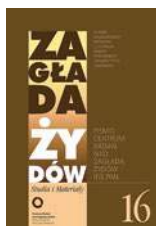
REBIS

1943. Dwie akcje „Lalka”

Niedawno ukazał się 16. już numer rocznika „Zagłada Żydów. Studia i Materiały”, poświęcony kwestii funkcjonowania łódzkiego getta. Wśród opublikowanych w nim tekstów odbiegających od głównego tematu bezapelacyjnie najciekawszy jest artykuł dr. Sławomira Poleszaka dotyczący okupacyjnych akcji poległego w 1963 r. sierż. Józefa Franczaka „Lalka”.

Pierwszy z opisanych przez autora epizodów rozegrał się w lutym 1943 r. Wtedy to Franczak wraz z braćmi Franciszkiem i Władysławem Beciami oraz woźnicą Władysławem Siudziakiem pojawili się w celu odebrania amunicji w Kolonii Skrzynice w gospodarstwie Ludwika Niedźwiadka. Tam „Lalek” i Beć, uzbrojeni w broń krótką, natknęli się na siedmiu-dziewięciu członków uzbrojonej żydowskiej grupy przetrwania. W domu, podczas sprawdzania dokumentów zatrzymanych Polaków, Franczak, nie mając pewności, jak zakończy się zetknięcie z żydowskimi bojowcami, użył broni i zabił dwóch z nich. Po tym zdarzeniu, pomimo kwaterowania we wsi kilkudziesięciu żydowskich partyzantów, polskim konspiratorom udało się bezpiecznie, choć nie bez trudności, wycofać ze wspomnianej miejscowości.

Kolejne zdarzenie rozegrało się we wsi Majdan Kawęczynski zimą przełomu lat 1943 i 1944. Wtedy to Franczak wraz z kilkoma innymi AK-owcami przeprowadził rewizję w domu Heleny i Adama Brodów. Ponieważ gospodarze nie chcieli ujawnić miejsca pobytu ukrywających się u nich Żydów (były to trzy cywilne osoby), postanowiono zmusić ich do wyjawienia tych informacji, używając przemocy fizycznej. Zastosowanie jej niewiele dało i konspiratorzy, rekwirując produkty żywnościowe, opuścili gospodarstwo Brodów. Prawdopodobnie pierwsza z tych akcji miała aprobatę władz zwierzchnich AK, natomiast jeśli chodzi o tę drugą, to w dokumentach podziemia nie jest odnotowany jej antyżydowski kontekst.



„ZAGŁADA ŻYDÓW. STUDIA I MATERIAŁY” T. 16

CENTRUM BADAŃ
NAD ZAGŁADĄ

Generalnie warto podkreślić, że wymienione przypadki nie miały incydentalnego charakteru, o czym świadczą meldunki terenowych struktur AK. W jednym z nich, pochodzącym z Placówki nr 7 Piaski AK, czytamy: „W dniu 2 kwietnia 1944 r. o godz. 18-ej [z] plutonu X, z polecenia [N.N.] Dęba [plut[onowy] żand[armerii]], Dąb, nie [meldując] d[owód]cy plutonu, wydał polecenie jedenastu [ludziom] pod dowództwem [N.N.] Jałowca wyjazdu do miej[sco]wości Wolnica, rzekomo w poszukiwaniu żydów [...]”. Z kolei komendant Obwodu AK Lublin kpt. Stanisław Piotrowski „Korszun” informował władze okręgu: „Na ukrywających się

Żydów organizowane były w czerwcu dwa wypadki. Jeden 7 VI [19]43 [r.], drugi 17 VI br. W dniu 17 czerwca zostało zlikwidowanych trzech rabujących żydów w rejonie Skrzynic, dowodził »Okrzeja«”.

Żydowskie oddziały przetrwania były postrzegane przez AK-owskie podziemie jako grupy rabunkowe parające się pospolitym bandytyzmem. Nie ulega wątpliwości, że aby przeżyć, dokonywały one przymusowych rekwizycji u chłopów, nie mówiąc o częstych przypadkach współpracy z komunistycznymi lub sowieckimi oddziałami partyzanckimi. To postępowanie wywoływało zdecydowane reakcje struktur AK w postaci podejmowanych akcji likwidacyjnych. Były również przypadki zabijania przez członków podziemia z różnych przyczyn pojedynczych osób żydowskiego pochodzenia. Brutalne realia wykreowanej przez Niemców okupacyjnej rzeczywistości nie sprzyjały wzrostowi empatii wobec ukrywających żydowskich uciekinierów. Wymierzone w nich działania podziemia, w których wzięli udział sierż. „Lalek” i wielu innych konspiratorów, potwierdzają to w całej rozciągłości, a fakt ich ujawnienia przez dr. Poleszaka stanowi dodatkowe źródło wiedzy o tej słabo rozpoznanej problematyce. ©©

Arkadiusz Karbowiak

Powstanie i Auschwitz

Autorowi tych poruszających wspomnień – Bogdanowi Bartnikowskiemu – nic nie zostało oszczędzone. W momencie wybuchu wojny miał siedem lat. Pięć lat później, jako łącznik, wzięł udział w powstaniu. Był świadkiem agonii wielkiego miasta i tysięcy jego mieszkańców.

Podobnie jak moja własna rodzina Bartnikowski został wypędzony z Warszawy i trafił do obozu przejściowego dla ludności cywilnej w Pruszkowie. Stamtąd, razem z mamą, Niemcy przenieśli go do Auschwitz. Bartnikowski, choć był małym chłopcem, dużo widział i dużo przeżył.

Jego relacja ujmuje autentyzmem i naturalizmem. Tutaj nie ma miejsca na bujną ani sztampę. Jest natomiast miejsce na gorzką prawdę. Choćby taki dialog między jedną z bohaterki książki – Helenką – a pewnym mężczyzną.

– To pan też jest powstańcem? Uśmiechnął się smętnie i nic nie mówiąc, pokiwał głową.

– To dlaczego pan jest tu?
– A po co mam być tam? Z czym tam iść moje dziecko... z tym? Wiesz, co to jest Sidelówka. Dużo dymu i huk. Jeśli oczywiście zechce wybuchnąć.

– Ale... mógłby pan nią zabić Niemców!

– Zabić... To byłby prawie cud. No i co potem? Tylko raz rzucę Sidelówkę i co dalej? Pięściami mam się bić? [...] To rzeźnia, moje dzieci. To nie ma sensu”.

Wstrząsająca książka. ©©

(p.z.)



BOGDAN BARTNIKOWSKI
„DNI DŁUGIE JAK LATA”
PRÓSZKOWSKI I S-KA

Aby w trakcie narastającej rywalizacji mocarstw w Eurazji wygrać grę z Rosją oraz Chinami i utrzymać supremację (a zatem obecny poziom gwarancji bezpieczeństwa wobec Polski), Amerykanie będą musieli wykazywać, że pomimo sporej odległości Waszyngtonu od Eurazji oraz kłopotów gospodarczych interesy USA na superkontynencie są tak ważne, iż Stany mogą ponieść takie same koszty jak znajdujący się w Eurazji Rosjanie czy Chińczycy i że są na takie wyrzeczenia gotowe. Tak było z pewnością w czasach zimnej wojny, gdy dzięki amerykańskiej postawie zachodni Niemcy oraz inni sojusznicy w zachodniej części kontynentu byli ostatecznie z grubsza przekonani (poza Francuzami), że Stany Zjednoczone będą bronić Europy Zachodniej nawet za cenę ataku nuklearnego na Waszyngton.

Czy w XXI w., w nowej sytuacji strategicznej w Eurazji, amerykańska postawa będzie taka sama? To pozwalałoby uspokoić Polskę lub Tajwan. Do tej pory w żadnej oficjalnej mowie przedstawicieli USA nie pojawił się jednak wystarczający argument strategiczny w tym konkretnym aspekcie. Szczególnie – jak i jakimi środkami (zamierzeniami) planowaliby to uczynić, zważywszy na wyzwanie, przed którym Waszyngton stoi. Taki argument strategiczny nie padł na pewno z ust Donalda Trumpa latem 2017 r. w Warszawie czy później podczas wizyty wiceprezydenta Pence'a, choć było w ich przemówieniach dużo ciepłych słów o Trójmorzu, były krytyka kontynentalnej biurokracji europejskiej oraz wiele pięknych zdań o wartościach i bohaterskiej przeszłości Polaków.

Co uczynią USA?

W szczególności powtarzany był argument, że Ameryka ma pozostać w Europie, by wspierać jej sojuszników. Jest to jednak argument nieprzekonujący, albowiem sojusze geostrategiczne nie polegają na czynieniu sobie przysług, lecz na zabezpieczeniu własnych interesów.

Również amerykańskie sojusze zawiązywane są po to, by służyły interesom USA, czyli po to, by USA mogły



Jacek Bartosiak

Znów nad Wisłą się martwimy, czy po wyborach w USA stan naszych gwarancji bezpieczeństwa nie ulegnie zmianie. Polityka jest grą dynamiczną, a nie statyczną. Zawody nigdy się nie kończą



RYŚ KRZYSZTOF WIRZYŃSKI

Sojusze nie są wieczne

utrzymać swoją korzystną pozycję w Europie i Azji. To jest konkretne spośiwo sojuszy. Jeśli Ameryka nie będzie potrzebowała utrzymywać swojej pozycji w Europie lub nie będzie już w stanie tego robić, to amerykańskie zobowiązania oraz amerykańska obecność i tak znikną.

Między Azją a Europą zachodzi jedna podstawowa różnica. W Azji po ewentualnym wycofaniu się Ameryki sojusznica wobec USA Australia będzie zmuszona współpracować z Chinami w ten czy inny sposób – bo Chiny to potęga gospodarcza. W Europie jest inaczej – Rosja jest gospodarczym słabeuszem,

więc państwa pomostu bałtycko-czarnomorskiego, zwłaszcza wsparte przez Niemcy, mogą sobie bez gospodarczej współpracy z Rosją śmiało poradzić. Tyle z perspektywy amerykańskiej.

A może będzie tak – jak mówił mi niedawno w rozmowie Peter Zeihan – że Amerykanie odchodzą z Europy na dobre i by nie wierzyć ich deklaracjom? Udają, że mają zamiar pozostać, bo to daje im wiarygodność. A wiarygodność jest walutą w sprawach międzynarodowych i dzięki niej mają ogromne wpływy polityczne w Polsce. Gdyby przyznali, że ich obecność będzie stopniowo słabła, traciliby wpływy już teraz, a tego by przecież nie chcieli!

Sojusze nigdy nie są wieczne, choć wiele osób tak właśnie myśli. Uważają tak zwłaszcza ci, którzy wierzą, że sojusze są oparte na więziach historii i kultury oraz na wspólnych wartościach, a nie na geostrategicznych interesach związanych z rozwojem, zapewnianiem bezpieczeństwa i ze wzmacnianiem potęgi. Takie fałszywe wyobrażenie o sojuszach, jakoby były one oparte na tożsamości, rodzi wiele negatywnych konsekwencji i pociąga za sobą błędy percepcyjne, także w grze statusowej między stronami, stwarzając mylne wrażenie, że ktoś komuś w ramach sojuszu robi przysługę.

Cena wolności

Zbyt często zdarzało się ludziom w Polsce myśleć w ten sposób, ale w stosunkach międzynarodowych tak to nie działa. Prawdziwe sojusze wymagają realnych zobowiązań oraz kosztów i tylko takie sojusze mają znaczenie, a wszelkie sentymenty ulatniają się jak poranna mgła, kiedy tylko zabraknie wspólnych interesów i celów. Gdy więc Ameryka zacznie odchodzić z Europy, nie będzie dzielić z sojusznikami swoich interesów.

Tak było wielokrotnie w historii świata. Na przykład, gdy we wczesnych latach 70. XX w. Wielka Brytania wycofała się strategicznie z Azji i Oceanu Indyjskiego pomimo niezaprzeczalnie bliskich więzi historycznych i językowych oraz wspólnych wartości z Australią. Ówczesny brytyjsko-australijski sojusz wyparował w ciągu jednej nocy. Wielkie przemowy nie uratują niczego, jeśli tylko sojusz nie ma praktycznego celu ani zasobów oraz

zabraknie wspólnych interesów, które pozwalałyby on realizować.

„Naród polski jest narodem wyjątkowo patriotycznym. Ten, kto umie poruszać struny naszego patriotyzmu, może wygrywać melodie zupełnie dowolne” – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz o niezrozumieniu istoty sojuszów.

Hugh White opisuje w swoim esej z jesieni 2017 r. („Without America. Australia in New Asia”), co by się stało, gdyby Trump zadzwonił nagle do premiera Australii, aby poinformować go, że wybuchła wojna z Chinami, i poprosić o solidarność sojuszniczą. White uważa, że premier Turnbull chyba nie miałby wyjścia i powiedziałaby „tak”, bo software polityki w Australii jest urządzony tak, a nie inaczej. Obecny premier Australii wydaje się też tak postąpić w razie kryzysu.

Zastanawiające jest w tym kontekście, jak zachowywałaby się Polska. Nie tylko wobec wybuchu wojny na zachodnim Pacyfiku (wobec tego też), lecz także, w szczególności, w sytuacji wojny w państwach bałtyckich – jak postąpiłaby Polska, zwłaszcza w konkretnej sytuacji wojskowo-strategicznej, gdyby powiedzenie „nie” mogło, owszem, zniszczyć wiarygodność sojuszu północnoatlantyckiego i niepodległość państw bałtyckich, ale nie zniszczyłoby Polski.

Hugh White dowodzi na przykładzie australijskim, że nieroztropnie jest wchodzić do wojny „z wekslem in blanco”, bez pełnego zrozumienia, jakie są konkretne cele końcowe (nie emocjonalne) wojny, co się w jej wyniku stanie oraz jakie są ryzyko i koszty wojny dla państwa. Nie lubimy myśleć w tych kategoriach, bo sami siebie utwierdzaliśmy w przekonaniu, że Polska nie może przetrwać bez zachodnich sojuszników.

Nawet słabsze państwa mają jednak pole manewru (chyba że są okupowane), pod warunkiem jednak, że są gotowe do zapłaty odpowiedniej ceny za wolność manewru.

Bez istnienia wiarygodności i siły Stanów Zjednoczonych oraz NATO polska polityka musiałaby siłą rzeczy polegać na zachowaniu maksymalnej niezależności po możliwie minimalnych kosztach w ciągłym napięciu balansowania wszędzie i na wszystkich kierunkach. Lub na porozumieniu się z Niemcami – zgodnie z ostatnimi ich propozycjami zgłoszonymi przez niemiecką minister

obrony (i zaakceptowaniu ich dominującej roli), ale z jednoczesnym zastrzeżeniem, że ostatecznym panem lennym nad Niemcami są Amerykanie ze swoimi zdolnościami nuklearnymi i z globalną projekcją siły (tak zresztą proponuje minister obrony Niemiec).

Zarządzanie przez Warszawę presją w przyszłości na superkontynencie Eurazji będzie wymagało zimnych głów i spokojniejszych nerwów. Dobrze przygotowane siły zbrojne państwa mogą zapobiec temu, by obce mocarstwo narzuciło swoją wolę przez podnoszenie mu kosztów i zwiększanie ryzyka związanego z ewentualnym atakiem.

Lad się kończy

Średnie państwa tak sobie właśnie będą musiały radzić w Eurazji, dysponując własnym systemem antydośpowym A2AD w systemie aktywnej obrony. Musimy się na takie czasy przygotować.

To zmusza do wyrzucenia poza schemat prymatu i odchodzącego już ładu postzimnowojennego, tak by dobrze rozegrać ewentualny moment przełomowy, nie dać się zaskoczyć i – parafrazując anegdotyczną odpowiedź niemieckiego feldmarszałka Helmutha von Moltkego – by mieć w szufladach scenariusze na wszystkie możliwe wydarzenia.

Państwa, które mają szczęście przeżywać złoty okres pauzy strategicznej, nie potrzebują realnie polityki zagranicznej na wysokim poziomie skomplikowania, ponieważ system światowy „działa” wówczas na nie samoczynnie – tak jak po 1991 r., a na pewno po roku 1999, gdy Rzeczpospolita przystąpiła do NATO, i po roku 2004, gdy wstąpiła do Unii Europejskiej. W innym wypadku państwa codziennie muszą dokonywać wyborów, podejmować trudne decyzje i dokonywać poświęceń, aby kształtować świat wokół siebie tak, by pozostać bezpiecznymi lub stać się bezpiecznymi i prosperującymi.

Nawet pozostając w sojuszu z USA, Niemcami czy Unią Europejską i tak należy dążyć do konsolidacji i rozwoju własnego obszaru rdzeniowego, bo wszelkie konstelacje z Niemcami, Unią Europejską czy ze Stanami Zjednoczonymi mogą nie być wieczne – w przeciwieństwie do Rzeczypospolitej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**Rafał A.
Ziembkiewicz**

Lubię musical „Cabaret”. Właśnie musical, jego wersję sceniczną. Film Boba Fosse’a, choć obsypany Oscarami, to już nie to. Sam nie wiem, co mnie w tym musicalu tak pociąga. Być może to, że jest on dowodem skuteczności kapitalistycznego zarządzania. Rzecz jest bowiem owocem pracy zbiorowej i to bardziej menedżerów niż artystów.

Zaczął się od średniej klasy amerykańskiego pisarza (mniejsza o nazwiska, zresztą kto ciekaw, ten znajdzie wszystkie w Internecie), który na początku lat 30. wybrał się do Berlina – ówczesnej światowej mekki homoseksualistów. Po dwóch latach musiał stamtąd wyjechać, wiadomo dlaczego, a ponieważ był pisarzem, napisał osnutą wokół swych przygód powieść „Pożegnanie z Berlinem”. Furory nie zrobiła, ale pewien „menago” uznał, że Amerykanin w Berlinie wczesnych lat 30. to dobry temat, wykupił prawa do książki i zatrudnił pisarza, żeby zaadaptował rzecz na scenę – pod nowym, nieco dziwnym tytułem „Jestem kamerą”.

Sztuka odniosła sukces równie miarkowany, ale potencjał zobaczył w niej inny „menago”, ze wspomnianego już Broadwayu, wykupił więc

Fosse’a. Ten, znowu, zatrudnił zespół autorów, którzy kompletnie rzecz przerobili: bardzo rozbudowali wątek Sally Bowles, która z Angielki stała się Amerykanką (dla równowagi rzeczony „pan kamera” z Amerykanina – Anglikiem), wymyślili nowe wątki i postaci, wyrzucili za to zupełnie główną bohaterkę musicalu, właścicielkę pensjonatu, i główny wątek – jej miłość z równie podeszłym w latach wdowcem, z którym zrywa zaręczyny, bo jest Żydem, a ona nie chce mieć kłopotów. Krytykowana za to przez Amerykanina odpowiada mu: łatwo panu się mądrzyć, bo w razie czego weźmie pan swoją walizkę i pojedzie gdzie indziej, a dla mnie ten pensjonat to całe moje życie i muszę tu zostać. I takie jest gorzkie przesłanie musicalu.

Film natomiast zrobił Fosse zupełnie o czym innym, o budzeniu się faszyzmu (piosenka „Jutro należy do mnie”, w musicalu śpiewana na zaręczynach starszych państwa, nie ma nic faszystowskiego, a cała reszta – jeszcze mniej). Wiele mądrego zresztą na ten temat nie powiedział, ale zrobił to na tyle ładnie, że w ostatnich latach już kilku polskich reżyserów teatralnych od-

/ Felieton

Praca zbiorowa

teraz on prawa, zatrudnił pisarza, tekściarza oraz kompozytora i kazał przerobić rzecz na musical. Przy czym robota dwóch ostatnich mu podpasowała, a pierwszego nie – nie wiem, czy go wylał, czy zapłacił za wykonaną pracę i wyrzucił ją do kosza, w każdym razie zatrudnił kolejnego autora, który dorobił fabułę i dialogi do już gotowych songów. Dopiero na tym etapie pojawił się tytuł „Cabaret”.

Musical był sukcesem, więc prawa z kolei wykupiło Hollywood, i tak trafił on w ręce

grażało się, że chcą wystawić „Kabaret”, by zdemaskować naturę rządów PiS, popisując się kompletną ignorancją co do treści sztuki – mimo że miała ona w Polsce szczęście do tłumaczy i kilka udanych wystawień.

W sumie więc kolejne przeróbki tekstu, robione na zlecenie kolejnych menedżerów, efekt dały dwuznaczny – sztuka sukces odniosła, ale w pamięci funkcjonuje raczej jako pomnikowa agitka niż opowieść o życiu prostych ludzi szukających w trudnych czasach i zawodach szczęścia. Możliwe też, że zagmatwanie praw autorskich sprawiło, iż film Fosse’a, mimo całej sławy, nie jest dziś dostępny na żadnej legalnej platformie ani nośniku. Sam mam jakieś dziwne DVD, z napisami w dwóch językach skandynawskich, i nigdy nie udało mi się znaleźć innego. ©©

Już kilku polskich reżyserów teatralnych odgrażało się, że chcą wystawić „Kabaret”, by zdemaskować naturę rządów PiS

/ Felieton



Piotr Semka

Rewolucja w pamięci

Nie wiem, czy niedawny ogromny wywiad z Leszkiem Moczulskim w „Gazecie Wyborczej” to ukłon z okazji 90. urodzin polityka czy efekt spełnionych nadziei na ostre tyrady przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu. Ten były lider Konfederacji Polski Niepodległej żyje dziś wraz z żoną Majką na zacisznej mazowieckiej wsi. Piszę książkę o „energii witalnej, którą ludzie wytwarzają, dopóki żyją” w konwencji badań multisekularnych. Wywiad liczy bite sześć stron – od wspomnień z lat okupacji do wróżby spektakularnego upadku PiS.

Mnie zainteresowała opowieść Moczulskiego o latach 70., gdy współzałożony przezeń Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela znalazł się pod środowiskowym ostrzałem Adama Michnika i Jacka Kuronia. Liderzy lewicy KOR-owskiej uznali ROPCiO za podejrzaną konkurencję dla KOR. Ostrzegali ówczesną opozycję przed Moczulskim jako moczarowcem z tygodnika „Stolica”, z brudnym epizodem udziału w marcowej propagandzie.

Jak Moczulski odnosi się do tego dziś?

Ciekawemu czytelnikowi odpowiem od razu. Nijak. Opowiada o tamtych starciach jak o jakichś żartobliwych nieporozumieniach.

„Z Jackiem Kuroniem tośmy się publicznie kłócili, ale prywatnie przyjaźniliśmy. On częściej mnie atakował niż ja jego. Nasza perspektywa to była Polska niepodległa. Jego perspektywa – PRL z ludzkim obliczem. Nam to nie przeszkadzało – bardzo dobrze, im bardziej

ludzkie ma oblicze PRL, tym szybciej dojdziemy do niepodległości. Dla mnie Kuroń nie był konkurentem, ale ja dla niego byłem”.

„Pytanie: On pisał, że pan jest oszołom, a pan – że on komunista.

L.M.: Jak spotykaliśmy się i rozmawialiśmy, byliśmy nastawieni przyjacielsko, a jak pisaliśmy, to już nie bardzo. Zaatakowałem go dwa razy. Raz, gdy Jacek napisał w pierwszomajowym »Biuletynie Informacyjnym« w 1979 r., że nie możemy dopuścić do wybuchu społecznego, bo to oznacza wkroczenie Armii Radzieckiej, i na 50 lat mamy spokój. Zaatakowałem go wtedy w »Rewolucji bez rewolu-

Leszek Moczulski znalazł się w obozie antykaczystów i nie chce rozgrzebywać sporów z tymi, do których mu dziś bliżej

cji», bo w naszym planie najważniejszą rzeczą było właśnie doprowadzenie do eksplozji społecznej, ale bezkrwawej, i przekształcenie jej w strajk okupacyjny. Drugi raz w 1987 r., kiedy napisał tekst »Krajobraz po bitwie«, z którego wynikało, że już po Solidarności. To ja mu napisałem »Krajobraz przed bitwą« – że władza ma dość i należy rozbudowywać struktury, przywrócić Solidarność, bo idzie nowy wybuch”.

W podobnym stylu Moczulski pisze o Michniku.

„Kiedyś Adam [Michnik] w jednym z czasopism przykleił się do mnie za zdanie w »Memoriale«, że problemy muszą załatwiać tylko Polacy z Polakami, a należy wykluczyć niepolskie ośrodki wpływu. On to odebrał, że jestem antysemitą. Ale sens całego »Memoriału« był inny. Napisałem mu więc, że najwyższy czas przestać być enfant terrible polityki. Adama wtedy nie znałem, chociaż w latach 60. podczas jakiejś dyskusji historycznej podszedł do mnie chłopak, nie wiedziałem, jak się nazywa, prosił o jakieś wyjaśnienia. Rozmawialiśmy długo, bo chłopak był inteligentny, łapał rozmaite rzeczy. Potem się spotkaliśmy w więzieniu, a dzisiaj się przyjaźnimy”.

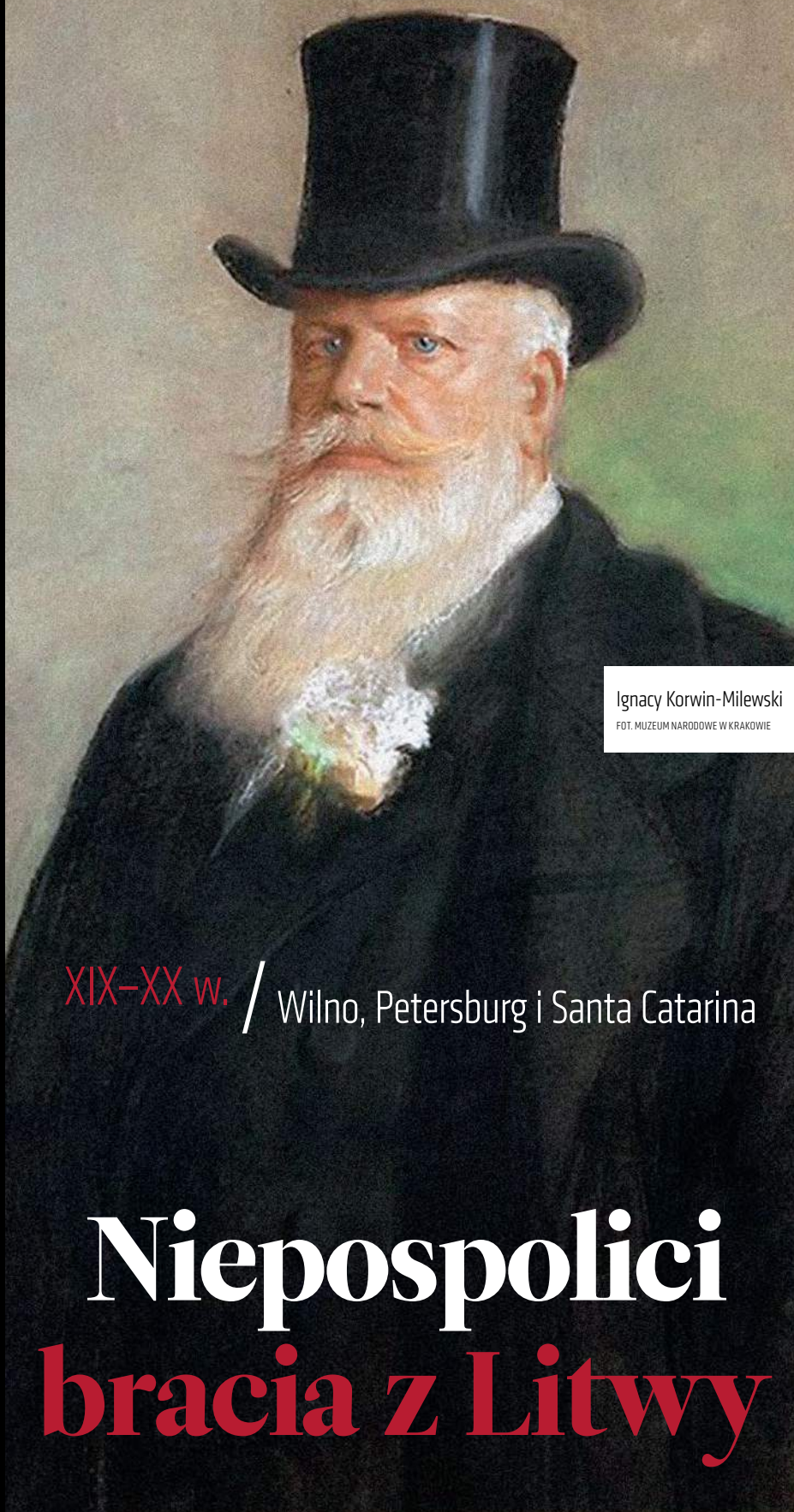
„Pytanie: Zarzucał panu antysemityzm?

L.M.: To się wtedy wrogom łatwo zarzucało. Myśmy bronili AK, powstania warszawskiego, a ludzie z opozycji lewicowej uważali, że jesteśmy nacjonaliści”.

Ciekawe. Aż prosiłoby się, aby szerzej opowiedzieć, dlaczego kult powstania mógł w latach 70. ściągać zarzut antysemityzmu, ale Moczulski wątku nie ciągnie.

No cóż, Leszek Moczulski ma prawo machać ręką na tamte spory. Znalazł się w obozie antykaczystów i nie chce rozgrzebywać sporów z tymi, do których mu dziś bliżej.

Nie widać jednak na rynku prac młodych historyków, którzy tamte konflikty opisali tak, jak było naprawdę. I dlatego czytając tę wersję wydarzeń z lat 70., poczułem się trochę jak bohater Orwella. ©©



Ignacy Korwin-Milewski
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

XIX–XX w. / Wilno, Petersburg i Santa Catarina

Niepospolici bracia z Litwy



Tomasz Stańczyk

/ Ignacy i Hipolit Korwin-Milewscy byli barwnymi postaciami, skłóconymi ze sobą oryginałami...

Przodkowie braci wywodzili się z Mazowsza, jednak przenieśli się do Wielkiego Księstwa Litewskiego w wieku XVIII. We wstępie do „Siedemdziesięciu lat wspomnień” Hipolita Korwin-Milewskiego profesorowie Andrzej Szwarz i Paweł Wieczorkiewicz pisali: „Jako że byli dobrą, herbową szlachtą, po paru dziesięcioleciach, choć nie bez oporów, zaakceptowali ich przedstawiciele tradycyjnej arystokracji byłego Wielkiego Księstwa”.

Oskar Milewski, ojciec Ignacego (ur. 1846 r.) i Hipolita (ur. 1848 r.), był ciekawą postacią. Poza tym, że zajmował się swoim majątkiem, chwycił za pióro i był autorem librett do oper Stanisława Moniuszki. „Główna jego zasługa polega jednak na spopularyzowaniu dzieł i osoby opery narodowej w środowisku wileńskim” – oceniali wspomniani profesorowie. Matka Ignacego i Hipolita wywodziła się z rodziny Wołk-Łaniewskich. Odziedziczyła po niej gwałtowność, przejawiającą się w stosunkach z mężem, który jednak nie dawał sobie w kaszę dmuchać, a w każdym razie – nie zawsze.

Pewnego razu tak to wprawiło jego żonę w gniew, że „przez złość zaniemówiła przez cały rok. Było to w okresie wielkiej emigracji w Paryżu. Pani Weronika, pomimo niemoty, nie poniechała stosunków ze światem, a żeby z ludźmi porozmawiać, prowadziła ze sobą dziesięcioletnią córeczkę Marysię, która umiała z jej znaków zgadywać jej myśli, z nią mówić” – opowiadał Walerian Meysztowicz w „Gawędach o czasach i ludziach”.

Tę stanowczość, twardy charakter, odziedziczyli po matce synowie.

Studiowali prawo w Dorpacie. Różniło ich to, że Hipolit obracał się w towarzystwie polskim, podczas gdy

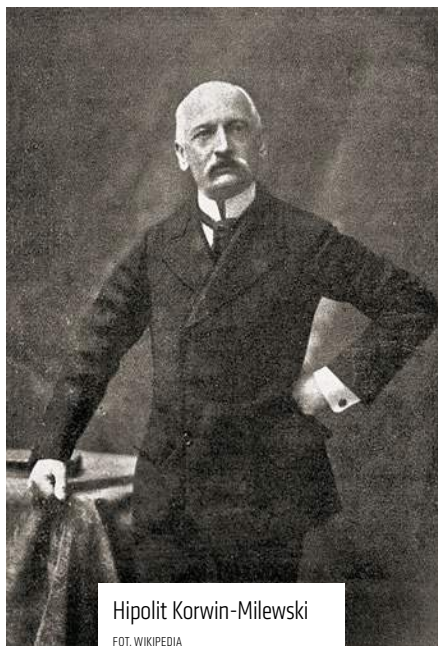
Ignacy w niemieckim, choć są informacje, że uważał się za członka korporacji Polonia. Hipolit uznawał się nie bez podstaw za eksperta od prawa, co będzie wykazywał z satysfakcją w rosyjskiej Dumie i pouczał jej członków. Ignacego bardziej pociągała sztuka, dlatego przerzucił się na studia w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych, w latach 1870–1875. Zaważyły na jego życiu i działalności. Oceniał bowiem samokrytycznie, że nie będzie dobrym malarzem, więc porzucił pędzel na rzecz kolekcjonerstwa obrazów.

Pierwsza rzecz, która skłóciła braci, to podział rodzinnego majątku. Ignacy otrzymał Geranony, Hipolit – Łazduny, ale Ignacy czuł się pokrzywdzony. Jego stronę wzięła matka i w efekcie Hipolit wytoczył jej proces. Ignacy uzyskał tytuł papieskiego hrabiego, podobno na podstawie tego, że kiedyś majątek Geranony był hrabstwem. Hipolit ani jego ojciec nie zamierzali jednak używać tytułu. Patrzyli nań jak na „włoską różę przypiętą do polskiego szlacheckiego kożucha”. Sprawa nie jest jednak jasna, Sławomir Leitgeber w „Nowym almanachu błękitnym” stwierdza bowiem, że to ojciec Ignacego i Hipolita otrzymał tytuł od papieża dla siebie i synów.

Mecenas malarzy

Hipolit nie lubiący Ignacego przyznawał jednak, że brat miał szczęśliwą rękę do interesów, kupując m.in. działkę na ziemiach ukraińskich, pod którą były pokłady soli. Ignacy z guberni wileńskiej musiał jednak zniknąć, gdyż naraził się dwóm kolejnym generacjom gubernatorów. Pierwszy zmusił go do zaniechania transakcji zakupu nieruchomości w Wilnie bądź jej odstąpienia, po zaciekłym sporze. Drugi postanowił ukarać za opór harrego Polaka i zabronił mu pobytu w generał-gubernatorstwie wileńskim. Ignacy musiał za jedną trzecią wartości sprzedać swój wileński pałac.

Pieniądzy miał jednak Ignacy na tyle dużo – także w wyniku ożenku z Jadwigą Umiastowską – że stać go było na podróże po świecie, wystawne życie, mecenas nad polskimi malarzami oraz kupowanie ich dzieł. W 1895 r. odkupił od arcyksięcia Karola Stefana Habs-



Hipolit Korwin-Milewski

FOT. WIKIPEDIA



Cecylia Włodzimirska

FOT. ARCHIWUM

burga z Żywca jacht parowy i przemianował go na „Litwę”, odbywał na nim podróże po morzach, które następnie opisywał.

„Uważał się czy to za Litwina, czy za skrajnie lojalnego obywatela rosyjskiego »polskiego pochodzenia«, ale w gruncie rzeczy czuł się kosmopolitycznym arystokratą, któremu samo pojęcie patriotyzmu było obce” – oceniał Andrzej Ryszkiewicz, autor życiorysu hrabiego w „Polskim Słowniku Biograficznym”.

Jednakże był mecenasem artystów i kolekcjonerem współczesnego mu malarstwa polskiego, „wyrzniętym estetą” i „największym zbieraczem malarstwa swoich czasów” – jak stwierdzał Ryszkiewicz – a szczególnie lubił obrazy polskich „monachijszczyków”. Był więc patriotą, ale szczególnie rodzaju – uznał, że musi pomóc twórcom polskiej kultury i jednocześnie zebrać kolekcję prac świadczących o ich artyzmie.

Był hojnym nabywcą i sponsorem, głównie zamawianych prac, płacił, ale wymagał intensywnej pracy i wtrącał się do procesu tworzenia obrazów. Szczególnie wyróżniał i dotował Aleksandra Gierymskiego. To właśnie z inicjatywy Ignacego Korwin-Milewskiego powstało kilkanaście autoportretów polskich malarzy w jednej stojącej pozie, z paletą w rękę. Wyłamał się tylko Matejko, którego obraz „Stańczyk” posiadał Korwin-Milewski w swoich zbiorach. A liczyły one ponad 200, może nawet 300 obrazów takich znakomitych twórców jak – obok już wspomnianych – Chełmoński („Babie lato”), Malczewski, Wyczółkowski, Ajdukiewicz, Axentowicz.

Zamierzał z tej wyjątkowej kolekcji uczynić pod koniec XIX w. hojny dar dla Krakowa, ale zażądał miejsca pod budynek muzealny na pl. Szczepańskim. Rajcy nie zgodzili się na to. Ostatecznie zbiory znalazły swe miejsce na kupionej przez Milewskiego od Habsburgów wyspie Santa Catarina, naprzeciwko Rovinji (wówczas Austro-Węgry, dziś Chorwacja). Zbudował tam pałac według projektu znanego architekta Teodora Talowskiego.

Z pasją hrabiego Ignacego do kolekcjonowania malarstwa związany był poniekąd głośny skandal obyczajowy. Milewski miał bowiem romans z modelką malarza Wodzinowskiego – Cecylią Włodzimirską, mężatką. Chciała zostać utrzymanką bogatego mężczyzny, który spłaciłby jej rzekome długi. Sprawa związku Korwin-Milewskiego skończyła się burzliwie: w 1910 r. na dworcu w Wiedniu strzelał do „narzeczonego” swojej utrzymanki. Podczas procesu – jak relacjonował krakowski „Naprzód” – Włodzimirska zeznawała, że to jej adwokat namawiał ją do znajomości z Milewskim, miał dostawać 10 proc. pieniędzy wyciągniętych

■ przez nią od hrabiego. To jednak nie wszystko – o układzie miał wiedzieć mąż i godzić się nań w zamian za różne podarki.

Konserwatywny lojalista

Hipolit Korwin-Milewski obracał się między swoim majątkiem w Łazdunach, Wilnem i Petersburgiem. Do stolicy Rosji jeździł jako wybrany z guberni wileńskiej członek Rady Państwa, izby parlamentu. Na wiecu wyborczym oświadczył, że jak najbardziej będzie dbał o interesy Polaków, ale będzie też reprezentował interesy innych narodowości, nie wyłączając Żydów.

rynierzami” – dopiero po tym, jak oni się zadeklarowali, i po tym, jak uzyskał obietnicę od Mirskiego, że zostaną skasowane dwa ukazy zabraniające Polakom obrotu ziemią i nabywania jej. Inaczej przedstawiał tę sprawę inny ziemianin, Aleksander Jałowicki, pisząc we wspomnieniach, że to pan Hipolit mocno i przekonująco agitował ziemian do przybycia pod pomnik. Był więc pierwszym, nie ostatnim, który dołączył do „kataryniarzy”.

Gdy na fali rewolucji 1905 r. rozpoczął się proces ograniczonej demokracji, represyjne ukazy zostały zmienione, pozwolono także na wydanie pierwszej w Wilnie od powstania styczniowego gazety – „Kuriera Litewskiego”. Założył to pismo Hipolit Korwin-Milewski i choć polityczna linia

języku mszy. Opisywał we wspomnieniach „wojnę kucharek” w kościołach w Wilnie w 1912 r. Litwini, którzy stanowili może 2 proc. ludności miasta, domagali się mszy w swoim języku nie tylko w jednym kościele, lecz także we wszystkich. Niejaka pani Wilejszysowa „zorganizowała batalion kucharek lub służb prywatnych, z których wyłącznie składała się kolonia litewska w Wilnie; te jednocześnie ze śpiewami polskimi ryczały po litewsku, by zagłuszyć śpiew polski”. Polki zorganizowały się i zmusiły Litwinki do milczenia.

W tym właśnie czasie Korwin-Milewski współfinansował budowę w Wilnie siedziby polskiego teatru. Do założonej w celu jego wzniesienia spółki wniósł najwięcej rubli. Realizację projektu potraktował bardzo krytycznie. Wybrani w konkursie architekci przedstawili niewiarygodny, robiony „na oko” kosztorys, a projekt był tak niechlujny, że trzeba było dodatkowym kosztem przebudować widowie. Gmach na Pohulance do dziś służy teatrowi, lecz rosyjskiemu, choć jego inwestorzy zastrzegali, że mają się tam odbywać wyłącznie przedstawienia polskie.

Ignacy Korwin-Milewski pozazdrościł bratu działalności politycznej i stanowiska w Dumie (Hipolit zrezygnował z niego w 1909 r.), przebił go jednak swoim lojalizmem. W broszurze „Głos starego szlachcica” zalecał „złanie się szlachty naszego kraju z rosyjską”. Hrabia Ignacy pojechał do Petersburga, wynajął tam salę i wygłosił odczyt prezentujący to właśnie stanowisko. Dla Hipolita oznaczało to poważne kłopoty i komplikacje, gdyż część prasy warszawskiej wiedziała tylko o aktywności w stolicy Rosji właśnie jego, a nie brata – „z niepojętą dla mnie dotychczas lekkomyślnością wszystko zwała na mój kark”. Hipolit dał więc do druku sprostowanie, że to nie chodzi o niego. A wtedy Ignacy się szalenie obraził i zaczął nazywać Hipolita „byłym bratem”. Stosunki między nimi zostały definitywnie zerwane.

Jak można sądzić, myśl Ignacego Korwin-Milewskiego o „złaniu się” szlachty „naszego kraju” z rosyjską miała też na celu, by szlachta dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego odgrywała taką rolę w Rosji jak szlachta niemiecka z rosyjskich krajów nadbał-



Cmentarz Na Rossie. Grób matki braci Milewskich, w którym pochowano serce Ignacego. FOT. DEZIDOR/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

Był konserwatystą i lojalistą. Brał udział w odsłonięciu pomnika Katarzyny II w Wilnie w 1904 r. Odchodzący ze stanowiska generała-gubernatora księżę Mirski zapewniał polskich ziemian, że mógłby coś zrobić dla społeczeństwa polskiego w kwestii zniesienia represyjnych przepisów wydanych po powstaniu styczniowym, ale zaapelował o danie dowodu lojalności przez uczestnictwo w odsłonięciu pomnika. W swoich wspomnieniach pisał, że zgodził się dołączyć do ziemian zdecydowanych na wzięcie udziału w uroczystości – nazwano ich „kata-

pisma była jak najbardziej lojalistyczna, to odegrało ono dużą rolę, będąc m.in. trybuną dla polskich pisarzy, a Eliza Orzeszkowa była nawet kierowniczką literacką gazety. Hipolitowi znudziło się szybko pisanie artykułów politycznych, nie chciał jednak gazety sprzedąć – i nie sprzedał – abp. Edwardowi Roppowi, gdyż uznał, że hierarcha nada jej charakter „chrześcijański, socjalistyczny i litwomański”.

Milewski sprzeciwiał się wprowadzaniu języka litewskiego do kościołów, gdyż uważał, że mało kto go rozumie i chce słuchać w tym

tyckich, nie wyrzekając się ani języka, ani religii.

Nie poczuwał się do żadnej łączności ze szlachtą z Królestwa Polskiego, uważał, że znad Wisły szły impulsy buntownicze (powstania listopadowe i styczniowe), które również nad Niemnem przyniosły ciężkie represje i konfiskaty polskich majątków ziemskich. Akurat w tym względzie zgadzał się z bratem Hipolitem, który uważał powstanie styczniowe za niemal zbrodnię.

Los majątku i kolekcji

W 1919 r. Hipolit Korwin-Milewski wrócił do Polski z Francji, gdzie podczas wojny czynnie zaangażował się w popieranie sprawy polskiej. Nie osiadł jednak w swoim majątku w Łazdunach, kompletnie zdewastowanym i rozgrabionym przez wojska podczas pierwszej wojny światowej, także przez polskie wojsko walczące z Armią Czerwoną. Zamieszkał w Poznaniu i zaczął pisać wspomnienia. Zmarł w 1932 r.

Dziesięć lat wcześniej Ignacy Korwin-Milewski miał wylew, a potem „ciężko obraził swoją separowaną żonę”. Nie wiadomo jednak, na czym polegało jego przewinienie, ale o stosunku żony do męża świadczyło to, że pakiet korespondencji, którą otrzymywała od niego, zatytułowała „Listy potwora”. Zaczęła go – jak pisał Andrzej Ryszkiewicz – ścigać sędownie po całej Europie, a resztki jego majątku zostały obłożone sekwestrem. Żył do 1926 r. na swojej wyspie.

Dziś na wyspie Santa Catarina (Sveta Katarina) znajduje się hotel, który zawiera w sobie mury pałacu Korwin-Milewskiego. Hrabia pochowany został w Rovinj, ale jego serce spoczęło na Rosie, w grobie matki. Podobnie jak 10 lat później serce marszałka Piłsudskiego, przy trumnie matki sprowadzonej z Litwy na Rosę...

Niestety, wspaniała kolekcja malarstwa, zgromadzona przez Ignacego Korwin-Milewskiego, uległa rozproszaniu. Proponował, by nabyło ją państwo polskie, ale nie znaleziono się na to pieniędzy w odbudowującym się po wojennych zniszczeniach kraju. Niektóre z arcydzieł z kolekcji hrabiego znajdują się w Muzeum Narodowym w Warszawie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Straszny Józef



Tomasz Stańczyk

Antoni Rolle, autor szkicu o Józefie Stempkowskim, nazywał go „egzekutorem”. Tego samego określenia używa się dziś m.in. w kontekście drugiej wojny światowej wobec ludzi wykonujących wyroki śmierci podziemnej organizacji. Stempkowski był jednak „egzekutorem” innego rodzaju. Być może nikogo sam nie zabił, ale decydował o egzekucjach na wielką skalę. Ofiarami jego decyzji było kilka tysięcy chłopów, którzy wzięli udział w buncie Gonty i Żeleźniaka na dalekich ukraińskich ziemiach Rzeczypospolitej w 1768 r. Egzekutor Stempkowski miał za co karać.



Wybuch powstania miał kilka przyczyn: ucisk chłopów przez szlachtę, wyzysk przez Żydów, mowa nienawiści duchownych prawosławnych i najpewniej także inspiracja rosyjska. Bunt był krótki, gwałtowny – trwał dwa miesiące – i potwornie krwawy. Aż trudno uwierzyć w szacunki – 100–200 tys. ofiar: szlachta, Żydzi, księża rzymskokatolicki. Sama tylko rzeź w Humaniu miała przynieść kilkanaście tysięcy zabitych.

Sytuację opanowało wojsko koronne pod wodzą Franciszka Ksawerego Branickiego – jego prawą ręką był Stempkowski jako oboźny – ale też przy współudziale wojsk rosyjskich. Odwet był tak brutalny, że szlachta prosiła o jego złagodzenie. Traciła bowiem chłopów do pracy, inni uciekali do Rosji. Interweniował król Stanisław August. Ten subtelny intelektualista i delikatny człowiek proponował zamiast egzekucji wszystkich buntowników co 10. odcinać rękę i nogę...

Stempkowskiego otoczyła pełna grozy legenda „Straszno Józefa”. „Drogę swoją znaczył szubienicami – pisał Rolle – lada kmięć podejrzany szedł na gałąź”. Stempkowski nie prowadził śledztwa, nie bawił się w sąd. „U niego każdy pojmany był zbrodniarzem, kandydatem do szubienicy”.

Stempkowski, tak jak Franciszek Ksawery Branicki, urosł do rangi magnata dzięki nadaniom i urzędowi, których nie skąpił mu Stanisław August. Został senatorem, wojewodą kijowskim, starostą winnickim. Kupił też dobra z siedzibą w Łabuniach. Jako magnat świeżej daty wybudował tam imponujący pałac. Miał w nim okazję pokazać inną, niż okrutną, twarz. Rolle nazwał go „epikurejczykiem”, który dogadzał wszystkim zmysłom. Stawał się popularny wśród szlachty, gdyż nie szczędził grosza, zapraszając ją na biesiadę i pijaństwo. Stempkowski miał puchar, w który wlewano pięć butelek wina, a trzy wchodziły do nakrytych pucharu. Kilku tylko gości „Straszno Józefa” potrafiło poradzić sobie z tą objętością trunku. „Życie ubiegło wśród ciągłej uciechy i uczty nieustannej, w gronie pięknych, swawolnych i pobłażliwych niewiast” – stwierdzał Rolle. © ©



Maciej Rosalak

Brytyjczycy, Amerykanie, Polacy i Niemcy mieli wedle Churchilla ruszyć na Sowietów już w lipcu 1945 r. Dlaczego tego nie zrobili? A co by było, gdyby ruszyli?

Prace nad planem antysowieckiej ofensywy o nazwie Operation „Unthinkable” (operacja „Nie Do Pomyślenia”) Winston Churchill polecił w pierwszej połowie kwietnia 1945 r. wąskiemu Komitetowi Szefów Sztabów, a ten z kolei Wspólnemu Sztabowi Planowania. Nie więcej niż 10 osób wiedziało o tych przygotowaniach i w nich uczestniczyło. Założeniem było rozpoczęcie ofensywy już 1 lipca 1945 r.!

O planach trzeciej wojny światowej pisałem obszernie dwa lata temu („HDR” nr 63), a przed sześciu laty („HDR” nr 14) ciekawy wywiad z Jonathanem Walke-rem – autorem książki „Trzecia wojna światowa. Tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina” – zamieścił Piotr Włoczyk. Publikacje były oparte na odtajnionej w 1998 r. części założeń Operation „Unthinkable”, ale bez nadal utajnionych szczegółów konkretnych działań militarnych i politycznych. Chociaż nie należę do entuzjastów historical fiction, to korci, aby w tym przypadku postawić pytanie: Co by było, gdyby...? Nie nakreślę jednak w odpowiedzi jakiegoś wymyślanego scenariusza zdarzeń, tylko chciałbym zwrócić uwagę na kilka okoliczności nie w pełni chyba branych pod uwagę przez marsz. Alana Brooke’a i jego kolegów z Komitetu Szefów Sztabów.

4:1 dla Sowietów

W największym skrócie przypomnę ocenę brytyjskich sztabowców. Zakładali oni ofensywę ograniczoną do osiągnięcia linii Gdańsk – Wrocław – Kotlina Kłodzka



General US Army George Patton
– nieustraszony i niezwytyczony
w ataku FOT. J. C. LEYENDECKER/DOMENA PUBLICZNA

1945 r. / Operacja „Unthinkable”
jednak do pomyślenia

Trzecia wojna światowa o Polskę

po natarciach na głównych kierunkach: Szczecin – Piła – Bydgoszcz oraz Lipsk – Cottbus – Wrocław, wraz ze skierowaniem części sił ku Poznaniowi. Potem poczekaliby z uwagi na ewentualne kontruderzenie z terenu Czechosłowacji (zakładano przy tym czesko-sowiecki sojusz), a ich celem byłoby wydarcie Moskwy – naciskiem zbrojnym i politycznym – ziem niemieckich oraz polskich.

I tu pierwsza uwaga: Jakich ziem niemieckich? Do granic z 1937 r.? Czy może – zgodnie ze stanowiskiem zajmowanym w Poczdamie przez Churchilla i planem ofensywy właśnie do tej linii – po Nysę Kłodzką? A więc Polska zostałaby bez znacznej części Dolnego Śląska z Wrocławiem? A co ze Szczecinem i z Pomorzem Zachodnim? Jeśli alianci zajęliby Gdańsk i Bydgoszcz, wówczas oznaczałoby to front wzdłuż dolnej Wisły, a następnie między Wielkopolską a Mazowszem ku ujściu Nysy Kłodzkiej do Odry. To oczywiście tylko linia frontu, a nie przyszłych granic, ale daje do myślenia.

A jakiej granicy wschodniej dla Polski domagaliby się nasi anglosascy alianci, konsekwentnie trzymający się od 1918 do 1945 r. pomysłu „linii Curzona”? Polskiego państwa bez Małopolski Wschodniej, zachodniego Wołynia, Nowogródczyzny i Wileńszczyzny? Czy – mając u boku trzy uzbrojone armie niemieckie – nadal skłonni byłiby przyznawać Polsce Prusy Wschodnie? Jeśli też nie, to nagle okazałoby się, że narzucone przez Stalina granice PRL były dla nas bardziej korzystne...

Ogromny niepokój Stalina wywołało przechwycenie depeszy Churchilla do marsz. Bernarda Montgomery'ego, w której nakazywał zbieranie i konserwację zdobycznej broni niemieckiej. Kazał więc marsz. Georgijowi Żukowowi ostro zaprotestować przeciw magazynowaniu oręża wroga. Montgomery oczywiście odrzucił oskarżenia o przygotowywanie nowej wojny, ale każdy z zainteresowanych dowódców wojskowych najwyższego szczebla mógł się domyślać, co się święci.

Jeszcze do stycznia 1946 r. stacjonowały na terenie Szlezewika-Holsztynu trzy rozbrojone armie niemieckie utrzymywane przez Brytyjczyków na wypadek wojny z ZSRR. Ich dowódcami byli generałowie Hans Lindemann, Günter Blumentritt oraz Johannes Blaskowitz, podczas kampanii wrześniowej dowódca

8. Armii polowej, który ostro protestował przeciw mordom dokonywanym na polskich jeńcach wojennych, a nawet stawiał przed sądy polowe odpowiedzialnych za to oficerów. Blaskowitz był jedynym dowódcą armii z kampanii 1939 r., który później nie awansował. Jego rzekomo samobójcza śmierć (luty 1948 r.) w norymberskim areszcie śledczym była zapewne morderstwem dokonanym

dywizji alianckich. Niekorzystne proporcje nieco zmieniłoby użycie na nowo organizowanego wojska niemieckiego w liczbie 10 dywizji. W broni pancernej stosunek sił wynosił 2 do 1. Jednak już w lotnictwie, zarówno myśliwskim, jak i bombowym (wyłączywszy natomiast szturmowe), zdecydowana przewaga była po stronie Zachodu. Royal Navy górowała wyraźnie nad czerwoną flotą.



Premier Churchill i gen. Anders nie mieli złudzeń co do Sowietów

FOT. NPG.ORG.UK

z zemsty przez esesmanów. Jednak latem 1945 r. tysiące znakomicie wyszkolonych wojskowo Niemców, pragnących odwetu za gwałty i rzezie dokonywane tak niedawno przez krasnoarmiejców na ich rodzinach, stanowiły – czy nam się to podoba, czy nie – wartościową rezerwę bojową Zachodu. Bez esesmanów z formacji o charakterze policyjnym – ma się rozumieć. Ich Polacy by nie znieśli jako „towarzyszy broni”.

Ryzyko zbyt duże

Przewaga ponad 200 dywizji Armii Czerwonej nad 47 dywizjami Anglosasów (w tym czterema polskimi), jakie mogły być – zdaniem planistów – użyte w Europie Środkowej, wynosiła 4 do 1. Przy czym planiści obliczali tu nie (jeszcze większą) liczbę dywizji Armii Czerwonej, ale ich „równowartość” w stosunku do

Nawet przewidziano alianckie desanty na południowym wybrzeżu Bałtyku.

Tylko sowieckie dywizje gwardyjskie – niestanowiące nawet połowy wojsk – miały pełne stany ludzi i uzbrojenia, co pozwalało im na w miarę samodzielne działania. Armia Czerwona nauczyła się gromić coraz słabszych po klęsce na łuku kurskim Niemców pancernymi uderzeniami, za którymi wlewały się masy niezważających na śmierć piechurów – głównie ze „zwykłych” dywizji strzeleckich i oddziałów karnych. Czy jednak wystarczyłoby to na świetnie dowodzone, uzbrojone i zaopatrywane wojska, mające przy tym absolutną przewagę w powietrzu i na morzu? Czy prymitywny „rzeźnik” Żukow sprostaby amerykańskiemu mistrzowi ofensywy – gen. George'owi Pattonowi?

Przed osiągnięciem linii Gdańsk-Wrocław miały zostać zgniecione sowieckie siły pancerne. Liczono, że Stalin będzie



Rok 1945. Defilada nowej polskiej 2. Dywizji Pancernej (Warszawskiej).

Dalej – odznaka WDPanc. i znaczek z gen. Pattonem FOT. NAC

■ parł do starcia czołgów i w okolicach Piły dojdzie do ogromnej bitwy – o wiele większej od batalii na łuku kurskim – gdzie zetrze się 20 pancernych dywizji alianckich z 36 dywizjami sowieckimi. Zwycięstwo pozwoli umocnić się na osiągniętej rubieży, a alianci nie będą wciągani przez wroga coraz dalej na wschód, jak to się stało z Niemcami w 1941 r. Miało to zmusić Stalina do rezygnacji z ujarznienia Europy Wschodniej. Nauczeni smutnym doświadczeniem Hitlera, brytyjcy wojskowi słusznie przestrzegali przed ofensywą w głąb Rosji („wojną totalną”, jak ją nazwali), bo nie widzieli szans na jej powodzenie. Stwierdzili: „Nie ma takiej granicy, której przekroczenie przez aliantów złamie rosyjski opór. Nie można też założyć, że alianci byłiby w stanie wejść tak daleko w Rosję jak Niemcy w 1942 r., a i to nie przyniosło im sukcesu”.

Planiści brytyjcy nie zgłębili jednak powodu poddania się kilkumilionowych wojsk sowieckich latem 1941 r. na froncie, czyli tego, że Rosjanie mieli dość bolszewickich rządów terroru i czekali na Niemców jak na zbawienie. Tymczasem doczekali się kolejnych zbrodni i opresji ze strony obcego najeźdźcy. A jak zachowywaliby się obywatele sowieccy, gdyby latem 1945 r. spotkali cywilizowanych żołnierzy, rzeczywiście zapewniających im godne i bezpieczne warunki życia?

Odpowiedź na pytanie, dlaczego w 1945 r. Stalin sam nie ruszył dalej na zachód, jest prosta: bo nie dałby rady. Krasnoarmiejcy – jak wynika choćby z takich wspomnień jak znakomity „Sołdat” Nikołaja Nikulina – byli już wysoce zdemoralizowani i woleli rabować oraz gwałcić, niż dalej się bić i ginąć „za Stalina!”. No i ujrzeni, jak naprawdę żyją ludzie w Europie. Zresztą bez dostaw zachodniego sprzętu, materiałów i żywności Armia Czerwona rychło straciłaby znaczną część swej mocy. W miarę upływu czasu byłoby tylko coraz gorzej. Niewykluczone, że skończyłoby się rewoltą samych

Rosjan i nie pomogłyby rozstrzeliwania ani masowo zapewniane łagry. Oto czego bał się – niebezpiecznie – towarzysz Stalin.

Nie tylko dysproporcja w siłach lądowych i niezmierzone zaplecze strategiczne Rosji, lecz także spodziewany brak poparcia społeczeństwa brytyjskiego oraz niechęć Amerykanów do dalszej wojny w Europie (przy kłopotach z Japończykami na Pacyfiku) zadecydowały o stanowisku brytyjskich strategów. Na przełomie maja i czerwca stwierdzili, że operacja jest „wysoce ryzykowna”, i podali te wszystkie argumenty przemawiające za pozostawieniem jej w sferze gier strategicznych.

Gdyby jednak...

Gdyby Churchill przekonał Trumana o konieczności zapobieżenia ujarzmieniu Europy Środkowo-Wschodniej przez Stalina, to może przewencyjna ofensywa zostałaby jednak wszczęta. Co ciekawe, jak wynika z dokumentów opublikowanych stosunkowo niedawno przez brytyjski „Daily Star”, USA brały pod uwagę w 1945 r. wojnę atomową z ZSRS. W notatce sztabowej skierowanej 15 września do szefa amerykańskiego projektu jądrowego gen. Lesiego Grovesa podano nawet, że potrzeba byłoby 466 bomb zrzuconych na 66 głównych sowieckich miast, aby zniszczyć kluczowe centra infrastruktury, zakłady zbrojeniowe oraz bazy wojskowe.

Tyłu bomb Amerykanie wówczas nie mieli. Nawet w 1949 r., w chwili gdy powstał ich pierwszy plan wojny przewencyjnej z uderzeniem jądrowym na Sowiety (Dropshot), posiadali dopiero 200 bomb. No, ale ZSRS nie miał jeszcze żadnej, a poza tym – jak dowodził przywódca Japonii z sierpnia 1945 r. – psychologiczny efekt wybuchu nuklearnego powodował jeszcze bardziej piorunujące skutki niż efekt militarny. Churchill był

podczas wojny na bieżąco informowany o postępach jądrowego programu „Manhattan”, ale nie wygląda na to, aby wiosną 1945 r. on i jego sztabowcy doceniali wagę tego efektu...

Truman – w przeciwieństwie do swojego poprzednika, grabarza wolnej Polski Franklina D. Roosevelta – skorzystałby przy tym zapewne z okazji do przedstawienia Kraju Rad w jego prawdziwej, odrażającej postaci. Oczywiście, musiałby przekonać do tego Departament Stanu, a następnie amerykańską opinię publiczną. Radio, film i gazety oraz początkująca telewizja musiałyby otrzymać wstrząsające argumenty, a wtedy znalazłby sposoby dotarcia do umysłów i serc konserwatywnych wtedy, prostolinijskich Amerykanów.

Wystarczyłoby sięgnąć do raportu ppłk. Johna van Vlieta, którego w 1943 r. Niemcy wraz z innymi jeńcami przywieźli jako świadka na teren katyńskiej rzezi. Raport ten wprawdzie zaginął w Pentagonie, ale van Vliet był zdolny skrupulatnie go później odtworzyć.

Można było sięgnąć do protokołu Międzynarodowej Komisji Lekarskiej, którą wprawdzie do Katynia zaprosili Niemcy, ale której wniosków żaden z zachodnich jej członków nie odwołał. To wtedy należało powołać Komisję Katyńską Kongresu USA. No i poprosić o pomoc żyjącego w Nowym Jorku płk. Ignacego Matuzewskiego, zamiast tępić go z pomocą komunistycznej jaczajki.

13 maja 1945 r. w przemówieniu radiowym brytyjski premier tak dawał do myślenia swym rodakom: „Karanie hitlerowców za ich zbrodnie byłoby raczej niedorzeczne, jeśli nie istniałoby prawo i sprawiedliwość lub gdyby rządy totalitarne i państwa policyjne zajęły miejsce niemieckich najeźdźców”. Nie mógł wprost wezwać do nowej wojny przeciw dotychczasowemu, potężnemu sojusznikowi. Cztery lata prosowieckiej, sterowanej przez jego własny rząd propagandy zakorzeniły w Brytyjczykach entuzjastyczną aprobatę Stalina i jego reżimu. W 1945 r. – wiosną triumfu i radości z pokonania Hitlera – ani obywatele brytyjscy, ani zresztą amerykańscy nie byli gotowi walczyć z sympatycznym „Wujaszkiem Joe” i jego poczywymi Rosjanami, którzy tak chętnie ginęli zamiast brytyjskich i amerykańskich chłopców za wolność i demokrację dla całego świata...

Od 1943 r. żadne brytyjskie wydawnictwo nie chciało wydać „Folwarku zwierzęcego” George’a Orwella. A teraz jakże wspaniały byłby to prolog dla świadectw Józefa Mackiewicza, Ferdynanda Goetla, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapskiego czy setek relacji Polaków – w tym dzieci – ocalonych z nieludzkiej ziemi przez gen. Władysława Andersa. Wśród innych nacji też znaleźliby się skrzywdzeni, a już najwięcej mogliby o morderczym systemie sowieckim opowiedzieć żołnierze od Własowa lub z oddziałów kozackich, których należałoby wysłuchać, zanim oddano ich w ręce NKWD na pewną śmierć. Zbrodnie dokonane przez Sowieców na naszym narodzie – który najdłużej walczył z Hitlerem jako dzielny i wierny brytyjski sojusznik, a nie tylko poniósł przerażające straty, lecz także został oddany w niewolę kolejnemu bandycie (swoją drogą: wspaniała opowieść!) – musiałyby jednak najbardziej poruszyć sumienia z obu stron Atlantyku.

Zastanawiające jest przy tym, że gen. Andersowi pozwolono rozbudowywać 2. Korpus mniej więcej do czasu konferencji poczdamskiej, a pod broń stał on we Włoszech jeszcze prawie rok. Przybył on tu w 1944 r. w sile ok. 50 tys. żołnierzy. Latem 1945 r. liczył ich ponad 120 tys. Nie wykluczam, że autentyczne dokumenty lub wiarygodne relacje prędzej czy później potwierdzą przypuszczenia o polsko-brytyjskim porozumieniu w sprawie celowego szykowania Polskich Sił Zbrojnych do wojny z Sowiecami. Plany rozbudowy PSZ sięgały trzech korpusów i ćwierćmilionowej armii. Nie do pomyślenia? Gdyby operacja „Nie Do Pomyślenia” doszła do skutku, to kto wie?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Bratanków trzech



Maciej Rosalak



Mariaże czasów piastowskich dały nam święte Kingę i Jadwigę. Także wspólni władcy – Ludwik, Władysław III, Batory – stanowili elementy tworzącej się od stuleci przyjaźni polsko-węgierskiej. Sprzyjały jej na pewno węgry – wyborne wino; oraz batorówka – wyborna szabla. Utrata niepodległości pogłębiła w XIX w. cechy naszego braterstwa: umiłowanie wolności, dumę i honor, solidarność. Świadczą o tym: kilka tysięcy polskich ochotników, z gen. Józefem Bemem na czele, w powstaniu na Węgrzech w latach 1848–1849, pomoc Węgrów podczas walk przeciw bolszewikom, a zwłaszcza transport amunicji latem 1920 r. Piękną kartę zapisali Węgrzy, pomagając polskim żołnierzom po klęsce wrześniowej i podczas Powstania Warszawskiego. My staraliśmy się wspomóc ich – odzieżą i żywnością, ale przede wszystkim dostawami krwi – po powstaniu budapeszteńskim 1956 r. Te dziejowe momenty stają nam przed oczami w chwilach pięknych i w chwilach trudnych, tak jak ostatnio, gdy obydwa premierzy stanęli godnie i zgodnie przeciw próbie łamania naszej suwerenności w UE.

Szczególnie w 100-lecie odparcia czerwonej zarazy przypominają się tacy bracia Węgrzy, jak ppłk Artur Buol, dowódca VIII dywizjonu artylerii konnej. Podczas zagonu na Korosteń w październiku 1920 r. (patrz „HDR” nr 93) uratował jedną z polskich brygad przed gwałtownym kontratakiem bolszewickim. Najpierw potrafił wysunąć dwie baterie na czoło kolumny idącej wąskim traktem leśnym i powstrzymał atak, a trzecią zdołał dołączyć w przełomowym momencie bitwy. Ciężko ranny skutecznie dowodził ogniem 12 dział 75 mm, aż nadeszła odsiecz i rozgromiła w pył całą dywizję czerwonych. Podpułkownik Buol zmarł z ran po trzech tygodniach. Podobno powiedział przed śmiercią: „Spłacam Polsce dług Węgier za jej pomoc w powstaniu 1848 r.”

Niemożliwość wysłania do Polski zwartych jednostek powodowała, że setki bratanków przedostawały się do nas mimo niechęci Rumunów i wrogości Czechów. Aby wstąpić do Wojska Polskiego, przyjmowali nasze obywatelstwo. Oto nauczyciel greki i łaciny Emánuel Korompay (1890–1940), oficer, który podczas pierwszej wojny światowej walczył w Galicji. Poślubił tu tłumaczkę pracującą w twierdzy przemyskiej, a po pierwszej wojnie w szeregach WP wojował w latach 1919–1921. Jako rezerwista wykładał język węgierski na Uniwersytecie Warszawskim i wydał słownik węgiersko-polski i polsko-węgierski. Wzięty w 1939 r. do niewoli przez Sowieców, został zamordowany w Charkowie.

Polskę jako drugą ojczyznę wybrał również por. Rudolf Klemens (1899–1986). W WP służył od stycznia 1919 r. aż do końca drugiej wojny światowej. W strzelcach podhalańskich przeszedł kampanię ukraińską, wyprawę kijowską, uderzenie znad Wieprza i bitwę niemeńską. Ranny był dwukrotnie. Po wojnie został kapitanem żandarmerii. Podczas kampanii wrześniowej uniknął niewoli niemieckiej i sowieckiej, przedostał się kolejno do Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie służył w 1. Dywizji Panczernej oraz w I Korpusie PSZ w Szkocji. W październiku 1946 r. wrócił do Polski, ożenił się, ale zanim udało mu się rozpocząć spokojne życie, przeszedł śledztwo w UB. Umarł w opolskim domu starców – wcześniej niż *Virtuti Militari*, Krzyż Walecznych i liczne medale za wojnę z bolszewikami zaczęły w Polsce cokolwiek znaczyć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

UWAGA. W nr. 95 przekreśliłem nazwisko słynnego snajpera fińskiego. Nazywał się on Simo Häyhä. M.R.





Debiut nad Sommą



Michał Mackiewicz

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

15 września 1916 r. w bitwie pod Flers i Courcellette, toczonej podczas zmagania nad Sommą, na froncie pojawił się pierwszy czołg – brytyjski Mark I

Czołg był jednym z wielu wynalazków mających przełamać impas wojny pozycyjnej. Każdy atak piechoty prędzej czy później osiągał punkt krytyczny. Nacierający docierali do miejsca, w którym pozbawieni wsparcia własnej artylerii ulegali kontratakowi odwodowych jednostek nieprzyjaciela. Szybki transport dział z wykorzystaniem konnych zaprzęgów uniemożliwiał zryte lejami i pokryte siatką tranzei błotniste pobojuwisko, ale także ciężkich karabinów maszynowych, sukcesywnie zastępowanych w natarciu lekkimi i ręcznymi kaemami, jednak o dużo gorszej wydajności ogniowej. Stąd pomysł, aby armaty i cekaemy okryć pancerzem i osadzić na samojezdnym gąsienicowym podwoziu umożliwiającym poruszanie się w trudnym terenie.

We wrześniowej bitwie wzięło udział zaledwie kilka z 49 maszyn Mark I przewidzianych do akcji – pozostałe nie dotarły do pozycji wyjściowych z powodów awarii i trudności z pokonaniem grząskiego gruntu. Zięjące ogniem „mastodonty” wywarły na broniących się Niemcach ogromne wrażenie, o czym

donosili korespondenci: „Pojawiały się jeden za drugim, wywołując w żołnierzach paraliżujący strach, [...] monstra zbliżały się powoli, utykały, zataczały i kołysały się, ale były coraz bliżej. Nic ich nie mogło powstrzymać; wydawało się, że popycha je jakaś nadnaturalna siła”. A jednak mała liczba czołgów, w dodatku rzuconych do walki w rozproszeniu, sprawiła, że akcja wydawała się niewiele znaczącym epizodem. Alianci projekt jednak kontynuowali, kierując na front coraz większe zgrupowania sukcesywnie ulepszanych maszyn.

Do końca wojny powstało kilka kolejnych, udoskonalonych mechanicznie angielskich marków. Zachowały one kształt trapezu z zaokrąglonymi kątami i gąsienice obracające się dookoła ścian bocznych. Ich możliwości były bardzo ograniczone. Osłonięte pancerzem odpornym na pociski karabinowe oraz odłamki artyleryjskie i zdolne do pokonywania rowów strzeleckich, torowały drogę nacierającej piechocie, rwąc i zgniatając zasieki oraz niszcząc z bliska stanowiska cekaemów. I nic ponad to. Mała prędkość i niewielki zasięg powodowały, że sukcesów taktycznych, choć-

by w słynnej bitwie pod Cambrai (20 listopada 1917 r.), nie można było przekuć na powodzenie operacyjne. Dodatkową przeszkodą była kiepska łączność oraz brak organicznego komponentu inżynierskiego, umożliwiającego pokonywanie przeszkód wodnych.

Angielskie czołgi występowały w dwóch wersjach – „męskiej” i „żeńskej”; w tym pierwszym przypadku uzbrojenie główne stanowiły armaty kal. 57 mm. Ostatni z wykorzystanych w walce pojazdów tego typu – Mark V – ważył blisko 30 t. Marki znacznie ustępowały francuskiemu Renault FT (Char Léger Renault FT Modèle 1917), który pojawił się pod koniec pierwszej wojny światowej i który ze względu na przełomowe rozwiązania konstrukcyjne (zwłaszcza zastosowanie obrotowej wieży z uzbrojeniem) uchodzi za oręż rewolucyjny. W porównaniu z romboidalnymi angielskimi odpowiednikami lekki i wagiący niespełna 7 t renault wyróżniał się zgrabną sylwetką i lepszymi właściwościami manewrowymi.

A jednak to właśnie pionierskie i siłą rzeczy mocno niedoskonałe marki stały się kamyczkiem, który poruszył lawinę. Był nią gwałtowny rozwój broni pancernej, która wraz z lotnictwem miała odegrać decydującą rolę w następnym światowym konflikcie. Na zdjęciu Mark IV eksponowany w Brukselskim Królewskim Muzeum Sił Zbrojnych i Historii Militarnej. Czołg w wersji „męskiej”, widoczna armata kal. 57 mm zamocowana w burtowej barbecie. ©

Uzbrojenie Zulusów

Południowoafrykańscy Zulusi należeli do najtrudniejszych przeciwników imperium brytyjskiego. W 1879 r. pod Isandlwana czarnoskórzy wojownicy zmasakrowali blisko 2-tysięczny korpus wojsk kolonialnych. Najbardziej charakterystycznym elementem rynsztunku Zulusów były



tarcze. Wykonywano je z bydłych skór; z jednego zwierzęcia można było uzyskać materiał jedynie na dwie duże tarcze. Spreparowaną skórę przymocowywano przemyślnym wiązaniem do wzdłużnej tyczki. Co ciekawe, tarcze te można było w szybki i prosty sposób zdemontować, aby wygodniej przenosić je podczas długich przemarszów. W latach 70. XIX w. używano dwóch rodzajów tarcz: dużej, chroniącej prawie całą sylwetkę człowieka (isihlangu) i mniejszej o długości niecałego metra (umbhumbhuluzo).

Oczywiście tarcza nie chroniła przed ołowianym pociskiem wystrzelonym z karabinu Martini-Henry, była jednak przydatna w walce na bliskim dystansie. Tarcze miały także znaczenie identyfikacyjne, barwa ich powierzchni informowała o przynależności do danego oddziału – np. czarne używane były przez formacje młodych wojowników, a białe starszych, bardziej doświadczonych. Broń ofensywną stanowiły krótkie włócznie o masywnych i długich żelaznych grotach w formie lancetu lub wydłużonego rombu. Używano ich wyłącznie do walki na bliskim dystansie. W arsenale były też oszczepy o grotach podobnych, ale znacznie mniejszych. Groty mocowano za pomocą trzpienia, który wkładano w wydrążenie w drzewcu; potem całość klejono i owijano sznurkiem. ©©

„Waga rury”

XVII-wieczna artyleria była bronią mało skuteczną. Obsługa armat zabierała dużo czasu, a za każdym razem do lufy trafiała inna miara prochu. Działo po strzale odskakiwało na kilka-kilkanaście metrów i ustawienie go w dokładnie takiej samej pozycji było niezwykle trudne. Przy prowadzeniu ognia bliskiego (na wprost) celowano po lufie: linia celowania przebiegała po jej obręczach – dennej i wylotowej – tak więc, z uwagi na jej stożkowy kształt, była ona nieznacznie uniesiona (metoda „ostro przez metal”). Na najbliższych dystansach korzystano ze specjalnego celownika ustawianego na wylocie lufy i zapewniającego linię celowania równoległą do osi przewodu lufy (metoda „wedle wagi rury”). Znano także zalety strzału pełzającego, gdy kula, koziółkując kilkakrotnie po ziemi, omijała przeszkody i dewastowała zwarte szyki przeciwnika. Do ostrzału celów oddalonych lub zasłoniętych wykorzystywano kwadrant. ©©



B-52 Stratofortress

Maszyna zaprojektowana została jako 5-osobowy bombowiec strategiczny do przenoszenia głowic nuklearnych (cztery bomby) i była najcięższym oraz najdroższym samolotem w historii; wyposażono ją w osiem silników odrzutowych. B-52 wszedł do służby w amerykańskich Siłach Powietrznych w 1956 r. Dzięki licznej modernizacji okazał się jednym z najdłużej pozostających w linii.

Do najintensywniej wykorzystywanych należała wersja D, przystosowana do przenoszenia konwencjonalnych bomb. 84 bomby – 227-kilogramowe – znajdo-



wały się w wewnętrznych komorach, natomiast na podskrzydłowych węzłach dodatkowe 24 o masie 340 kg każda; w sumie kilkadziesiąt ton śmiertelnego ładunku. Uzbrojenie defensywne stanowiła zdalnie kierowana wieżyczka z czterema najcięższymi karabinami

maszynowymi kal. 12,7 mm. Prędkość maksymalna wynosiła 925 km/h (na dużej wysokości), zasięg 11861 km, a pułap praktyczny 13,7 tys. m. Maszyn tej wersji użyto podczas ofensywy bombowej nad Wietnamem; B-52 zrzuciły w czasie tej kampanii większą łączną masę bomb niż samoloty bombowe podczas drugiej wojny światowej.

Kolejne wersje B-52 zyskiwały lepsze uzbrojenie i awionikę; zaawansowane systemy do zakłócania stacji radiolokacyjnych oraz zestawy radiolokacyjne do nawigacji i bombardowania. Ta doskonała broń wciąż pozostaje w uzbrojeniu. ©©

Lata 60. / Od ziół do pigułki hormonalnej



Antykoncepcja



Tymoteusz Pawłowski

Tabletka antykoncepcyjna umożliwiła rewolucję seksualną w drugiej połowie XX w., pozwalając uniknąć jednej z konsekwencji przygodnego seksu – niechcianej ciąży

Antykoncepcja – obecna przez całe dzieje ludzkości – zmieniała swoje cele. Służyła do unikania niechcianej ciąży, do zapobiegania niechcianym chorobom czy planowania rodziny. Przez całe wieki nie można było na niej polegać, lecz gdy w XX w. opracowano skuteczną i pewną pigułkę hormonalną, spowodowało to olbrzymie zmiany.

Przez całe wieki wiedza o płodności była niewielka. Zapłodnienie rozumiano niczym uprawę roli – kobieta była żyzną glebą, której mężczyzna przekazywał swoje nasienie, czego śladem jest słowo „semen”, które po łacinie oznacza zarówno męskie nasienie, jak i ziarno rośliny. Antykoncepcja polegała więc albo na oddzieleniu nasion od gleby lub uczynieniu gleby jałową.

W starożytności kobiety używały zatem różnego rodzaju maści, czy to owocowych, czy mineralnych, czy zrobionych z jeszcze bardziej egzotycznych składników, np. odchodów krokodyli. Celem było wytworzenie nieprzyjaznego – skrajnie kwaśnego albo skrajnie zasadowego – środowiska eliminującego plemniki. Używano również ziół, z których najsympliczniejszy jest sylfion, rosnąca w Cyrenajce tajemnicza roślina przypominająca koper, na którą popyt był podobno tak duży, że wytrzebiono ją przed nadejściem średniowiecza. Sylfion jednoznacznie kojarzył się z miłością, kształt jego owoców znamy dziś jako... symbol serca.

Z czasów starożytnych pochodzą też pierwsze doniesienia o prezerwatywach. Wśród historyków trwa jednak dyskusja, czy owe starożytne prezerwatywy miały wartość antykoncepcyjną, czy jedynie ozdobną. Pierwsze naukowe badania nad prezerwatywami – zatrudniono do nich podobno tysiąc mężczyzn – przeprowadził w połowie XVI w. ks. prof. Gabrielle Falloppio. W XVIII w. były już dość powszechnie używane, a za najlepsze uchodziły zrobione z owczych wyrostków robaczkowych. Były to jednak bardzo drogie urządzenia wielorazowego użytku, niedostępne dla większości społeczeństwa.

Mydło i lateks

Większość społeczeństwa praktykowała najstarszą metodę antykoncepcji – stosunek przerywany. Była ona w miarę skuteczna, ale zależała od dobrej woli mężczyzny. Skutecznej antykoncepcji dla kobiet brakowało, co stanowiło problem życia lub śmierci. Komplikacje poporodowe były bowiem najczęstszą przyczyną



Pigułki antykoncepcyjne i plakat zachęcający do stosowania prezerwatywy

FOT. WIKIPEDIA / ARCHIWUM

śmierci kobiet. Dopiero w połowie XIX w. medycy zrozumieli, że śmiertelność wśród matek można zmniejszyć, myjąc ręce przed przyjęciem porodu.

Wiek XIX nie tylko przyniósł poprawę higieny, lecz także ułatwił dostęp do kalorycznego jedzenia. Zwiększyła się wiedza naukowa: zbadano i opisano komórkę jajową. Dotychczas w małżeństwie rodziło się kilkanaścioro dzieci, z których dorosłości dożywało dwoje lub troje. W nowych warunkach przeżywalność dzieci – i matek – była dużo większa. W pierwszej części wieku XIX dwoje lub troje dzieci dożywało dorosłości, w środkowej części – siedmioro lub ośmioro, a pod koniec – znów dwoje lub troje. To zmniejszenie liczebności rodzin wynikało z zastosowania kolejnej metody antykoncepcji – znajomości cyklu kobiecego, czyli tzw. kalendarzka.

Zmiany liczebności rodzin – a co za tym idzie gwałtowne, choć krótkotrwałe skoki demograficzne – zależały od wielu czynników, przede wszystkim likwidacji głodu i upowszechnienia edukacji. Do Polski zmiana ta dotarła w drugiej połowie XIX w., z opóźnieniem mniej więcej

jednego pokolenia względem Europy Zachodniej. Miało to – i wciąż ma – wpływ na kształt współczesnej Polski. W ten sposób spolonizowany – czy zrepolonizowany – został bowiem Górny Śląsk. Jego industrializacja i urbanizacja nastąpiły w czasie, gdy Niemcy stosowali już metody antykoncepcyjne, a Polacy właśnie cieszyli się z wielodzietności. Podobny proces demograficzny – tylko że niekorzystny dla Polaków – nastąpił pokolenie później w Małopolsce Wschodniej.

Kolejną zmianę przyniósł wiek XX. Wojny światowe sprawiły, że kobiety musiały iść do pracy, bo mężczyźni walczyli na froncie. Pod koniec lat 20. XX w. powstała pierwsza nowoczesna wkładka domaciczna, ale nie zdobyła popularności: była kosztowna i skomplikowana. Mniej więcej w tym samym czasie upowszechniła się jednorazowa prezerwatywa lateksowa (w XXI w. stosuje się poliuretan). W czasach wojen światowych – gdy miliony młodych ludzi ubrano w mundury i wysłano daleko od domu – miała ona ogromne znaczenie, pozwalała bowiem uniknąć zarażenia się chorobami wenerycznymi.

Hormony i antybiotyki

Pierwsza z wojen światowych rozpowszechniła prezerwatywy pozwalające uniknąć chorób wenerycznych. Druga wojna światowa doprowadziła do wynalezienia antybiotyków pozwalających leczyć takie choroby. Natomiast pomiędzy obiema wojnami odkryto hormony, czyli związki chemiczne regulujące czynności życiowe człowieka, w tym również rozmnażanie. Adolf Butenandt, gdański biochemik, który odkrył i zbadał żeńskie hormony, został uhonorowany w 1939 r. Nagrodą Nobla. Kolejnych kilkanaście lat musiało jednak upłynąć, zanim udało się precyzyjnie określić ich rolę: estrogeny pobudzają owulację, a progesteron ją hamuje. Otwierało to drogę do nowej metody antykoncepcji – wystarczyło odpowiednią dawką hormonów powstrzymać

owulację: bez jajeczka nie było możliwe zapłodnienie ani ciąży.

Po drugiej wojnie światowej badania kontynuowano, głównie w Stanach Zjednoczonych. W latach 50. Gregory Goodwin Pincus opracował pierwszą pigułkę hormonalną zawierającą progesteron. Teoretycznie działała, w praktyce jednak zadowalająca skuteczność wymagała olbrzymiej dawki. Dopiero zastosowanie innych hormonów – przede wszystkim noretynodronu – przyniosło oczekiwane rezultaty. Środek o nazwie Enovid został skierowany do sprzedaży w Stanach Zjednoczonych w roku 1960, a w Polsce podobny specyfik stał się dostępny w 1966 r.

Rzadko który wynalazek zmienia świat tak dogłębnie i tak błyskawicznie, jak uczyniła to hormonalna pigułka antykoncepcyjna. Kobiety uzyskały zdolność samodzielnego, skutecznego i dyskretnego – czasem wbrew woli męża – kontrolowania swojej płodności. Wpłynęło to oczywiście na życie rodzinne, ale również na życie zawodowe. Niedługo zatrudnienie kobiety – szczególnie młodej mężatki – było loterią: pracodawca w każdej chwili spodziewać się mógł, że odejdzie z pracy, by wychowywać dzieci. Teraz – planując liczbę dzieci – można było zaplanować swoją karierę. Co więcej, kobiety pracujące stały się niezależne finansowo. Z jednej strony zmieniło to ich zależność – często toksyczną – od mężczyzn, z drugiej zwiększyło liczbę rozwodów.

Tabletka antykoncepcyjna umożliwiła rewolucję seksualną lat 60. (w Polsce – lat 70.). Pozwalała bowiem uniknąć jednej z konsekwencji przygodnego seksu – niechcianej ciąży – tak jak antybiotyki wcześniej zmniejszyły ryzyko chorób. Różowe lata 70. skończyły się jednak, gdy pojawiła choroba wywołana przez wirus HIV.

Pigułki hormonalne zmieniły również politykę. Z oczywistych przyczyn – związanych z planowaniem kariery – kobiety zaczęły mieć na nią dużo większy wpływ. Pojawił się również nowoczesny feminizm. Ten stary – walczący o prawa polityczne – już się wypalił, teraz walka o prawa kobiet nabrała nowej dynamiki. Hormonalna tabletka antykoncepcyjna sprawiła bowiem, że kobiety stały się równe mężczyznom (pomijając sporty walki i pracę w kopalniach).

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1923 ROKU LEON NIEMCZYK I JEGO O DWA LATA STARSZY BRAT LUDWIK, BYLI W CZASIE WOJNY ZAANGAŻOWANI W DZIAŁALNOŚĆ ARMII KRAJOWEJ. W LUTYM 1943 ROKU DOSZŁO DO „WSYPY” I GESTAPO ZATRZYMAŁO UCZESTNIKÓW TAJNEGO SPOTKANIA. LEON ZDOŁAŁ UCIEC PRZEZ OKNO W KUCHNI.



JEDNAK PO KILKU DNIACH...



TO MUSI BYĆ JAKĄS POMYŁKA Z MOIM BRATEM. JA JESTEM SKRZYPKIEM I...

LEONA URATOWAŁ PRZYPADEK. ROK WCZEŚNIEJ JEGO STARSZY BRAT WACŁAW, KTÓRY BYŁ SKRZYPKIEM, ZASTĄPIŁ W TRAKCIE WYSTĘPU W FILHARMONII WARSZAWSKIEJ GEORGA KULENKAMPFFA, KTÓRY NIE ZDOŁAŁ DOTRZEĆ NA WYSTĘP W WARSZAWIE. PO SVOIM WYSTĘPIE WACŁAW OTRZYMAŁ KWIATY I WIZYTÓWKĘ OD GUBERNATORA HANSA FRANKA. TO WŁAŚNIE JEJ OKAZANIE SPRAWIŁO, ŻE NIE ARESZTOWANO LEONA. NIE CHCĄC JEDNAK KUŚCIĆ LOSU, LUDWIK ZAPROPONOWAŁ, ŻE UKRYJE LEONA U ZNAJOMEGO ZAJMUJĄCEGO SIĘ BUDOWĄ TORÓW KOLEJOWYCH POD WROCŁAWIEM. POJECHAŁ TAM Z FAŁSZYWYMI DOKUMENTAMI, POD ZMIENIONYM NAZWISKIEM JERZY KRÓLIKOWSKI.

LEON WRÓCIŁ DO WARSZAWY TUŻ PRZED WYBUCHEM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. WRAZ Z BRATEM LUDWIKIEM BRALI W NIM UDZIAŁ, A PO UPADKU POWSTANIA WRÓCIŁ DO PRACY POD WROCŁAWIEM. STAMTĄD ZOSTAŁ WRAZ Z INNYMI ROBOTNIKAMI EWAKUOWANY PRZEZ NIEMCÓW DO NORYMBERGII. GDY WKROCZYLI AMERYKANIE, WSTĄPIŁ DO WOJSKA, ZOSTAJĄC KIEROWCĄ W 365. JEDNOSTCE 444. BATALIONU III ARMII GENERALA PATTONA.



PO ZAKOŃCZENIU WOJNY WRÓCIŁ DO POLSKI ABY ODNALEZĆ MATKĘ, O KTÓREJ NIE MIAŁ OD DAWNA ŻADNYCH INFORMACJI. PRZEZ JAKIŚ CZAS RAZEM Z BRATEM LUDWIKIEM ORGANIZOWAŁ PRZERZUTY LUDZI POZA GRANICE POLSKI - TYCH, KTÓRZY NIE CHcieli ŻYĆ W USTROJU KOMUNISTYCZNYM. JEDNAK W 1947 ROKU WPADAJĄ NA GRANICY. LEON WYCHODZI Z ARESZTU PO KILKU MIESIĄCACH, LUDWIK W WIEZIENIU SPĘDZI PIĘĆ LAT. PO OPUSZCZENIU WIEZIENNYCH MURÓW UCIEKNIŁ ZA GRANICĘ, O UCIECZCE MYŚLAŁ TEŻ PRZEZ DŁUGI CZAS LEON. W TYM CELU ZATRUDNIŁ SIĘ W GDAŃSKIEJ STOCZNII REMONTOWEJ.



JAK TYLKO BĘDZIE OKAZJA, TO PODCZAS REJSU PRÓBNEGO SKOCZĘ DO WODY I WPEŁAM SPRÓBUJĘ DO SZWECJI...

PLANY LEONA ZMIENIŁY SIĘ, GDY ODKRYŁ W SOBIE TALENT AKTORSKI. NA POZĄTKU BYŁ TO ZESPÓŁ TEATRALNY W STOCZNII, GDZIE PRACOWAŁ. PÓŹNIEJ MIĘDZY INNYMI TEATR WYBRZEŻE I TEATR ZIEMI POMORSKIEJ W BYDGOSZCZY, A W KOŃCU TEATR POWSZECHNY W ŁODZI. W KINIE ZADEBIUTOWAŁ DOPIERO W 1953 ROKU, MAJĄC 30 LAT. PRZEZ KOLEJNE PONAD PÓŁ WIEKU ZAGRAŁ W KILKUSIE FILMACH I SERIALACH, BĘDĄC AKTYWNYM ZAWODOWO NIEMAL DO KOŃCA ŻYCIA.



NAJLEPSZY OKRES W JEGO KARIERZE TO LATA 50. I 60. GDY STWORZYŁ NIEZAPOMNIANE KREACJE W FILMACH: „BAZA LUDZI UMARŁYCH” (1958), „POCIĄG” (1959), „NÓŻ W WODZIE” (1964) CZY „REKOPIS ZNALEZIONY W SARAGOSSIE” (1964). Z CZASEM JEDNAK ZACZĄŁ GRAĆ NAWET W KILKUDZIESIĘCIU PRODUKCJACH ROCZNIE (TAKŻE ZAGRANICZNYCH, GŁÓWNIENIEMIECKICH), POJAWIAJĄC SIĘ CZĘSTO W ROLACH EPIZODYCZNYCH.

PRZYJMĘ WSZYSTKIE PROPOZYCJE, BO UWAŻAM, ŻE ZE ZŁEGO EPIZODU, ZŁEJ ROLI, MOŻNA ZROBIĆ COS DOBREGO. PONADTO NIE MA ZŁYCH RÓL, SĄ TYLKO ŹLI AKTORZY...





Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Giertych o Studnickim

Wyznawcy ministra Becka stają zawsze przed fundamentalnym problemem, jakim jest istnienie w przeszłości Władysława Studnickiego i jego szkoły geopolitycznego myślenia. Najczęściej jedynie w formach publicystycznych dają asumpt swojej niechęci czy wręcz nienawiści do jego osoby i dorobku oraz tych wszystkich, którzy odważyli się o nim przypomnieć. Istnieje pod tym względem zasadnicza różnica nawet pomiędzy debatą historyczną w PRL i w pierwszych latach III Rzeczypospolitej (nie mówiąc już o sporach emigracyjnych) a tym, co wokół Studnickiego dzieje się w ostatnich latach. Jakże idealnym z tej perspektywy jawi się obszerne, bardzo krytyczne, ale wydobywające zasługi Studnickiego artykuł Jędrzeja Giertycha („Władysław Studnicki”, „Życie. Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny”, 15 lutego 1953, s. 3). Ten polityczny adwersarz Studnickiego i zwolennik (a po części i współtwórca) zupełnie innej, bo antyniemieckiej doktryny geopolitycznej, pisał na łamach emigracyjnego „Życia” m.in.:

„Studnicki był niewątpliwie postacią w życiu polskim wybitną. Mimo że nie był dygnitarzem, członkiem rządu, dyplomata, wodzem, a nawet nie był senatorem lub posłem do sejmiku oraz mimo że nie miał uznanej pozycji jako pisarz, myśliciel czy autorytet naukowy lub polityczno-ideologiczny, odegrał on w najnowszych dziejach Polski rolę znaczną,

wywierając wpływ niewidoczny i trudny do ścisłego zmierzenia, ale niewątpliwie i trwały.

Fakt, że człowiek taki, jak Studnicki, będący w jawnej, stanowczej, bezwzględnej opozycji wobec kierunków myślowych i politycznych, przeważających w narodzie polskim, a zarazem będący człowiekiem całkowicie niezależnym, niezwiązanym z żadną obcą agenturą, z żadną międzynarodową konspiracją, z żadną zorganizowaną grupą interesów materialnych, człowiekiem, krótko mówiąc, przebijającym się przez życie samotnie i w trudnej walce ze wszystkimi i wszystkim, a mimo to mógł przez czas tak długi – dużo dłużej niż przez pół stulecia – działać, pisać, być czytany, wywierać wpływ, jest niewątpliwie w naszym życiu i cywilizacji zjawiskiem dodatnim. Biada narodowi i społeczeństwu, które bez reszty poddaje się przeważającej dziś w świecie modzie owczego pędu! Cywilizacja i polityczny ratunek ludzkości stoją nie na zorganizowanym owczym pędzie (zaganianym w jedno łóżysko przez tak potężnych, a tak najczęściej bezmyślnych pastuchów, jak popularna prasa codzienna, radio czy

kino), ale na ludziach umiejących iść odważnie i samodzielnie na przekór temu, co bezmyślny motłoch zgodnym chórem wykrzykuje. [...]

Studnicki był właśnie człowiekiem umiejącym nie poddać się dyscyplinie posłuszeństwa motłochowi (a także i rządowi). Był człowiekiem samodzielnym, odważnym i z charakterem. Przed jego zaletami charakteru należy uchylić czoła. Należy się również cieszyć, że ludzie tacy jak on w Polsce się rodzą i znajdują pole do działania.

Należy także podkreślić jego nieskazitelną, wolę, uczciwość, skromność. A wreszcie podnieść wzruszające ubóstwo, w jakim walczył swoją aż do późnej, a tak żywotnej i czynnej oraz pełnej ofiarnych trudów starości prowadził. Byłoby również niesprawiedliwością nie uznać jego wielkiego talentu, błyskotliwości jego pióra, obszernej erudycji i wiedzy, umiejętności myślenia, a wreszcie energii w działaniu.

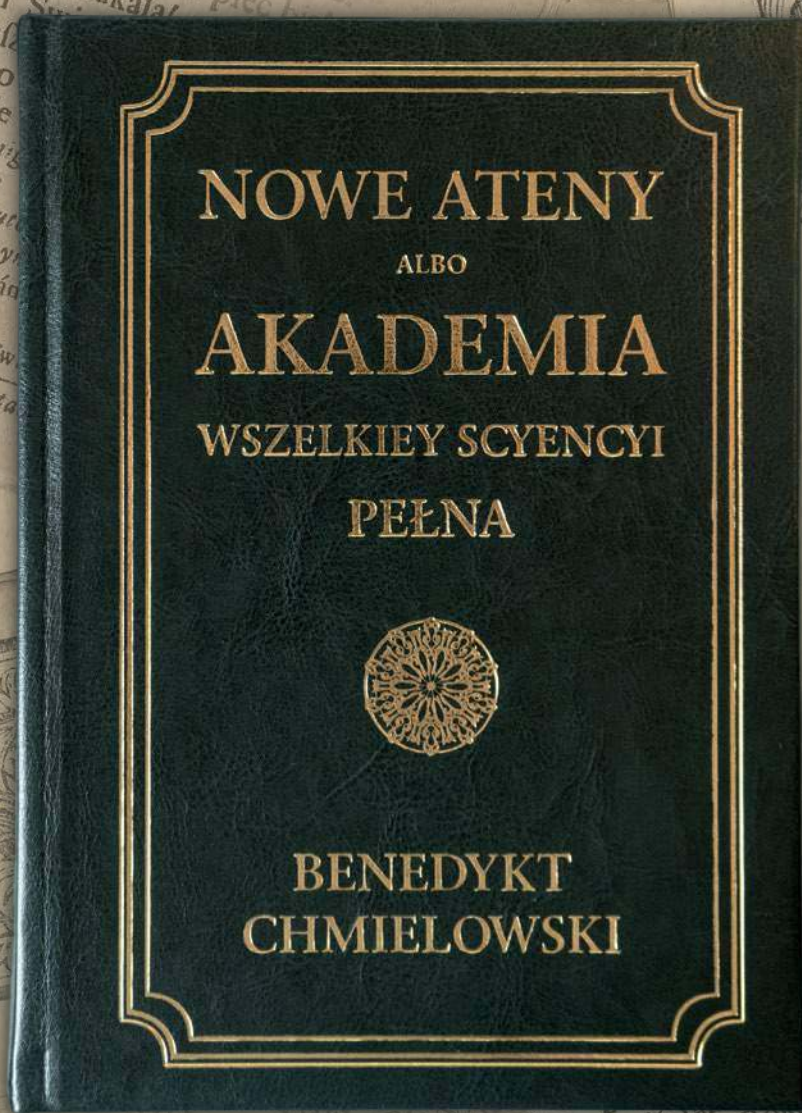
Studnicki niewątpliwie zostanie w dziejach myśli polskiej jako pozycja wątpliwa politycznie, ale nie dająca się z rejestru wykreślić. Jako pozycja w rodzaju jakiegoś Fredry, tego Fredry z XVII stulecia, który głosił program rozbrojenia Polski i rozluźnienia jej budowy państwowej (»Polska nierządem stoi«); program szkodliwy – ale sformułowany przez uczciwego i rozumnego człowieka, który w literaturze politycznej polskiej zdobył sobie miejsce trwałe”.

Żyjemy dziś w świecie, gdzie Giertychowskie konwenanse już nie obowiązują. Szkoda. ©©

/ Biada narodowi i społeczeństwu, które bez reszty poddaje się przeważającej dziś w świecie modzie owczego pędu!



Wydawnictwo Graf_ika



JEDNA Z PIERWSZYCH
POLSKICH ENCYKLOPEDII
REPRINT W 4 TOMACH

www.sklep.graf-ika.pl
e-mail: sklep@graf-ika.pl



NAYSWIET
bo wszelkiewy Swiatobliwosci
PRZEDWIEC

Znasz powiedzenie -
„Koń jaki jest każdy widzi?”

To teraz już wiesz,
skąd ten tekst pochodzi!

JEDNOROZEC iaki jest, y czyli znajduje się in
masz Candide Leśtor ciekawy bardzo o tym dyskurs, su
tantius, w tey tu Xiędze na początku.
KON iaki jest, każdy widzi.
drugie Hiszpańskie, inne Samogitici, Zmudy, Albańskie, Po
Frizy, Angielskie, Bachmaty Tatarskie, y Czerkieskie, A
tańskie, Ałtarskie, &c. SYBARITOWIE Nacya Włoska daw
skoszczach utopieni, y Koni do głosu trąb Wojskowych pl
częstych Traktamentow tey zażywaie krotkości. O czy
wiedząc, Woynę im wypowiedział, na nich nie bron
żywszy, Konie pod niemi do tańcu y pomieszania f
hoc stratagemate Victores. Diodorus, Alianus, Solinus, y Ty
Należy rzecz pamięci godna y podziwieniu dawniey
ad scribendum, że Kon przedany od Pána Pra
prowadziwszy, Faprocki.
P. m m 2